

**FANKLUB RODZINY POSZEPSZYŃSKICH
IM. KAPRAŁA JEDZINIAKA**



**DZIEŁA
ZEBRANE
TOM I**

OCZYW
RZĘDZIE

FANKLUB RODZINY POSZEPSZYŃSKICH IM. KAPRAŁA JEDZINIAKA

DZIEŁA ZEBRANE TOM I

Z niemazurskiego na nasze przelożyła
Oraz
Na podstawie wyczerpujących badań opracowała przystępnie
Mela Bruxa

**OCZYW
I ZDZIE**

Tytuł oryginału
MÆSCHÛGÂNÊ GÆSCHÏECHTÈ

Projekt okładki:
M. Bruxa

Recenzent całości:
G. Gutek

Współpraca:
K. Imbir

Opracował zespół naukowy w składzie: *B. Aader, D. Blue, S. Boltzmann, M. Bruxa, A. Cierń, P. D'Adog, F. Fasiol Jr. , R. Gogol, T. Kaczor, P. Kostka, Ś. Leon, A. Lexia, Z. De Loeve, B. Manniak, P. Murzyn, inż. Wichura, C. Zarian, i in.*

Korekta:
Ch. Ochlik-Drukarski

Łamanie:
W. Kościach

Дозвоено Цензурою
Варшава, 1 Января 2008 года

Wydawnictwo **OCZYWIŹDZIE**
Warszawa 2008
JedziniaxMedia sp. z o.o.
Pl. Na Rozdrożu 2, m.183, 00-584 Warszawa

Druk i oprawa sumptem własnym

© Fanklub Rodziny Poszepczyńskich im. Kaprala Jedziniaka 2008

Maćkowi Zembatemu - maniacy

Uwaga!

**Ministerstwo Głupich Kroków ostrzega:
Poniższa publikacja zawiera nawet do
100% czystego nonsensu na stronę
Nawet taka ilość może być szkodliwa
dla zdrowia psychicznego i poczynić
nieodwracalne szkody
w szarych komórkach.**

Wielce Szanowny Nowicjusz!

Powodowany sobie tylko znanymi powodami trafiłeś na stronę i forum Rodziny Poszepczyńskich. Chcemy, żebyś wiedział, iż wbrew wszystkiemu, co Cię może tutaj spotkać, jesteś mile widzianym gościem. Nasza gościnność przybierze na wylewności, w miarę jak Twoja obecność z nami będzie się stawać częstsza i efektywniejsza. Musisz jednak, dla własnego, dobrze rozumianego dobra, zdawać sobie sprawę z kilku niepisanych reguł, którymi rządzi się ta strona i to forum. Nieprzypadkowo jest ono poświęcone najdziwniejszej rodzinie, jaką zna słuchowisko radiowe - Rodzinie Poszepczyńskich. Duch Rodzinno-Poszepczyńskiego pure nonsense przenika wszystkich stałych bywalców i determinuje ich wypowiedzi, które przynajmniej, dla Osób Odbuwających Nowicjów, mogą wydawać się co najmniej dziwne, a niekiedy denerwujące. Niech Cię to Szanowny Nowicjusz nie zwiedzie i nie zrazi!

Wkrótce przekonasz się, że:

- możesz poznać Rodzinę Poszepczyńskich lub też pogłębić swoją, albo naszą wiedzę na temat słuchowisk i skeczy kabaretowych;
- możesz się dowiedzieć, dlaczego tak wiele spraw nawarstwia się i spiętrza;
- możesz nas przyłożyć do rany - jesteśmy jak jodyna, szczypiemy, ale zapobiegamy zarażeniu powagą;
- możesz pogadać na tematy, z których istnienia nie tylko Ty i my, ale nikt dotąd nie zdawał sobie sprawy;
- możesz na własnej skórze przekonać się czy masz poczucie humoru, gdzie się ono znajduje i ile miejsca w Twojej czasoprzestrzeni zajmuje;
- możesz stać się uczestnikiem kolejnego spotkania forumowiczów RP w realu lub w biedronce;
- możesz poznać, czym tak naprawdę jest błąd serwera i czy nie błędzisz błędnie zakładając, że nie masz w tym temacie nic do napisania?
- możesz, jeśli będziesz miał szczęście, poznać czym tak naprawdę są: własny użytek osobisty i krąg towarzyski!

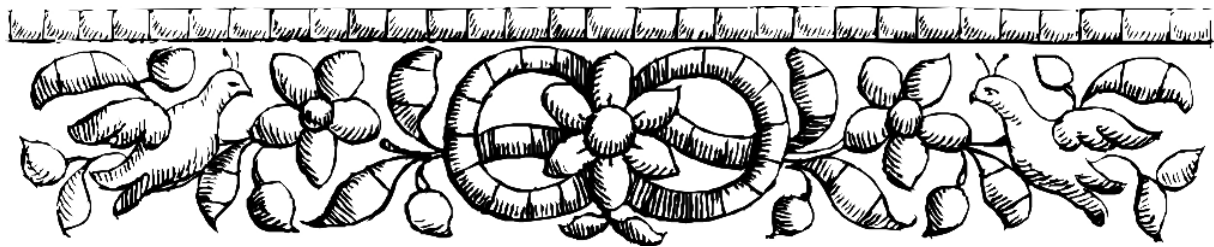
Wszystko To w zamian za:

- nieumiarkowane, nieszablonowe i choćby niezborne, acz oryginalne zabieranie sobie głosu i oddawanie go na forum
- cierpliwość, życzliwość i wyrozumiałość dla wszystkich piszących na forum, ze szczególnym uwzględnieniem siebie samego;
- umiarkowane zakładane nowych wątków, które winno być poprzedzone zapoznaniem się z już istniejącymi, jako, że jest duże prawdopodobieństwo, że uda Ci się wykorzystać któryś z wątków już istniejących.
- w miarę ochoty i możliwości pomoc w rozwoju tej strony.

**CZY KIEDYKOLWIEK TAK NIEWIELU DAWAŁO TAK WIELU TAK DUŻO ZA TAK NIEWIELE?
SERDECZNIE ZAPRASZAMY!!!**

(Cezarian)

Przysłowia
Poszepszyńskie



Każdy sobie palce liże.

Kto komu palce liże, ten sam jest lizany.

Gdzie dwóch liże, tam trzeci dżem zjada.

Cudzemu palce liże, a w swoim słoiku dżemu nie widzi.

Głodnemu dżem na myśli.

Lepszy dżem na palcach, niż powidła w słoiku.

Kto rano wstaje, temu Bóg dżem daje.
(Zygfryd)

Kto dżemik je
ten nie kabluje

Słoik z dżemem
lepszy niż makrele!

Co tam zęby
co tam tusza
kiedy dżemik
cie nie rusza
sensu nie ma
cały świat
kiedy dżemu
nie będziesz jadł
(Stefan)

Kto pod kim dołki kopie ten w dżemik wpada.

Gdyby kózka nie skakała to by dżemik zjadła.

Gość w dom dżemik do szafy.

Gdzie drwa rąbią tam dżemikiem siekiery smarują.

Jeden słoik dżemu przyjęcia nie czyni.
(Fasiol)

Rozsypała się sól - będzie kłótnia.
Rozsypał się cukier - na zgodę.
Rozsypała się kokaina - będą wizje.
Upadł widelec - ktoś przyjdzie.
Upadło mydło - oczekuj nieoczekiwanego.
Jaskółki nisko latają - będzie deszcz.
Krony nisko latają - rozsypała się kokaina.
Pękło lustro - będzie nieszczęście.
Pękł rozporek - będzie wstyd. Mniejszy lub większy...
Pękła prezervatywa - lepiej, żeby pękło lustro.
Swędzi nos - będzie pijaństwo.
Swędzi dupa - mydło upadło.
(Cezarian)

Czarny kot przebiegł drogę - głodny
Czarny kot wlaźł na głowę - głodny
Czarny kot miauczy - głodny
Czarny kot śpi - będzie głodny
da capo al fine
(Stefan)

czarny kot szczeka - rozsypała się kokaina
czarne koty nisko latają - mydło upadło
czarnego kota swędzi - ciekawe, co się
rozsypało?

(Bruxa)

czarna kokaina - wytarł się o nią czarny kot
(Cezarian)

kot się o kokainę wyciera - oczekuj wizyty
policji

(Bruxa)

kot liże palce - zjadł słoik dżemu
(Zygfryd)

dziura w szpiźarni z dżemem - do sąsiedniego
mieszkania wprowadzili się Poszepszynscy
albo lepiej odwrotnie:
do sąsiedniego mieszkania wprowadzili się
Poszepszynscy - będziesz miał dziurę w szpiźarni
z dżemem

(Bruxa)

kot słucha muzyki - oczekuj wizyty ZAIKSU
kot pali płytki - oczekuj prokuratury
kot śpi - będzie głodny

(Stefan)

kot wypisuje przysłowia na forum - głodny
(Zygfryd)

Kto pod kim dołki kopie temu pan Bóg daje ,a
kto rano wstaje ten sam w nie wpada.
Gdzie kucharek sześć tam dżemik diabli wzięli.

(Fasiol)

kot tupie z rana - kac gigant
najgorsza na kaca - jazda na kucu

(Cezarian)

kot sąsiadowi kanarka zeżarł - potrzebna
będzie papuga (może być z urzędu lub z
wyboru)

(Fasiol)

kot kotowi okna nie wykole
gość w dom, kot (dżem) do szafy
kto pod kim koty kopie, ten sam jest jak
Zabłocki na mydle
człowiek człowiekowi kotem
kot kota kotem pogania
lepszy kotek w garści, niż kocur na dachu
i last but not least
KOT JAKI JEST - KAŻDY WIDZI
(Stefan)

Nie miała baba kłopotu kupiła se kota.
Koty z wozu koniom lżej.
Kiedy z rana leje jak z kota to wieczorem bóbr
bobrzyce wychrobotą.

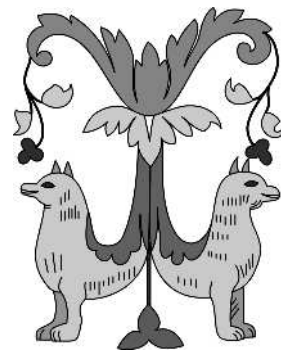
(Fasiol)

Kot leje - zmień żywerek.
Kot leje psa - będzie głodny.

(Bruxa)

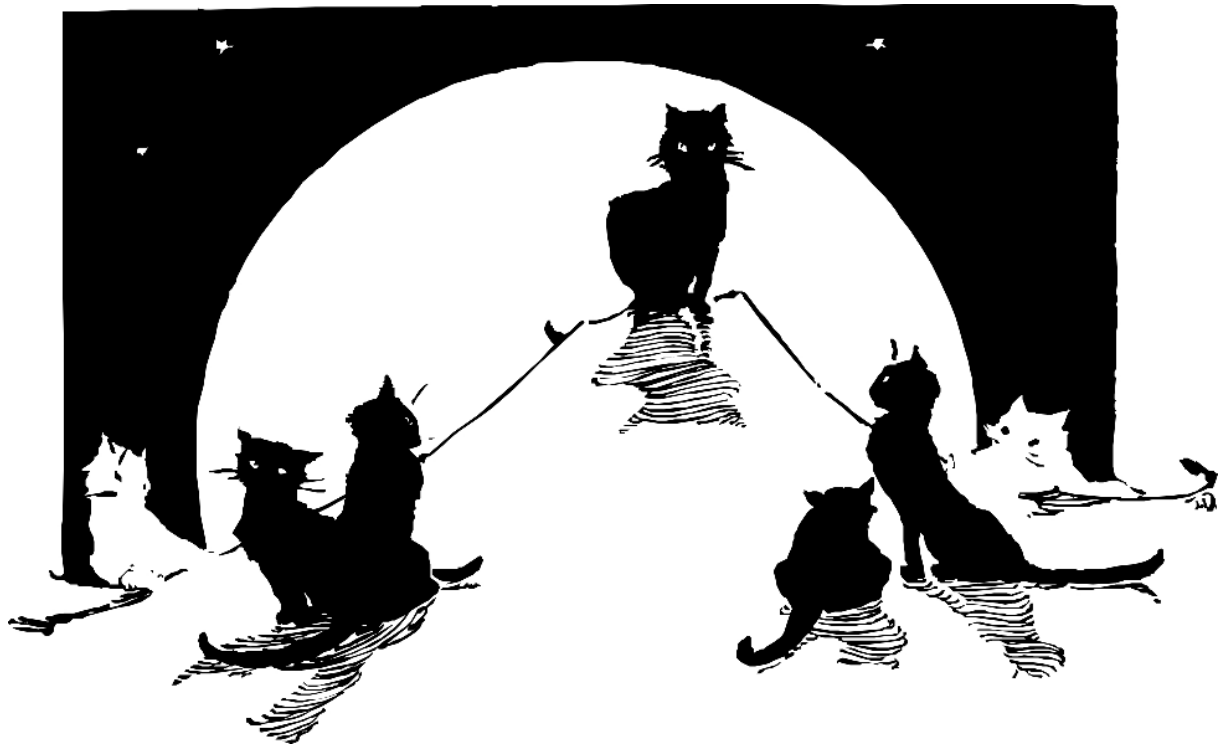
baba z wozu kotom lżej
kot do kota aż będzie sobota
kto z kotem wojuje od kota ginie
kot pyta - nie błądzi
kot szybko daje - dwa razy daje
kot z kim przestaje - takim się staje...

(Stefan)





KOCI-LAPCI



KOCIEPACI

NIE RZUCIM KOTA SKĄD NASZ RÓD
NIE BĘDZIE NIEMIEC KOTÓW NAM GERMANIE
KOTA? PRADEM?
JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA, PÓKI KOTY ŻYJĄ
JAK SIĘ MASZ, KOCIANIE, JAK SIĘ MASZ (U U U)
ODKĄD CIEBIE BRAK, TRACĘ DOBRY SMAK, BŁAGAM KOCIE WRÓĆ...
KOCIE, KOCIE, PAMIĘTASZ, LATO BEZ SNU
MIAŁEM 10 KOTÓW, GDY USEKLSZAŁ O NIM SZPROTÓW...
KOCIA POGODA, SZYBY NIEBIESKIE OD TELEWIZORÓW...
W KOTA IDZIEMY, BRACIA PANOWIE, W KOTA IDZIEMY...
L
RODZINA KOCIEPSZYŃSKICH, RODZINA JAKICH WIELE...
TAK PANIE DOKTORZE, JUŻ ODCHODZĘ OD KOMPUTERA I POJKNĘ TE TABLETKI
(Stefan)

JADA, JADA CHŁOPCY
CHŁOPCY RADAROWCY
ZA ZAKRĘTEM STALI
KOTA MU ZABRALI

WLAŻE KOTEK NA PEŁTEK I MRUGA
NO BO MIĞACZ W TYEKU MA

MIEDZY CISZĄ, A CISZĄ, KOTY SIĘ KOLEYSZĄ

JEDYNE CO MAM TO MARZĘTA
ŻE MOGĘ MIEĆ WŁASNE KOCIĘTA...

PRZYSWIECAŁA NAM MYŚL GŁÓWNA
KTÓRĄ TAK BYM UJĄŁ TU U U
PRZYJDZIE KOTEK I WYRÓWNA
PRZYJDZIE KOTEK I WYRU...
PRZYJDZIE KOTEK - I WYRU!
(Stefan)

JADA, KOTY KOLOROWE, TABORAMI

A JA MAM KOTA PO SŁOWACKIEJ STRONIE
KOTY URODZĄ SIĘ NOWE NAM

MARKOTKA MÓWIA MI, ON NIE WART KOCIEJ ŁZY

TO BYŁE MAJ, PACHNIAŁO KOCIA MIĘTA

WSRÓD WYSOKICH TRAW, GŁĘBOKI STAW
JAK MNE NIE POKOCHASZ, KOTA CI UTOPIĘ

ZNOW KSIĘZNICZKA ANNA SPADŁA Z KOTA
KAT NA KACU KATU KOCEM KOTA POGONI
(Cezarian)

KOT, KOT, PEŁNĄ ŁZY, W ŁEZ KAŁUŻACH KOT I TY

KOT, KOT, KOCHANECZKU MÓJ
GDZIE SIĘ PODZIAŁ NIENAGANNY UROK TWÓJ

KOCIĄKU, CZY CI NIE ZAL?
KOCIĄKU, WRACAJ DO HAŁ

W MUROWANEJ PIMNICY
TAŃCOWALI KOTYTY

TE KOTKIĘ KTÓRĄ TU WIDZICIE ZOWIĄ MAJĄ
WSZYSCY ZNAJĄ MAJĘ I KOCHAJĄ
MAJĄ SKACZE TU I TAM
SWÓJ KOCI ŚWIAT POKAZUJĄC NAM
LA LA LA

JADĄ KOTY KOLOROWE TABORAMIL

SZŁA KOTECZKA DO LASIECZKA
DO ZIELONEGO, A HA HA
DO ZIELONEGO A HA HA
DO ZIELONEGO!

KOT DO BOJU NA ZAGRZEWA
CIĘŻKIE OKO SIĘ ODMYKA
USTA MILCZĄ DUSZA ŚPIEWA
GIMNASTYKA!
(Stefan)

KOLEGA (WRÓZACY): - BĘDZIESZ MIEĆ SYNA
KOLEZANKA (WRÓZONA): - MIAŁ?
KOLEGA (WRÓZACY): - NIE KOTA SYNA.
(duch pedadoga)



"ZABAWY Z KOTEM"
"KOT NA DACHU"
"DZIEŃ KOTA"
"WSZYSCY JESTEŚMY KOTAMI"
"OBSELUWAŁEM ANGIELSKIEGO KOTA"
"KOT NAD KUKUCZYM GNIAZDEM"
(Zygryd)



KOTA, KOTA, KOTA NAM DAJCIE
A JAK UMRE POCHOWAJCIE.

BO DO KOTA TRZEBA DWOJGA

KOT KTÓRY MÓWI

JAK KOTY NA NIEBIE

ACH RUDY, RUDY, RUDY KOT
JAKA PIĘKNA SZTUKA

MY CZTEREJ PANCERNI
RUDY I NASZ KOT.
(Stefan)

POEZJA DŻEMOPODOBNA

Licentia poetica sensu stricte:

Konikowi w łożu dano:
W jeden dżemik, w drugi siano.

Bądź licentia poetica sensu largo:

Konikowi do pyska wklep
Najpierw dżemik, potem chleb.
I nie zapomnij go zwałić z nóg
By kopytka lizać mógł.
(Cezarian)

Mandzurio! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak
dżemu
Słoik! Ile cię trzeba cenić nie dane jest temu
znać, kto cię nie stracił! Dziś piękność twą w
całej ozdobie
widzę i oblizuję swe palce po tobie...

Miałeś chamię złoty róg, miałeś chamię
dżemu słój...
Ostał ci się ino... (eee, tu zrobimy takie
niedomówienie...)

Słoik dżemu mocno śpi
Słoik dżemu mocno śpi
my się nie boimy
słoik odkręcimy
a kto pierwszy ten dżem zje!

(Bruxa)

#op , #op , #op SŁOIK DŻEMU
#op , #op , #op SŁOIK DŻEMU
#op , #op , #op SŁOIK DŻEMU
#op SŁOIK DŻEMU #op !
DNEM MOJEGO SŁOIKA JEST PIERWOTNA MŚCIWOŚĆ
A MOIM #ERBEM JEST SOCZYSTA TRUSKAWKA
ZDEBIAŁYCH KONI LAWINY , LAWINY
i OFICERÓW (Z MANDZURII) ZASMUCONE MINY
(Zygfryd)

Z pijanym słoikiem co zrobimy, z pijanym
słoikiem co zrobimy
Coby pęknie raniutko?
Najpierw óżemik wybierzemy, najpierw óżemik
wybierzemy
By nie zepsut się szybciotko
Potem skórupki obškrobiemy, potem skórupki
obškrobiemy
By óżiasetek nie raniły
Wreszcie paluszki wylizemy, wreszcie
paluszki wylizemy
By smaczek straciły.
(Cezarian)

To był dżem
w zupełnie starym stylu
to był dżem
za czasów automobilu
Piękny dżem
panienki za nim mdlały

(Stefan)

LECIAŁ SŁOIK DŻEMU Z ŁODZI DO ZGIERZA
PO DRODZE PATRZY, STRAŻAKA WIEŻA
NA WIEŻY STRAŻAK DŻEMIK GOTUJE
NA DOLE STÓJĄ GAPIĄ SIĘ LUDZIE
UGRYZE SŁOIK STRAŻAKA ŚRODZE
PODSKOCZYŁ STRAŻAK NA JEDNEJ NODZE
(Fasiol)

A w Krakowie na Brackiej pada dżem
z góry na dół słoiki
jak lemingi, chomiki...
Dziadek Jacek pomyślał "Ja to zjem"
Przyklejony do ściany
lizał lepkie dywany
nie od deszczu lepkie, lecz przez
dżem...

(Bruxa)

- Wlazł kotek na płotek i drzemie
 - leży tam i marzy o dżemie
 - nie długo, nie krótko pomyślał
 - po dżemik syneczka już wystał.
- (Wichura)

PRZEŻUJ TO SAM!
PRZEŻUUUUJ TO SAM!
KIEDY KROMKA CHLEBA JEST JAK
GŁAZ,
SŁOIK DŻEMU JESZCZE MBBBSZ!
(duch pedagoga)

Doputy DŻEM DŻEMA NOSIŁ
 Dopóki SIĘ NIE SPOWIDŁOSIŁ
 I NIC SIĘ NA TO NIE PORADZIŁ
 JAK SIĘ SPOWIDŁOSIŁ TO I SIĘ
 ZMARMOLADZI.

(Cezarian)

...PRZEPIJEMY NASZEJ BABCI DŻEMIK
CAŁY,
DŻEMIK CAŁY, DŻEMIK CAŁY
TAKI PYSZNY, SMAKOWITY, DOSKONAŁY.
JESZCZE DZIŚ, JESZCZE DZIŚ, JESZCZE
DZIŚ!!!!
(Alexia)

Dżemik, dżemik, nad dżemikami?
 A wciska się drzwiami i oknami.
(Cezarian)

Miałem dziesięć lat
 Kiedy pierwszy dżem żem zjadł
 Truskawkowy był o tak...
 (...)

Powiedziała mi, różne dżemy mogą być
 Ja jej że powidło mam
 Odkręciła go, ale szybko pękło dno
 Znów jak pies, nie miałem co jeść..
(Stefan)

Było nas trzech
 W każdym z nas inny dżem
 Ale jeden przyświecał nam cel
 Za kilka lat mieć u stóp każdy smak,
 wszystkiego w bród
 Powideł łyk i dyskusje po świt
 Niecierpliwy w nas ciskał się Duch

Ktoś dostał dżem, to stracił go ktoś,
 coś działo się

Poróżnił on nas, za jego śliwkową
 twarz

Każdy by się zabić dał.
 W pewna letnią noc gdzieś na dach
 wyniosłem koc
 I dostałem dżem, com chciałem.
 Powiedziała mi, że kłopoty mogą być,
 Ja jej, że powidła mam
 Odkręciła słoik, nie zapukał nikt na
 czas
 Znów jak Murzyn byłem sam.

Stu różnych smaków
 Czym ugasić mój apetyt
(Zygfryd)

Mandżuryki, czyli moskaliki w zalewie poszepczyńskiej

Kto powiedział, że Japońce
piją kawę w każdy rano
tego poszczuję zaskrońcem
w wirydarzu urszulanek.

Kto zaś twierdzi, że Japońca
da nauczyć się oglady,
ten nie ujrzy więcej Japońca
nad kapliczką świętej Ady.

Kto rozgłasza, że Mazurom
można bez zastrzeżeń ufać
temu się przyłoży rura
w zakrytiii Świętego Ducha

Komu zaś się Słupy Leon
się wydaje cud amantem
temu wsadzą w ucho neon
pod obrazem z Janem Kantem

Kto powiedział, że Grzegorza
nie da się określić szmatą,
temu wsadzi się węgorza
w nawie za świętą Agatą

Kto opowie, że Mandżurzy
zawsze czyste mają lica,
temu czoło się zachmurzy
na Kalwarii w Wambierzycach

Kto powiedział, że Mandżurom
bliskie są zwyczajnie nasze
temu się wykubie pióro
w krypcie pod Kaplicą Czaszek

Kto określił Yamamoto
mianem Polski przyjaciela
tego się wdeptuje w błoto
po nieszpotech co niedziela

Kto się uprze, że Japończyk
nie ucieka z placu boju
ten swój nędzny żywot skończy
"Pod Aniołem" w Łądku Zdroju

Kto zaś nazwie Oczywizdość
periodykiem znakomitym
ten "dogłębnie" pozna czystość
w latrynie u karmelity

Kogo zaś kapral Jedziniak
urzekł jako wzór dowódcy
temu oko w wielki siniak
przyzdobią mnisi puccy

Kto powie o Poszepczyńskich,
że zalety mają liczne,
temu zrobią kawał świński
w Śnieżnej Marii na Iglicznej.

Kto o Poszepczyńskich powie,
że to przykład dla Polaków
z wieży dyndać będzie sobie
tej Mariackiej, w mieście Kraków
(Bruxa)

Kto by rzekł, że panna Inga
puszcza się i nisko ceni
tego dotknie ostro klinga
chodby i w klasztornej oieni

Kto by kiedyś rękę podniósł
na biednego psa Murzyna
jak najszybciej by się przeniósł
na Mokotów kwiatki woinać
(Zygryd)

Kto uważa, że Maryla
to ostoję wszelkich zalet
temu się wpakuje ryja
w przyklasztorny mnichów szalec.

Kto uważa że jest szpiclem
uroczą Gertruda Czaja
temu ktoś okopie odwołok
na mszy przy 3 Maja

Kto na Maccka Zembatego
złej cenzury miecz podniesie
tego zarżniem i porzucim
przy kapliczce w ciemnym lesie.

A kto Bruwie śmie zarzucić
iż jaźń owej jest wariacką
jego zwłok znajdą wkrótce
w lochach pod wieżą Mariacką
(Wichura)

A kto powie o Wichurze
że prawdziwym jest bywalcem
temu zrobim kuku duże
chodny proboszcz groził palcem

A kto nazwie zaś Stefana
certyfikowanym Igarzem
ten na skórce od banana
się przejedzie przed ołtarzem

Kto zaś powie, że nam wążek
każdy grzęźnie w tataraku
z tego się ostanie szczątek
gdzieś za monastyrem w Baku
(Bruxa)





Koń, iaki iest, każdy widzi



Sciencyi de Mundi creature uzupełnienie najświeższe

Bruxa mirabilis kreatura yadowita iest, na rodzaj ludzki zayadła, przeto opisanie monstrum takowego ni u Pliniusza ni w xięgach naszych locum mieć nie może.

Chirocephaliones vulgo dłoniogłowce, powidają o nich xięgi starożytne, że we dłoni głowę noszą, aby wzniósłszy ją wysoko, jako Camelopardalus wysokimi stać się i z teyże elevacyi świat circem oglądać. Wojna ich najslawniejsza z *Felidaes* to iest Kotami, czując sympatycznie ich za swoich adwersarzón, na nich często biją, oni też e converso siebie broniąc, czynią wielką w nich klęskę.

Felis stephanus w Polszcze Kotem od plebsu zwany, bestyia pożyteczna i udała iest. On domostwa a dobytku od szodnika salwuje, osoblinie creaturi ospałego umysłu z zasadzki na nie rzucający się chwyta, a niemi się pasie. Kota dzikiego pochwycić chcący, łowią go wino nastawivszy, którym upiły, idzie im in praedam.

Paedadogus pośród braci szlacheckiej naibarziy w xięgach oczytanym będąc, szlachetnego kunsztu Kalkomanii inventor

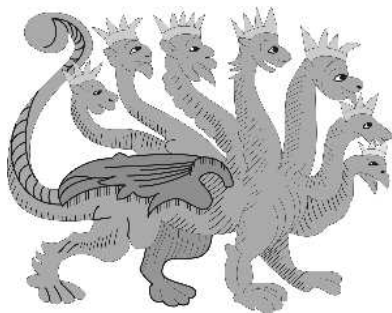
Sedes nie długo in *Theatro* moich zabawi *Aten*, iako że jaki jest, żywy jednym, drugim malowany bywa obiectum w oczach.

Zigfridus liczbą *Beliala* pieczętujący się, nikczemnego wzrostu *daemonus* iest, ogniem z gęby płwający. Lękać się go człek prawowierny nie musi, wiedzieć zaś to potrzeba generaliter, że i na niego *remedium* od natury zkoncyponwane iest.

Faeniculum, *Verbena*, *Rosae*, *Chelidonia*, *Ruta*
Ex his confice aquam, quae lumina reddit acuta.

To iest wódka zrobiona z kopru włoskiego, z koszyczka, z Róży, z jaskółczego ziela, z Ruty bardzo na oczy pomocna i wzrok czyni bystry. Tey zażywszy, *exorcizmonawszy* wprzód, wzrok wyostrzysz a uźrzysz, że *Zigfridus* *creatura* pościva iest.

(*Bruxa*)



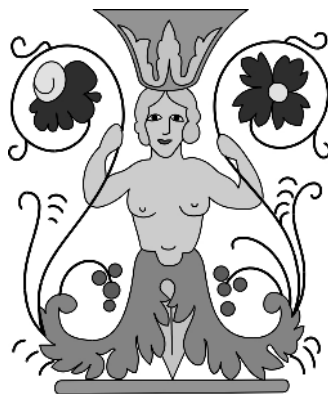
Familiae *Poszepszyskae* *forumae* *interretiarius* *universalis*

– dziwne a *extraordynaryne* stwora nad wyraz *nieobyczajne*, kobiece *wścibskość* a *złośliwość* i *męskie* *porywczosć* a *pożądliwość* i *arogancje* w sobie *kumulujące*, a to *wszystko* za sprawą *śluzu* i *czarnej zółci* z której powstały i któremy się ze *wstrętem* dla *wszystkiego* *bożego* *stworzenia* *pożynwiają*. *Postawy* *miernej* a *chędogięy*, *intelektu* *niskiego* a *wulgarnego*, *ochędóstwa* *nieobyczajnego*. *Wielkie* i *niespodziwane* w *każdey* *familiae*, do której *wnijdą* *despecta* *czynią*. *Babom* w *rodzeniu* *szkodzą*, *kondycje* *im* *osłabiając*, w *wymia* *krowie* *zółc* *wpuszczają*, *relikwie* *święte* *po* *obejściu* *chowają* i *niszczą*. *Złe* to *bestyie* i *niczego* *krom* *może* *jednego* *xiędza* *exorcysty* się *nie* *bojące*. *A* *bojaźń* *przede* *nimi* *wielka*, *bo* *się* *z* *wiatrem* *jako* *po* *wielkey* *sieci*, *po* *całym* *znanem* *universum* *przenoszą*. (*Cezarian*)

IMPOSSIBILIA NIEKTÓRE

- 1. Panią Bożenkę y Pana Włodka od niolencyi odwieść*
- 2. Datę urodzin dziadka Jacka exigo ustalić.*
- 3. Stanisława Gąsienicy prochy odnaleźć i in terra pochować.*
- 4. Na Jacku Poszepezyńskim wyrok śmierci skutecznie exequować.*
- 5. Grzegorz szmatą bydz przestanie.*
- 6. Panna Inga za mąż wyjdzie.*

*To wszystko zdaie się y iest u ludzi za impossibile.
(Pedagog)*



NASZA WŁASNA ANEGDOTA WPROST Z 1904 ROKU

W NIEZAPOMNIANYM ROKU 1904 SZEDŁEM PRZEZ STOŁÓWKĘ I MYŚLAŁEM O RYZU Z DZEMEM, AŻ TU NAGLE WIDZĘ PRZED SOBĄ TEGO ŁOBUZA, ZACHARIASZA DOROŻYŃSKIEGO PALASZUJĄCEGO SWÓJ PIERWSZY OSTATNI POSIŁEK.

PODSZEDŁEM WIĘC KOCHANI DO NIEGO NA PALCACH I WALNAŁEM GO W PLECY KIJEM GOLFOWYM I POMYŚLAŁEM:

- SKĄD MAM TEN KIJ?

- I WYOBRAZIE SOBIE, DOPIERO WTEDY ZDAŁEM SOBIE SPRAWĘ, ŻE TO NIE JEST KIJ GOLFOWY I TO NIE JEST ZACHARIASZ DOROŻYŃSKI, LECZ

MÓJ PRZEŁOŻONY KAPRAL JEDZINIĄK ... "CZY JEST COŚ O CZYMŚ NIE WIEM, POSPIE... POSZEPSZYŃSKI"? - SPYTAŁ Z WYKRZYWIONĄ BÓLEM TWARZĄ KAPRAL

JEDZINIĄK, KTÓREGO W TYM NIECODZIENNYM I DOSKONAŁYM PRZEBRANIU MIAŁEM PRZEMYCIĆ NA STOŁÓWKĘ, A PRZYWALIŁEM NIM W JEGO OSOBISTEGO

PRZEŁOŻONEGO, PRZEBRANEGO ZA PASKUDNEGO, CZERWONOSKÓREGO JAPOŃCZYKA.

POSTANOWIŁEM NIE CZEKAĆ NA REAKCJĘ JAPOŃCZYKA LECZ WZIAŁEM NOGI ZA PAS, KTÓRY ZRESZTĄ UKRADEŁM JAPOŃCZYKOWI I UDAŁEM SIĘ NA DWORZEC

KUK KOLEJI ŻELAZNEJ, ABY JAK NAJSZYBCIEJ ODDALIĆ SIĘ Z PECHOWEGO MIEJSCA PIERWSZYM POCIĄGIEM PAROWYM W MANDŻURII, KTÓREGO URUCHOMIENIE

ZAPOWIADANO OD DŁUŻSZEGO CZASU NA DWORCU BYŁE TŁOK I ŚCISK, JAK TO NA PETERSBURG PRZYSTAŁO, PRAWDA, MÓWIĘ WAM PIĘKNE MIASTO, PANIE, ŚWIATOWE,

PANIE, NOWOCZESNE A TE ROSJANKI MHHM COŻ TO ZA KOBIETY PALCE LIZAĆ,

ZJADĘBYM CHLIEBA... Z DZEMEM I POPILBYM WODA... "GRZEGORZU JA JUŻ NIE WYTRZYMAŁ, TEN STARZEC PRZEJĘ, NAJPRAWDOPODOBNIĘJ, NASZE WSZYSTKIE

OSZCZĘDNOŚCI," "USPOKÓJ SIĘ MARYLU, PAPA, JADĘ JUŻ DZISIAJ OJCIEC ŚNIADANIE, W ZASADZIE, I TO POWINNO OJCU WYSTARCZYĆ, JAK TO MAWIAŁ WIELKI

FRANCUSKI POETA TOMASZ SZEKSPIR, NIE ŻYJE SIĘ PO TO ABY JEŚĆ, ALE JE SIĘ... JAK TO BYŁO MAURYCZY" "DOBRE WIEŚ OJCZE, ŻE LITERATURA JEST MI

ZUPEŁNIE OBOJETNA, JESTEM PRZECIEŻ CHEMIKIEM," "SŁUSZNIE CHŁOPCZE, ALE O CZYM TO JA MÓWIŁEM, PRAWDA, A TAK, NO I NA TYM PRZEPYSZNYM MANDŻURSKIM

DWORCU, PRAWDA, SACZĄC W WYTWORNEJ, PRZYDWORCOWEJ KAWIARENCE SZKŁANKĘ WYBORNEJ MANDŻURSKIEJ HERBATY, GDY TU NAGLE WIDZĘ ZATAČAJĄCĄ SIĘ

PRZY TORACH POSTAĆ, OBRZYDLIWA MÓWIĘ WAM, TWARZ SPUCHANIĘTA, ZIELONA,

POSINIACZONA PO DŁUŻSZEJ OBSERWACJI OKAZAŁO SIĘ, ŻE BYŁ TO MOI KOCHANI NIE KTO INNY JAK MÓJ STARY KOMPAN SEBEK

SEWASTOPOLSKI...

"SEBEK" MÓWIĘ DO NIEGO" A ON NIC!! RZUCIŁEM W NIEGO (ŻEBY ZWRÓCIŁ NA MNIE UWAGĘ) DWOMA BANANAMI I JEDNĄ GUMOWĄ KACZKĄ. MUSIĆ WIEDZIEĆ MOI

MILI, ŻE TE OTO GUMOWĄ KACZKĘ OTRZYMAŁEM SWEGO CZASU JAKO DAR

WDZIĘCZNOŚCI OD PEWNEGO MANDŻURSKIEGO CHŁOPA. GDY W NIEZAPOMNIANYM

ROKU 1904 NASZ ODDZIAŁ PRZECZESYWAŁ NAPOTKANĄ NA NASZEJ DRODZE, OKOLICZNĄ WIOSKĘ, KAPRAL JEDZIŃIAK ODKRYŁ NIESPODZIEWANIE, W BRZUCHU UBITEGO UPRZEDNIO MANDZURSKIEGO WOLU BUTELKĘ, KTÓRA OKAZAŁA SIĘ BYĆ KU NASZEJ OGROMNEJ PRAWDA RADOŚCI POLSKI TRUNKIEM WYSOKOPROCENTOWYM (72%) POCHODZĄCYM Z REGIONÓW PODLASIA O DUMNEJ I DŹWIĘCZNEJ NAZWIE "RADUNIANKA".

TRZASK PRASK ALE JESZCZE NIE PO WSZYSTKIM !! SEBEK STOI JAK STAŁ, ZACZĄŁEM DO NIEGO KOCHANI NAWET POWOLI STRZELAĆ Z PALCÓW, PROCY, GŁOCKA, MOŹDZIERZA, ARMATY...

DOPIERO GDY OTWORZYŁEM SŁOIK Z DZEMEM TRUSKAWKOWYM I ZJADŁEM GO W CAŁOŚCI MA SIĘ ROZUMIEĆ "PALCE LIZAĆ", SEBEK OTWORZYŁ NAJPIERW LIEWE, A POTEM PRAWE OKO... I ROZPŁYNAŁ SIĘ W POWIETRZU JAK SMAK PO OSTATNIEJ ŁYŹCIE SŁOIKU Z DZEMEM. I WTEDY STAŁO SIĘ JASNE ŻE SEBEK JEST DŹINEM "TOWARZYSZU DZIADKU JACKU POSZEPSZYŃSKI" MÓWIĘ DO MNIE DUCH SEBEK "JAKO NAJPRAWDZIWSZY DŹIN SPEŁNIĘ TWOJE TRZY ŻYCZENIA"... DOBRA, MÓWIĘ DO NIEGO, PO PIERWSZE MOŻE SŁOIK Z DZEMEM TRUSKAWKOWYM DRUGIEGO I TRZECIEGO NIE ZDAZYŁEM WYPOWIEDZIEĆ Z DZIAKĄ NAMIĘTNOŚCIĄ RZUCAJĄC SIĘ NA SŁOIK Z DRZEMEM DOPIERO CO WYCZAROWANYM PRZEZ "SEBKĄ" I WTEDY SEN SIĘ SKOŃCZYŁ TRZASK PRASK I PO WSZYSTKIM !!!

(MUSTEKÓŚ, CEZARIAN, PEDADOG, HEMETAL, ANDRZEJŹY, STINKS, DIESMURZYN, BAADER, STEFAN BOLCMAN, BARTELEY, TOSIAÓŚ, KÓŚ, ZYGFRYDÓÓÓ)



Z pamiętnika szeregowego Psiakostki

Ja tam kochani niczego się nie boję. W niezapomnianym roku 1939 wraz z kapitanem Motylanoga przeprowadziliśmy udany atak lotniczy, po tym, jak mój przełożony spożył słynną grochówkę wojskową, którą z braku innych środków ugotowałem z surowych ziemniaków i gwoździ papowych. Dostał od niej takiego wzdęcia, że unosił się w powietrzu niczym, prawda zeppelin, dzięki czemu z jego pokładu a właściwie pośladków mogłem ostrzeliwać wrogie okopy - jak widzicie wspólny wypiłek może przynieść nieoczekiwane zgoła korzyści.

W niezapomnianym roku 1939 nieprzyjaciel miał nad nami wszelką przewagę, tym niemniej udało nam się dać mu w kość, bo każdy z nas miał inny mundur, przez co wróg nie wiedział do kogo strzelać a do kogo nie. Ja na ten przykład miałem mundur pruski z takim dekielharubem, a mój dowódca Motylanoga miał na sobie ubiór tancerki z teatrzyku Ananas - mówię wam palce lizać.

Jak zwykł mawiać mój bezpośredni przełożony gen. Motylanoga:
"Raz na wozie raz w nawozie"

W niezapomnianym roku 1939 nieprzyjaciel miał na nami wszelką przewagę, a mimo wszystko udało nam się przez dwa dni utrzymać swoje pozycje. Po prostu wydano nam nieświeże konserwy, po których zaczęły nam strasznie dokuczać prawda gazy. Gazy te nas rozpięrały i rozpięrały znajdując ujście drugim końcem. Gdy wzrosło stężenie metanu wybuch zmiotł całą niemiecką forpocztę. Tak do jak widzicie praca zespołowa przynieść może zaskakujące rezultaty. Pojedynczo to moglibyśmy sobie prawda, panie, naprukać ale w grupie to szast prast i po wszystkim!

Nie wiem czemu, ale przypomina mi się niezapomniany rok 1939 gdy z powodu zakrzywienia lufy armatniej zamiast sztabu wroga rozwaliliśmy dach pobliskiego kościoła. Oczywiście zwaliliśmy wszystko prawda na Niemców, a księdzu, abry nie dociekał, dlaczego ucierpiał dach akurat od naszej strony wytłumaczyliśmy mu, że z tą dziurą to bardzo dobry pomysł, bo dzięki niej wierni mogą panie ławieje podziwiać majestat stwórcy. Szast prast i po wszystkim

Pamiętam jak w niezapomnianym roku 1939 wróg zdobył naszą kuchnię polową i nie mieliśmy nic do gęby włożyć więc wsadziliśmy tekturę do tosterka, abry chodry celulozą głód oszukać. Z braku oleju posmarowaliśmy te nasze grzanki prawda benzyną. W wyniku tego cała nasza linia okopów poszła z dymem. Mimo wszystko zostaliśmy odznaczeni za odwagę, gdyż niejako przy okazji spłonął cały dywizjon nieprzyjacielskich szturmujących nasze pozycje. Na tym przykładzie kochani, widać, że warto się uczyć gotować!

Pamiętam jak w niezapomnianym roku 1939 przez podobne zamieszanie cały nasz oddział dostał się do nieprzyjacielskiej, prawda niewoli. Gdy padł rozkaz "wszyscy w nogi" przez małe nieporozumienie postrzeliliśmy 173 krotnie w obie nogi pewnego sturmbahnführera, przez co okropne on miał do nas pretensje. Zupełnie nie wiem o co - przecież tym sposobem załatwiliśmy mu całkiem pokazną prawda rentę.

Zupełnie jak mój dowódca kapitan Motylanoga, którego wszyscy pamiętamy nie z dzielnych szarż, a z tego, że go w tyłek z łuku postrzelił importowany zuluski powstaniec, który choć miał prawda dobre intencje posiadał niestety straszne zeza.

Zupełnie jak w niezapomnianym roku 1939 kiedy to nasz oddział trzymał skórzane, prawda chlebaki. Niestety nasz transport chleba z dżemem wpadł w ręce nieprzyjaciela, który miał nad nami wszelką przewagę. Tym niemniej udało nam się utrzymać nasze pozycje aż do kolacji, właśnie dzięki tym skózanym chlebakom, upieczone w ogniu walki uchroniły nas od śmierci głodowej.

Zupełnie jak w niezapomnianym roku 1939 gdy nieprzyjaciel miał nad nami wszelką przewagę, a główne siły wroga, które wzięliśmy za zwiad taktyczny bez problemu zdobyły nasze pozycje. W tym czasie ja jako członek kompani karne... znaczę się w dowód uznania pełniłem dyżur w kuchni polowej. Właśnie przyrządzałem moją specjalność: sznydel z mintaja w panierce z płaty wiórowej, gdy dwóch uzbrojonych po zęby Niemców wtargnęło do kuchennego namiotu. Gdy jeden z nich ujrzał płonący dej na patelni odruchowo zalał go wodą. Co było dalej, nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że ów Niemiec dostał od nas pośmiertny order za zniszczenie kuchni polowej, która spłonęła doszczętnie, dzięki czemu nie dostała się w ręce wroga. Niestety pomimo tego niewątpliwego sukcesu militarnego nasz oddział musiał obejść się smakiem. Morał z tego taki, abyście nigdy nie wierzyli w talenty kucharzkie zagranicznych gości.

Zupełnie jak w niezapomnianym roku 1939 gdy wróg miał nad nami wszelką przewagę. Wtedy to kucharz polowy zaserwował gotówki, które z braku kapusty owinał w onuce, po których tak nas popędziło że wróg przez cały dzień nie mógł zdobyć naszej wierzby telegraficznej nie mając odwagi lub podejść nawet od spodu, nie mówiąc już o działaniach zaczepnych. Z dala zaś w ogóle nic nam nie mógł zrobić gdyż w owych czasach powietrze na Śląsku było gęste i twarde jak kieinerowa stal

Zupełnie jak w niezapomnianym roku 1939, gdy wróg miał nad nami wszelką przewagę. Jednak nic mu z tego nie przyszło, bo nam się nie chciało walczyć. Na próżno nas błagali, próbowali przekupić - byliśmy nierugięci. I być może druga wojna światowa byłaby po dziś dzień nierozstrzygnięta z korzyścią dla nas wszystkich, gdyby nie to, że oficer Kurczepióro. Ten bezpośredni przełożony mojego bezpośredniego przełożonego kaprala Motylanoga po skonsumowaniu mojej słynnej zupy lekarskiej ze spirytusu salicylowego i gazy opatrunkowej postanowił pojeździć na noszach samobieżnych. Niestety wnet stracił panowanie nad pojazdem wypadł z trasy i uderzył we wrogi skład amunicji wywołując eksplozję. Co prawda wróg doznał strat w ludziach i sprzęcie, ale niestety zrealizował swój miesięczny plan śmiertelności na polu bitwy. Dlatego jak widzicie nie warto jeździć w stanie skazującym na spóźnicie.

Mówcie co chcecie, ale żułą z dżemem palce lizać.

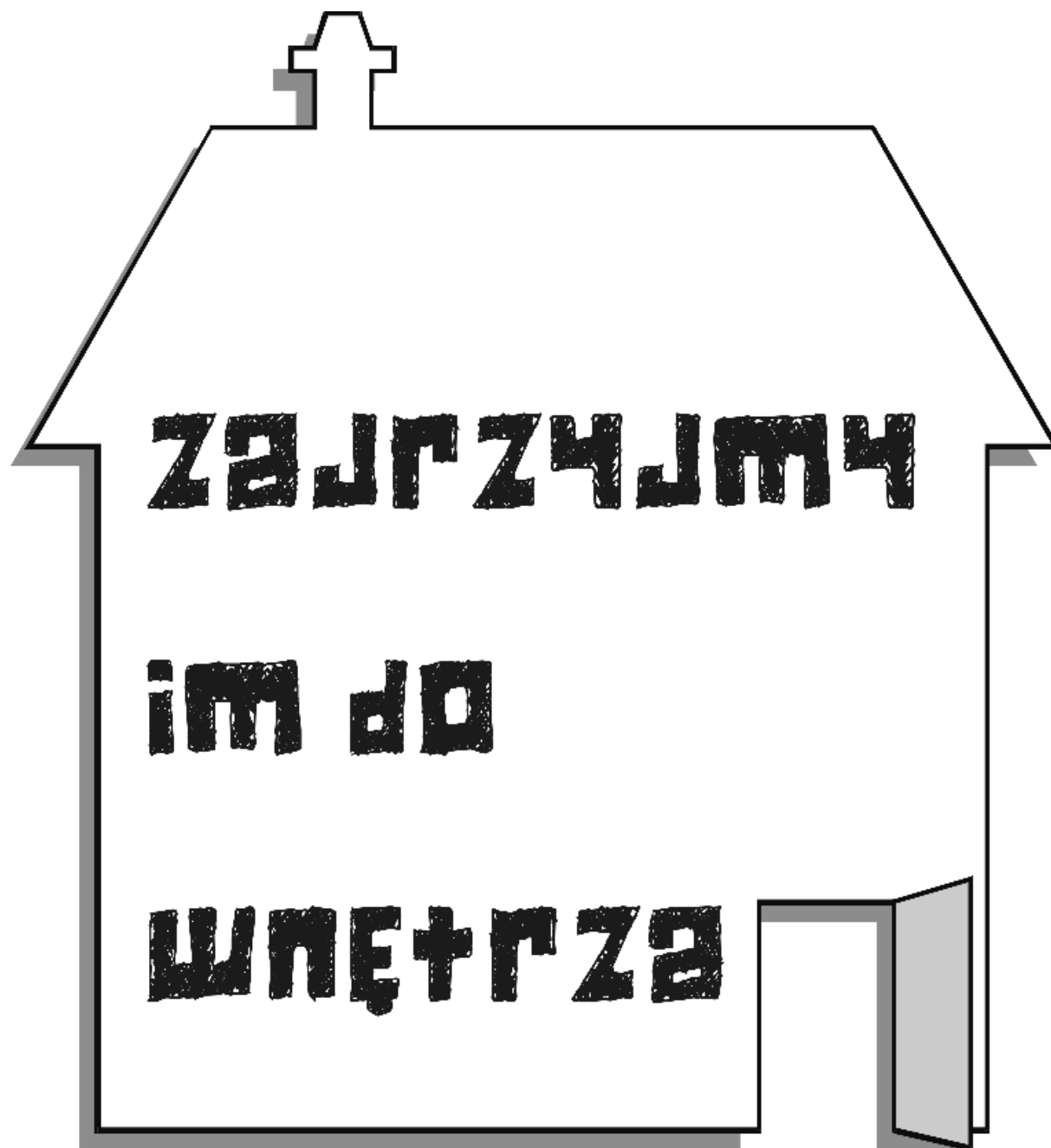
Niczym w niezapomnianym roku 1939, kiedy to wróg miał nad nami wszelką przewagę i obronić się było, nie sposób. Dlatego postanowiliśmy, że sami się rach ciach najedziemy, pokonamy i złupimy, nim wróg zdąży to zrobić za nas. Pech chciał, że pierwszą osobą którą złupiliśmy był miejscowy gorzelnik. Tak się wtedy tym łupem ożłopaliśmy, że na drugi dzień łupalo nas w głowach do tego stopnia błagaliśmy wroga, aby ten nas prawda rozstrzelał. Jednak wróg był nierugięty i nie chciał ulżyć nam w niedoli. Morał z tego taki aby nie ufać obcym, zwłaszcza dewizowcom!

Piwo to orzeźwiająca krystaliczna woda i pożywny słód przyprawione jeno chmielem. Wie to każdy, kto w niezapomnianym roku 1939 roku próbował produkować płynne złoto.

Wtedy to wróg mający nad nami wszelką przewagę odciął nas od ujęć wodnych zmuszając nas do produkcji piwa ze strumienia płynącego koło pobliskiej cementowni. Niestety filtrować napój też było czymś, więc nasypaliśmy do kadzi fermentacyjnych saletry potasowej i węgla drzewnego. Piwo powstało tak mocne, iż o jego konsumpcji nie mogło być mowy. Za to dzięki właściwościom wybuchowym z powodzeniem użyliśmy go jako pocisków przeciwko wrogim formacjom pancernym strzegącym pobliski browar. Morał z tego taki aby zawsze, ale to zawsze stosować przyprawę z umiarem.



Poszepszyńscy semper vivens!



Nasz własny odcinek Rodziny Poszepszyńskich (praca zbiorowa)

Dziadek Jacek: Maurycy, czego dosypałeś mi do herbaty, czy to przypadkiem nie jakaś trucizna?

Maurycy: Tak dziadku, to trutka na szczury

Dziadek Jacek: To uspokoiłeś mnie mój chłopcze, bo już się bałem że to trutka na ludzi.

Grzegorz: Mauryyyy, czy ty oszalałeś? A jeśli Dziadek Jacek był w poprzednim wcieleniu szczurem? Nie zapomnij z czyjej to ekhem...renty żyjemy jakby nie było.

Dziadek Jacek: Słuszna uwaga. Nigdy bym nie przypuszczał, choć w przeszłości zdarzało mi się zażerać wręcz serem (z dżemem rzecz jasna palce lizać). A na sam widok kotów (zwłaszcza japońskich) od razu przechodziły mnie dreszcze. A było to tak:

W niezapomnianym roku 1904 dowiedział się o tym pewien generał japoński. Nastąpił na nasz obóz tajnego prawda szpiega w przebraniu prawda kota. Na długie tygodnie wyeliminowało mnie to z walk, gdyż zaszyłem się w norze, nie zwracając uwagi na otaczające mnie prawda wydarzenia. Dopiero sam kapral Jedzinaiak zdecydował, że jedynym sposobem jest odcięcie mnie od wszelkich zapasów żółtego prawda sera. Właśnie wtedy to postanowiłem przerzucić się na dżem (najlepiej truskawkowy), gdyż praktycznie tylko to mieliśmy do jedzenia, oprócz sera. Trzask, prask i po wszystkim panie.

Maryla: Oj ojciec najprawdopodobniej znowu bredzi - przecież to głupie. Jak człowiek może być myszą.

Grzegorz: Milcz głupia kobieto! Nie słyszałaś nigdy o rekinkarnacji?

Maurycy: Reinkarnacji drogi tatusiu.

Grzegorz: Nikt cię nie pyta o zdanie.

Maryla: Nie słyszałam. Ty jesteś taki mądry Grzesiu.

Grzegorz: To przecież jasne, że ludzie dobierają się na zasadzie przeciwieństw.

Dziadek Jacek: Co prawda, to prawda córeczko jesteś w zasadzie tępą jak but. Poza tym, to co wym tam wszyscy wiecie. W niezapomnianym roku 1904 była niezwykle szczególna sytuacja. Ludzie przyjmowali cechy, a nawet wyglądy przeróżnych zwierząt: od świń, przez psy, koty, konie, a na myszach, szczurach, wydrach, szynszylach, królikach, świnkach morskich, stonogach...

Grzegorz: Papo.

Dziadek Jacek: Wiewiórkach, dzięciołach, lisach, bobrach...

Grzegorz: Papo!!

Dziadek Jacek: A ty się nie odzywaj! Sam wyglądasz jak szczur... Ech, w niezapomnianym roku 1905 nie takie szczury się widziało. Szczur z dżemem - palce lizać... Marylko, nie masz może chleba z dżemem?

Maryla: Nie mam! Ojciec najprawdopodobniej wszystko już zjadł!

Dziadek Jacek: Ani okruszyny? A może Marylko masz może szczura? Albo choćby karalucha? Pamiętam, kiedy w niezapomnianym roku 1905...

Maurycy: Ja mam arsenik.

Dziadek Jacek: To daj kocheneńki. Arsenik z dżemem - palce lizać!

Grzegorz: Maurycy! Ani się waż, ta trutka miała być na karaluchy.

Dziadek Jacek: A co ja gorszy od karalucha jestem!?

Grzegorz: Tego w zasadzie nie wiem, ale z papy rosołu w zasadzie zrobić się nie da - same ścięgna.

Dziadek Jacek: Co?! Nawet tego mi żałujecie? Policzymy się później, jak przyjdzie moja renta.

Grzegorz: No, no!

Maryla: I tak doskonale wiemy, że to ojciec wyjada kit z okien!

Dziadek Jacek: Tak! To wy mnie do tego zmuszacie, doprowadzacie mnie do ostateczności! Teraz, przez was znowu będę się musiał żywić (tflu!) kitem i to bez dzemu, trzask prask!

Maryla: Ojciec zrobił się na starość okropną zrzędą. Staje się ojciec nie do wytrzymania.

Grzegorz: Starość papy trwa już w zasadzie bardzo długo. To podejrzane. Może to zasługa tego kitu?

Maurycy: To na pewno dziadek wypija płyn do konserwowania maszyn biurowych.

Dziadek Jacek: Milcz smarkaczu!

Dziadek Jacek: Milcz smarkaczu! Kiedy w niezapomniany roku 1906...

Panna Inga: puk puk, czy można?

Maryla: Panna Inga, proszę.

Dziadek Jacek: Czy trzask prask dostała pani ten przekaz od siostrzeńca?

Panna Inga: Tak, właśnie listonosz zostawił avizo.

Dziadek Jacek: To nie odebrała pani?

Panna Inga: Nie, byłam w śmietniku w tym czasie...

Dziadek Jacek: Co za strata. Wezmę panią na wózek i pojedziemy na pocztę....

Panna Inga: Co za uczynny człowiek z pana, panie Jacku. No to w takim razie jedźmy czym prędzej.

Maryla: Niech tylko ojciec nie pędzi za bardzo, pamięta ojciec przecież co się stało ostatnio, kiedy to próbował nas ojciec dogonić, gdy jechaliśmy autobusem.

Dziadek Jacek: I dogonił bym was, tylko ktoś akurat na mojej drodze postawił ten przeklęty prawda, słup. Dość tego gadania, komu w drogę temu trzask prask...

Maurycy: I z mojego najnowszego eksperymentu nici. Mój obiekt doświadczalny właśnie odjechał.

Maryla: Nie przejmuj się synku, mamusia kupi ci lepszy.

Grzegorz: Że co?! Nie będziesz mi tu syna rozpuszczać. Wróci ojciec to Maurycy w zasadzie będzie mógł skończyć, co zaczął.

Maurycy: A propos rozpuszczania. Udam się teraz do swojego laboratorium i przygotuję trochę kwasu H₂SO₄, który mam nadzieję użyć do mojego kolejnego doświadczenia.

Maryla: Idź, idź, pobaw się synku grzecznie.

Pan Włodek: Ratunku! Pomocy!

Grzegorz: Dzień dobry panie Włodku. Co się w zasadzie stało?

Maryla: Znów się pan pobił z żoną?

Pan Włodek: Żeby! No niestety wręcz przeciwnie.

Grzegorz: Jak to? Przecież w zasadzie układało się państwu no całkiem nieźle.

Pan Włodek: Ale babę podkusiło i zgodziła się skorzystać z poradni małżeńskiej

Maryla: To chyba najprawdopodobniej dobrze?

Pan Włodek: A gdzież tam! Kurka wodna, była u psychologa i tam jej wmówili, że to nasze bicie to nie z miłości, tylko z jakichś - TFU! - kompleksów, a ona - skaranie boskie z tą babą - uwierzyła i jeszcze do tego jakieś tabletki tykać zaczęła.

Grzegorz: Świnia z tego psychologa - W zasadzie sam nikogo nie uderzy, a drugiemu też nie da - zupełnie jak kobyła u płotu ogrodnika.

Pan Włodek: Pana się tu żarty trzymają panie Grzegorzu, a ja nie wiem co robić. A jak babie tak zostanie? Zawsze taka zawzięta była i dobrze nam było razem, ja coś powiem, ona za nożyczki, to ja za siekierę...

Maryla: To takie smutne panie Włodku...

Pan Włodek: Ale właściwie to ja do pana Maurycego.

Grzegorz: Maurycy jest w laboratorium, a co pan jeśli można zapytać, chciał od naszego, w zasadzie, syna?

Pan Włodek: No właśnie rozchodzi mi się o to laboratorium. Czy pan Maurycy nie zrobiłby dla mojej żony jakiejś tej no... trutki?

Maryla: O Boże... Panie... Panie Włodku... Co też pan...

Pan Włodek: No co? Podam jej i będzie jak dawniej, co, zły pomysł?

Maryla: Ale jak to tak, Grzegorz jest co prawda kawałem szmaty ale nigdy bym go prawdopodobnie nie otruła...

Grzegorz: Otruła? Bua ha ha, ale ty jesteś głupia i prrrrymitywna, Marylo! Panu Włodkowi chodzi o odtrutkę. Powtórz: od-trut-kę!

Pan Włodek: Jak zwął tak zwął. To jak panie Grzegorzu?

<trzask otwieranych drzwi>

Maurycy: Ktoś tu mówił o trutce? Na szczury? Chcecie się pozbyć tego zaślinionego szczu... starca? Świetny pomysł.

Grzegorz: Maurycy, nikt cię nie pyta o zdanie.

Pan Włodek: Nie, no ja pytam. Ma pan może odtrutkę, bo wie pan, moja małżonka była u psychologa i tam jej wmówili, że to nasze bicie to nie z miłości, tylko z jakichś kompleksów, a baba w to uwierzyła i jakieś tabletki tykać zaczęła. Chodzi mi o odtrutkę na te tabletki.

Maurycy: Aaaa. Niech pan, panie Włodku idzie ze mną do laboratorium. Coś wymyślimy!
Tymczasem u dziadka Jacka...

Dziadek Jacek: Trzyma się pani panno Ingo?

Panna Inga: Trzymam, trzymam. Ale pan pędzi, panie dziadku Jacku

Dziadek Jacek: A co! Kiedy w niezapomnianym roku 1907 szturmowaliśmy skład celny, gdzie były olbrzymie zasoby dżemu, to nie tak szybko się jechało...

Panna Inga: I co?

Dziadek Jacek: A z czym?

Panna Inga: No z tym dżemem?

Dziadek Jacek: A dżemem. No tak. No i ja z kapralem Jedziniakiem zaatakowaliśmy go z lewej flanki. Niestety, Jedziniak potknął się i wpadł do kadzi z dżemem... I tyle go widziałem...

(nagle wózek D.J przewraca się z nadmiernej szybkości)

Dziadek Jacek: Panno Igo czy się pani nic nie stało!

Panna Inga: Nie nic tylko chyba pan krwawi.

Dziadek Jacek: A gdzie? Ja jakoś nie widzę.

Panna Inga: A tutaj! Pana dłoń i bok, tu przy kieszeni.

Dziadek Jacek. A nie, hihihhi to nie krew. Hihi. To przecież dżem palce lizać truskawkowy. Chce panienka spróbować? Przepyszny!

Panna Inga: Ależ panie Jacku! Jak tak można straszyć. Lepiej wsiadajmy na ten wehikuł i jedźmy, bo inaczej nie zdążymy na pocztę.

Dziadek Jacek: Swoją drogą to skąd się wziął ten dżem, przecież pieniądze z renty dopiero za tydzień...

Panna Inga: Ależ to...to....to nie możliwe! Czyżby w twoich żyłach zamiast krwi płynął najnormalniejszy w świecie dżem truskawkowy?

Dziadek Jacek: To całkiem, prawda, możliwe. Sporo się tego w życiu zjadło...no popatrz, popatrz droga Ingo...niesłychane...to otwiera przede mną całkiem nowe możliwości i te...no...perspektywy...

Tymczasem z domu Rodziny Pozepszyńskich wydobywała się przerażająca muzyka.

Grzegorz: Ach synu wspaniałą muzykę puśćcieś. Nie mogę się nadziwić twoim gustom. Tylko powtórz jak się nazywa ten wykonawca?

Maurycy: Manson Marylin ojczy. U mnie w szkole wszyscy tego słuchają.

Maryla: Wyłączcie to natychmiast. Dziadek by się w grobie przewracał, jakby to usłyszał.

Grzegorz: Ale dziadek Jacek żyje.

Maryla: Tak, dlatego powiedziałam, że by się przewracał, a nie przewraca.

Grzegorz: Marylu, ta twoja doskonała precyzja. Tylko kiedy ten ojciec wróci? Przecież już się ściemnia, a jego nadal nie ma. Może coś się im stało?

Nagle do pokoju wjeżdża Dziadek Jacek z Panną Ingą na kolanach

Maurycy: Dziadku Jacku! co się stało?

Dziadek Jacek: Nic dziecko, mieliśmy kontakt czwartego stopnia z melomanem.

Grzegorz: W zasadzie w domu też przydałoby się zrobić malowanie.

Dziadek Jacek: Co ty pleciesz! Meloman to taki człowiek, co jeździ autem podobnym do twojego Grzegorzu, tylko jeszcze na chodzie, ubiera się na sportowo i słucha na cały regulator takiej jednolitej prawda muzyki: umc! umc! umc. Dodatkowo ma łeb tysz jak melon, stąd też ta nazwa - meloman.

Maryla: Ma ojciec rację, częściowo, najprawdopodobniej...

Piosenki (sztuk dwie):

Wykonuje Maryla (najprawdopodobniej)

1)

(na dowolną melodię ludową, byle nie mazurską)

Pewien meloman z okolic Pucka
Dość niewydolne miał uszka i płuca
Toteż nie śpiewał i nie grał na trąbie
Tylko hodował melony na klombie
Nie słuchał basów ni barytonów
Lecz był maniakiem melonów

Umcyk cyk, umcyk cyk, oj diridi u ha!

2)

(na dowolną melodię ludową, byle nie mazurską)

Meloman ma głowę twardą jak kolano
i żelem do włosów smaruje ją rano
po czym zakłada odzież dresową
i idzie do lodówki podjeść niezdrowo
Zjada garść hormonów wołowych
na przyrost mięśni trójgłowych
potem odżywkę o smaku chocolate
bo to robi świetnie na jego klatę
a gdy się w domu robi już ciasno
wyrusza swoją BM-ką na miasto
W głośnikach dudni mu muzyka
od której wszelka myśl zanika
umć umć umć umć umć umta
umta umta tarara umta umta
umć!

Dziadek Jacek: Ależ Marylo, jak ty pięknie śpiewasz. Jednakowoż... trzask prask..
powinnaś sobie przepchać gardziółko... Może by tak dzemem truskawkowym... trzask
prask.

Maryla: Ależ tato, ty nawet w takiej wzniosłej chwili mówisz o jedzeniu.

Maryla odchodzi na bok do Grzegorza

Maryla: Grzegorzu, niedługo urodziny naszego ojca.

Grzegorz: Masz na myśli twojego ojca.

Maryla: Tak mojego naszego. Wszystko jedno. Jednak ma urodziny.

Grzegorz: Ale które?

Maryla: Och, nie wiem, ale czy to ważne. Ważne, że urodziny.

Grzegorz: Ale jak papa nam nie powie, dlaczego doprowadził do takiego stanu naszą w
zasadzie wspólną sąsiadkę, to nici ze świętowania.

Dziadek Jacek: Ależ to głupstwo kochani! Przez podobne głupstwo w 1905 roku nasz
oddział...

Grzegorz: Ależ papo! Miał papa opowiedzieć o tym wypadku

Dziadek Jacek: To mi nie przerywaj ty... SZMATO!

Grzegorz: No! No! No!

Dziadek Jacek: To se sami opowiadajcie, a ja wam nic nie powiem o tym jak wyjechał nam
z naprzeciwka samochód tego melomana. Z głośników płynęło takie "umta umta umta um
tarara", co przypomniało mi sygnał do ataku, więc go staranowałem. No mówię wam z tego
auta nie było co zbierać.

Maurycy: Jak to? Na pewno dałoby się jeszcze coś odkręcić i wziąć do domu.

Maryla: Ale to wciąż nie tłumaczy stanu panny Ingi.

Dziadek Jacek: Jak to kobieta, to i strachliwa, omdlało jej się trochę.

(nagle Panna Inga budzi się)

Panna Inga: Ale gdzie ja jestem? Och, pan Jacek. Och, przepraszam, to omdlenie przez tę ciążę.

Maryla: To pani jest w ciąży?

Maurycy: Co w tym dziwnego. W prawdzie wiek już nie ten, ale medycyna zna takie przypadki.

Dziadek Jacek: Ale z kim? To znaczy ja nie wnikiem, w 1905 roku była taka sytuacja, że pewna Japonka też nie mówiła z kim miała...

Maryla: Dziadku dajże spokój! To powie nam panienka czyje będzie to potomstwa?
(Panna Inga znów mdleje)

Nagle wbiega Grzegorz zziąjany

Grzegorz: Marylo! Marylo! Mam prezent dla Dziadka, znaczy Ojca!

Dziadek Jacek: No kto by pomyślał... Grzesiu, Grzesiu nie znałem cię z tej strony.

Maryla: A ja zrobiłam specjalnie na tę okazję zapiekankę z mąki i wody.

Dziadek Jacek: Nie moooże być!

Panna Inga: Wszystkiego najlepszego Dziadku Jacku.

Grzegorz: Tak, w zasadzie wszystkiego.

Maurycy: Ja też będę miał coś dla Dziadka, ale trochę później. Dziadek jest taki wspaniały, mądry, inteligentny.....

Grzegorz: Papo! Papo! Niechże się ojciec obudzi.

Maryla: Ojczel!

Maurycy: O! Budzi się!

Dziadek Jacek: Co? Gdzie? Gdzie ja jestem?! A, to wy...

Maryla: Tak, my. A któż by inny.

Dziadek Jacek: Więc to mi się wszystko prawda śniło? Wiedziałem, że to zbyt dziwne, by mogło być prawdziwe... musiałem przysnąć na chwilę. Swoją drogą mogliście mnie jeszcze nie budzić. To znaczy, że nie macie dla mnie żadnych prezentów?

Grzegorz: Jakich znowu prezentów? Ojciec bredzi.

Maryla: Najprawdopodobniej. Bredzi. Po prostu zasnął ojciec, a może zemdlął...

Maurycy: Jak to starzec.

Dziadek Jacek: No! No! Nie pozwalaj sobie, nie jestem jeszcze taki stary....ile to ja mam lat?

Grzegorz: Nie wiadomo dokładnie, ale na pewno o jeden rok więcej, niż rok temu.

Dziadek Jacek: Popatrz, popatrz Grzesiu, jak ten czas leci... jeszcze niedawno 1905, a tu już... który to mamy rok?

Grzegorz: Tego też do końca nie wiadomo. Nie mamy w końcu kalendarza, nie licząc tego z '81, który wyniosłem swego czasu z zakładu pracy, pod nieuwagę moich przełożonych, gdyż odbywał się właśnie strajk... zresztą w owym czasie udało mi się wynieść sporo różnych, interesujących rzeczy.

Maurycy: Dziwne....może to przez to, że nie wiadomo, ile dziadek ma dokładnie lat, nie starzeje się on jak zwykły człowiek...

(Panna Inga budzi się.)

Panna Inga: Co... co się stało?

Maryla: Nic, zemdląta pani. Znowu.

Panna Inga: To ja już sobie pójdę, coś nienajlepiej się dzisiaj czuję. Zresztą dziś znalazłam na śmietniku całkiem dobre śledzie, których data ważności upłynęła niecały miesiąc temu. Zagryzę sobie je czekoladą, popiję słodkim kompotem...

Panna Inga wychodzi.)

Grzegorz: Czy ona nie wspominała, że jest w ciąży?

Maryla: Tak Grzegorzu, ja jednak myślę, że to ciążą urojona, by odjąć sobie lat. Ja najprawdopodobniej już nie...

Grzegorz: Ekhem.

Dziadek Jacek: Apropoz lat, to czy dziś nie są moje urodziny?

Grzegorz: Nie wydaje mi się.

Maurycy: Dziadek i tak ma już wystarczająco dużo lat, jak na swój wiek. Niech dziadek będzie tak dobry i pójdzie ze mną do laboratorium - musimy dokończyć zaczęty rano eksperyment.

Dziadek Jacek: Z wielką przyjemnością. Może tym razem jednak dojdzie do jakiegoś, choćby skromnego wybuchu... przypomną mi się młode lata na wojnie, trzask, prask.

KÓNIEC

(Psiakostka, Zygryd, Stefan, Baader, anoosia, Bruxa)

ROZKŁADANKA I GŁEH BABY



Babka miesiąca

Wymiary:

1 szkl cukru / 2 szkl
mąki / 10 dag drożdży

Wiek: pełnoletnia

Znak zodiaku: Baba

Ulubiony cytat:

Najkrótsza droga do
serca mężczyzny
wiedzie przez żołądek

Hobby: cukiernictwo

Wymarzony partner:

Piaskowy Dziadek

O sobie:

Chłopcy zawsze mi
mówili, że jestem
pulchna, ale
słodziutka.

Wujek Ziutek ostatnio
na mój widok oblizał
się i powiedział: *No,
no, niezła babka nam
wrosła!*

A przecież oprócz
krągłych kształtów
mam jeszcze bogate
wnętrze...



Odcinki Toma Kaczora

Odcinek pierwszy

Maryla: Maurycy, wyprowadź dziadka i Murzyna na spacer. No, ile razy będę ci mówiła!

Maurycy: Zaraz, zaraz. Teraz nie mogę, bo właśnie kończę doświadczenie w mojej pracowni chemicznej.

Maryla: To ty Grzegorz pomoż Dziadkowi zjechać na dół, bo winda znowu jest w remoncie. Sam nie zjedzie po schodach na wózku.

Dziadek Jacek: Jak to nie zjedzie? Ja nie zjadę? Nie takie rzeczy robiłem z Sebkim Sewastopolskim w Mandżurii. Sama zaraz zobaczysz. Zaraz będę na dole! Trzask prask i po krzyku.

Maryla: Obudź Dziadka, bo po swoim ulubionym powiedzonku znowu zasnął.

Maurycy: Dziadku, dziadku Obudź się!

Grzegorz: A może nie budźmy go. Kiedy śpi to nie musi jeść kolacji. W dzisiejszych czasach trzeba się liczyć z każdym groszem.

Maryla: Grzegorz, ty szmato, jesteś bez serca. To w końcu mój kochany ojciec i dziadek Maurycego. Przecież ty Grzegorzu nosisz jego piękne nazwisko.

Grzegorz: Masz racje, przepraszam cię bardzo Marylko. Ostatnio jestem taki roztrzęsiony. Ostatecznie cała rodzina żyje z jego renty. Ale z drugiej strony nie przesadzajmy. Niech sobie pośpi staruszek. W jego wieku sen jest bardzo potrzebny. Gdy śpi to nie potrzebuje chleba z dżemem!

Dziadek Jacek: Kto tu mówił o dżemie? Chleb z dżemem palce lizać. Czy to ty mówiesz, Maurycy?

Maurycy: Nie, to ojciec a nie ja dziadku.

Dziadek Jacek: To dobrze, to bardzo dobrze. Przypominam sobie jak w niezapomnianym 1904 roku Japończycy też nie mieli dżemu truskawkowego na kolacje. Mieli Tofu, ale to nie to samo, co dżemik. Ale, ale Maurycy daj zapalić peta. Widziałem jak schowałeś go pod materac. No Maurycy, daj zapalić.

Maurycy: No dobrze już dobrze, dam ci dziadku pociągnąć, ale to nie jest papieros, ale "marycha".

Dziadek Jacek: Jaka "marycha"? Ja nie znam żadnej Marychy. Sylwię znam, Pannę Inge też znam, ale żadna z nich nie da się pociągnąć. Obie się do mnie pala to nie to samo, co dobry papieros.

Maurycy: Dziadku ja mówię o marihuanie, a nie o żadnej pannie Indze. Na tego skręta wydałem całe swoje oszczędności pracowicie uciętane z twojej renty.

Dziadek Jacek: No widzisz Maurycy, jaki ty jesteś dobry wnuczek. Ostatnim papierosem chcesz się ze mną podzielić. Pamiętam, że tak samo dobry był Sebek Sewastopolski w niezapomnianym 1904 w Mandżurii. Krucho było wtedy z markowym tytoniem. Powiem szczerze, w ogóle nie mieliśmy tytoniu i dlatego paliliśmy słomę ryżową z materaca zawijaną w delikatny papier pochodzący z Gazety Mandżurskiej. Och, co to był za delikatny Dziennik. Prenumerował go w tym celu Sebek Sewastopolski. Wszyscy byli zadowoleni z tego nowego wynalazku, ale niestety zgubił nas wszystkich kapral Jedziniak. Nasz wzorowy dowódca podpalił cały materac owinięty Gazeta Mandżurską, aby nasz cały pluton mógł jednocześnie napalić się do syta. Od materaca zapaliła się podłoga a następnie ściana koszar. Och, co to był za wspaniały pożar

uświetniony na końcu fajerwerkami. Wybuchy trwały prawie dwa tygodnie, bo straż pożarna bała się podjechać na odległość mniejszą niż 5 kilometrów, a sami rozumiecie, że na taką odległość nie dolatywała woda z sikawek strażackich. Za ten bohaterski czyn kapral Jedziniak dostał od samego cesarza pośmiertny Złoty Medal Dywersanta, za poświęcenie i odwagę na polu walki. To był naprawdę wspaniały pożar, a cały pluton mógł nawdychać się dymu za wszystkie czasy.

Maurycy: Dziadku nie opowiadaj dyrdymałów i ciągnij szybko, bo idzie tu do nas Panna Inga.

Panna Inga: Co tu tak śmierdzi Panie Grzegorzu czy można otworzyć okno i wywietrzyć, bo chyba zapalił się materac dziadka Jacka.

Grzegorz: Wykluczone! U nas panuje zdrowa, rodzinna atmosfera, a po drugie okna od pięciu lat się nie otwierają.

Panna Inga: To świetnie, że atmosfera jest zdrowa, ale myślę, że nie zaszkodzi wyprowadzić dziadka Jacka na świeże powietrze.

Maryla: No dobrze, już dobrze, jeśli pani tak bardzo chce, to niech go pani wyprowadzi, ale przypominam, że winda nie działa.

Panna Inga: Nie szkodzi. I tak miałam wyjść na pocztę sprawdzić czy przyszedł już przekaz od siostrzeńca.

Dziadek Jacek: Panno Ingo, jadę z panią. Już tyle razy miały przyjść te pieniądze i nigdy nie przyszły. Może dziś przyjdą i uda się pani zaprosić mnie na koniaczek! Kto wie? Dziś jest mój szczęśliwy dzień. Dziś mamy 13 i na dodatek piątek! No szybciej już szybciej, bo na poczcie przekaz czeka.

Maryla: Co za wspaniała para.

Grzegorz: Jaka para. To tylko trochę dymu ze skrzyżowania Maurycego a nie żadna para. Ty Marylko zawsze przesadzasz.

Maurycy: Co to za straszny hałas?

Maryla: Wyjdź Grzegorzu na klatkę schodową i zobacz, co tam się dzieje. Może to Murzyn pogonił pana Słowikowskiego?

Grzegorz: To na pewno pan Włodek znowu posprzeczał się z żoną. Pewnie znowu rzuciła w niego siekierą. To taka zwykła rodzinna dyskusja.

Panna Inga: Przepraszam bardzo, ale czy Maurycy może pójść po dziadka Jacka?

Grzegorz: Jak to pójść? Przecież to Pani z nim poszła.

Panna Inga: No tak, poszłam z Dziadkiem Jackiem do windy, ale windy nie było i Dziadek Jacek zjechał z wózkiem pustym szybem na sam dół. Zjechał sam i mnie z sobą nie zabrał, a zawsze uważałam go za dżentelmena. Tak nie powinien postępować prawdziwy mężczyzna. Co na takie postępowanie swego żołnierza powiedziałyby kapral Jedziniak?

Maryla: Ależ panno Ingo! To na pewno jakieś nieporozumienie. A może to nowy, głupi dowcip tego dzieciennego starca? Ostatnio dziwnie się zachowuje.

Grzegorz: On zawsze dziwnie się zachowuje. No, ale w tym wieku ma prawo do pewnych dziwactw.

Maurycy: Prawo do dziwactw to jedna sprawa a dzieciennienie to druga. Na przykład wczoraj widziałem jak na podwórku grał w klasy z dziećmi skacząc ze swym wózkiem jak kangur. Nigdy nie przypuszczałem, że jego wózek z silnikiem jest aż tak skoczny.

Grzegorz: My tu gadamy, a tam Dziadek Jacek czeka na nas. Maurycy kończ palić tego skrzyżowania, musimy jednak pójść po dziadka. Ostatecznie to jego emerytura pozwala nam żyć godnie na niewysokim, ale zawsze pewnym poziomie materialnym. Panno Ingo, Maurycy, idziemy!

Maurycy: Tu go połóżcie na tym sienniku! Tylko ostrożnie i zdejmijcie mu te koło rowerowe z głowy, bo nie zmieści się w drzwiach.

Maryla: Co on leży tak cicho? Czuje się jakbym znowu pracowała w prosektorium. To była naprawdę spokojna i cicha praca. Było tak pięknie, a ja byłam taka młoda i niewinna. Czasem bywało jednak strasznie. Najgorzej było, gdy trzeba było otworzyć drzwi od chłodni i zabrać kogoś z górnej półki. Te ciągłe zmiany temperatury fatalnie wpływały na moja cerę, ale i tak ci się podobałam Grzegorz.

Grzegorz: Ależ Marylu. Podobałaś mi się tylko połowicznie, ale teraz nie czas na wspomnienia i dyskusje. Trzeba zrobić coś z Dziadkiem, bo naprawdę dziwnie wygląda Maurycy chodź odwinimy mu prawa nogę z szyi i wyprostujemy kręgosłup A swoją drogą nie przypuszczałem, że jest on aż tak giętki i wysportowany. W jego wieku to naprawdę duża rzecz taka wspaniała kondycja fizyczna.

Pan Włodek: Usłyszałem jakieś hałasy a i drzwi były otwarte więc wpadłem do państwa zobaczyć, kto tak hałasuje Bożenkę boli głowa, gdy w czasie wymiany poglądów dostała ode mnie doniczka z fiołkami alpejskimi i dlatego bardzo państwa prosi o cisze.

Maryla: Ach to pan. Jak to miło, że pan do nas wpadł na chwile. Wprawdzie nikt pana nie zapraszał, ale i pan może się na coś przydać Mamy pewne kłopoty z Dziadkiem Jackiem.

Pan Włodek: Właśnie widzę! Kto go tak urządził? Walec drogowy czy parowóz?

Maurycy: To nie ja, naprawdę, to nie ja. Po prostu ten zgrzybiały staruch wpadł z wózkiem do szybu windy i właśnie go przynieśliśmy z dołu.

Panna Inga: Ja też pomagałam go nieść. Niosłam za dziadkiem lewą rękę i lewą nogę Trochę się zakurzyły, bo ciągnęłam je właściwie po schodach. Ja bardzo przepraszam, ja zaraz to posprzątam i odkurzę

Maryla: Nie trzeba Panno Ingo. Obejdzie się tym razem bez pani łaski, a po drugie Dziadek i tak był brudny.

Pan Włodek: Coś Dziadek Jacek nie daje znaków życia Marnie to wygląda. Musimy go ratować póki czas. Taki upadek w jego wieku może być groźny!

Maurycy: Bez przesady. Ten staruch na pewno znowu udaje i próbuje nas oszukać!

Grzegorz: Zamilcz Maurycy. Stan jest poważny. Ten szacowny starzec naprawdę nie oddycha.

Maryla: Gdy ja pracowałam w prosektorium w takich wypadkach ratowałam życie robiąc delikwentom oddychanie metodą usta usta. Było to bardzo odpowiedzialne zajęcie, ale czasami odnosiłam sukces. Nigdy nie jest za późno na ratowanie ludzkiego życia

Panna Inga: A ja mam świetny pomysł! Mam właśnie przy sobie gumowa lalkę, która miałam odnieść do sklepu pani Buby. Lalka trochę brudna i zmaltretowana, ale jest w niej jeszcze sporo powietrza. Za pomocą tego powietrza zrobimy dziadkowi Jackowi sztuczne oddychanie! Pani Marylo proszę mi pomóc.

Pan Włodek: Świetny pomysł Ja też pomogę przytrzymać dziadka Jacka, bo tak jakoś dziwnie leje się przez ręce.

Maurycy: I raz i dwa i trzy! I raz i dwa...

Grzegorz: I widzisz Marylko, Dziadek otwiera oczy.

Panna Inga: Och jak to dobrze. Byłam pewna, że ten zabieg mu pomoże!

Grzegorz: Jestem pewny, że kapral Jedziniak byłby z niego dumny widząc jak lalka pani Buby ratuje mu życie!

Dziadek Jacek: Gdzie ja jestem? To znowu wy?

Maryla: Ojczel! Nareszcie przyszedłeś do siebie. A już myślałam...!

Dziadek Jacek: Ja też już myślałem, że się was pozbyłem, a tu taka przykra niespodzianka.

Maryla: No wiesz ojciec jest ci przykro, że uratowaliśmy ci życie? Nigdy nie spodziewałam się po tobie takiej niewdzięczności. Zamiast się cieszyć robisz nam wymówki.

Grzegorz: Zamilcz Marylo. Twój Ojciec, jeszcze nie doszedł do siebie po tym fatalnym upadku. Bądź co bądź wpadł do szybu na 7 piętrze.

Dziadek Jacek: Co wy tak się na mnie gapicie nieroby. Gdybyście widzieli to, co ja widziałem, to dopiero pootwieralibyście gęby jak karpie w wannie.

Maryla: Całkiem mu się pomieszało w głowie od tego upadku. Zawsze opowiadał bzdury, ale teraz to już naprawdę przesadza.

Panna Inga: Dajcie mu dojść do słowa. To ostatecznie on spadł na głowę a nie wy.

Grzegorz: Panna Inga ma racje. Dajcie mu spokój. Niech mówi, może to go uspokoi po wstrząsie.

Dziadek Jacek: Uspokoi, uspokoi. Ja już jestem spokojny, to wy się ciągle kłóćcie. A swoją drogą, to sztuczne oddychanie dobrze mi zrobiło. Dawno nie byłem tak dotleniony i nareszcie mój umysł może pracować na pełnych obrotach. Ostatni raz przeżyłem taki stan w niezapomnianym roku 1904 w speluncie "Tania" w Port Arturze. Ach, co to była za wspaniała kobieta... No może Sylwia była lepsza, ale kto by tam to wszystko spamiętał? Transfuzja krwi też by mi dobrze zrobiła, ale nie można mieć wszystkiego na raz.

Maryla: Znowu dziadek zaczyna? Ja nie mogę tego słuchać. Maurycy wyjdź z mieszkania i nie słuchaj tych bredni tego wstrętnego, dziecienniego starca.

Maurycy: Ależ mam ja mam już 42 lata i wszystkie opowiadania dziadka Jacka znam na pamięć.

Dziadek Jacek: Co wy tam wiecie o mnie? Ja widziałem takie rzeczy, o jakich wam się nawet nie śniło. Widziałem je przed chwila na własne oczy!

Grzegorz: Twemu ojcu Marylo znowu odbiło. Jak wygląda życie po śmierci?

Pan Włodek: Życie po śmierci? Niech pan nie będzie śmieszny panie Grzegorzu. Moja żona Bożenka pracuje w urzędzie i nigdy niczego takiego nie widziała. A widziała wiele!

Maryla: To może być prawda. W prosektorium niektórzy delikwenci mówili o tym. Pamiętam jak jeden wyszedł nagi z lodówki i był cały roztrzęsiony.

Dziadek Jacek: Banda ignorantów. A kto mówi o życiu po śmierci? To były wspomnienia z poprzedniego życia. O reinkarnacji tumany nie słyszeli, a czepiają się spokojnego człowieka.

Grzegorz: Trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam. Jestem szmatą, to prawda, ale od ignorantów nie pozwolę sobie wymyślać! Ostatecznie czytywało się to i owo w pracy.

Dziadek Jacek: Czytało, czytało. Pewnie jakieś bzdury czytujesz w tym japońskim szalecie. Ty i ten twój Pan Kwoka czy Yamamoto pewnie nawet zielonego pojęcia o reinkarnacji nie macie.

Maryla: A ja słyszałam o tym w warzywniaku.

Dziadek Jacek: No i widzisz nawet ten garkotłuk Maryla wie coś o reinkarnacji a ty Grzegorzu nie wiesz nic. Inteligent od siedmiu boleści!

Maurycy: No już dobrze, dobrze. No i co takiego dziadek tam widział?

Dziadek Jacek: Byłem na pustyni i spotkałem się tam z kalifem Bagdadu Mustafą.

Maurycy: Z tym, co się śni dziadkowi zawsze w nocy z czwartku na piątek?

Dziadek Jacek: Tym samym, ale to jest prawdziwa postać z mojej przeszłości. Teraz już znam swoją przeszłość.

Maryla: To ciekawe, bo ja też znam swoją przeszłość.

Grzegorz: Lepiej milcz Marylo. Cale szczęście, że ja nie znam całej twojej przeszłości, no ale o tym pomówimy innym razem a nie przy dziecku. Pozwólmy mówić twemu ojcu.

Dziadek Jacek: Okazało się, że moja matka i ja zostaliśmy porwani i przemyceni na pustynię Szlakiem Bursztynowym. Mustafa mówił, że z Mazur. Stąd wiem, że jestem rodowitym Mazurem. Zawsze byłem dzieckiem szczęścia i wszystko mi w życiu wychodziło. Tylko włosy nie chciały mi wyjść i dlatego mam bujna czuprynę. Nie to, co tyś Grzegorz, który podobno w czepku się urodził. Pewnie od tego czepka wyszły mu wszystkie włosy.

Maurycy: A mama zawsze kazała mi się uczyć na błędach popełnianych przez Dziadka Jacka. To na czym mam się teraz uczyć, skoro błędów nigdy nie było?

Panna Inga: To bardzo interesujące, co pan mówi panie Dziadku Jacku, ale ja panu nie wierze. Pewnie przeczytał pan jakąś książkę a teraz usiłuje nam wciskać ciemnotę.

Dziadek Jacek: Ja w życiu nic nie przeczytałem. Nie dam się oczerniać! Nie dam! Nawet będąc biegłym specjalistą na procesie Zachariasza Dorożyńskiego, mordercy tancerki Igi Korczyńskiej, aktorki teatryku Ananas w Warszawie nie przeczytałem protokołu zeznań świadków. I za to Zachariasz Dorożyński poprzysiął mi zemstę! Ja nie umiem czytać, no chyba, że po mandżursku, ale to zupełnie inna historia. Pamiętam jak w niezapomnianym roku 1905 to nawet...

Panna Inga: No wierzymy panu panie Dziadku Jacku, ale jesteśmy ciekawi, co pana spotkało na pustyni.

Dziadek Jacek: Na pustyni spotkało mnie stado wielbłądów poganiane przez Beduina zwanego Salomonem. Szybko zaprzyjaźniłem się z Samkiem. Wypiliśmy nawet bruderszafta sfermentowanym mlekiem kokosowym. Nie miał on jednak silnej głowy, nie miał. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi Samek mówi do mnie: " Jacuś - nic się nie martw ja sam cię odwiezę do Oazy a te pustynne Szakale nie będą cię zatrzymywać na kontroli drogowej". To ja mówię do niego: " Samek, ty Nikiforze pustynny, bo zbyt urodziwy to on nie był, ja sam trafię do namiotu". Gdy po kolejnych dwóch tuzinach sfermentowanych kokosów Samek pijany w trzy mumie wsiadał z palmy na wielbłąda pomylił kierunki i zsunął się po garbie na niewłaściwą stronę wielbłąda. A nie był to jakiś zwykły pojazd o nie! Był to prawdziwy dwugarbny Bachtiar z napędem na cztery kołczyny i z dopalaczem w tylnej części pojazdu. Samek za ciężkie Talenty sprowadził go bezcłowo, aż z dalekich Chin. Wszyscy okoliczni Beduini na widok tego wielbłąda otwierali gęby z zachwytem! Przestraszony Samek łapiąc równowagę nieopatrznie złapał za dźwignie dopalacza i pojazd z ogromną szybkością ruszył z miejsca. I to był początek tragedii. Jak wszyscy wiedza wielbłąd jest dwuchodem i podnosi w biegu na raz dwie nogi. Pierwsza noga trafiła Samka w głowę a druga trochę niżej

Panna Inga: Patrzcie państwo jak to wypadki chodzą po pustyni. To straszne.

Dziadek Jacek: Wcale nie straszne, bo od tego faktu rozpoczęła się moja zdumiewająca kariera w tym pustynnym szczepie. Co było robić Dworzanie postanowili cały fakt wypadku zataić a mnie jako najbystrzejszego zrobić zastępcą i doradcą Samka. Zostałem jego Nilnikiem

Pan Włodek: Kim? **Dziadek Jacek:** No Przecież mówię wyraźnie - Nilnikiem! To teraz mówi się rzecznik prasowy rządu, ale tam na pustyni najbliższa rzeka to Nil. To chyba logiczne.

Maurycy: To wspaniale.

Dziadek Jacek: Co wy tam wiecie. To było straszne. Tak samo strasznie było tylko w niezapomnianym roku 1904, gdy nasz osobisty przełożony, kapral Jedziniak postanowił....

Maryla: Ależ ojciec odbiegasz od tematu.

Grzegorz: On zawsze odbiega od tematu i nigdy nie wiadomo, o czym mówi. Alhammer poczynił spustoszenie w jego mózgu.

Dziadek Jacek: Sam masz Alhammera. Ja wszystko pamiętam. Jako Nilnik rządu przez długie lata, kształtowałem opinie publiczną od Nilu aż do krańców pustyni. To ja osobiście wylansowałem światowy slogan "Ja umiem zrobić wszystko; dajcie mi tylko władzę, pieniądze i ludzi". No cóż samoreklama i poczucie własnej wartości jest najważniejsze. Potem już nie było problemów, choć nie wszystkie projekty udało mi się zrealizować. Pamiętam, że moim sztandarowym pomysłem była budowa tamy na Saharze. Jako inwestor zgromadziłem nawet odpowiednią ilość kamienia budowlanego. Niestety na skutek nadmiernych podatków całe państwo zbankrutowało i jacyś lokalni kacykowie pobudowali sobie z tego materiału nagrobki nad rzeką.

Panna Inga: To Dziadek Jacek przeszedł do historii i jest sławny. Ja też coś słyszałam o tych nagrobkach z kamienia.

Dziadek Jacek: Jaki tam sławny! To na moich plecach inni budowali sławę. Ja zawsze byłem w cieniu. Na pustyni nawet w cieniu jest niesamowicie gorąco a zrobiło się naprawdę gorąco, gdy musiałem chorego Samka wyręczać w roli sędziego. Ale i tu wasz dziadek sobie poradził. Pamiętam, jak jednego razu musiałem sprawiedliwie rozsądzić proces dwóch fellachów. Nie mogli oni dojść do porozumienia czy ze znalezionej przez nich w szuwarach nilowych jajka wylęgl się samiec czy samiczka krokodyla.

Maryla: Też mi problem, Przecież to widać na pierwszy rzut oka.

Dziadek Jacek: Widać, gdy gady są dorosłe, ale gdy są małe problem jest praktycznie nierozwiązalny.

Grzegorz: No i jak ojciec sobie z tą sprawą poradził?

Dziadek Jacek: Kazałem młodemu krokodylowi dać jeść. Jeśli będzie jadł to znaczy, że jest samcem, jeśli zaś będzie jadła to znaczy, że jest samiczka! Moje genialne rozsądzenie sporu odbiło się szerokim echem po wszystkich sąsiednich plemionach i stało się niedoścignionym wzorcem mądrości dla wielu prawników i prawodawców. Ale i tak nic mi to nie dało. Wszyscy orzekli, że to Salomonowy wyrok i pod taką nazwą precedens stał się znany na szerokim świecie. Ale i to nie było najgorsze. Straszne było to, że nie mogłem się wyspać.

Panna Inga: Rozumiem, że nadmiar pracy i te ciągłe upały nie dawały spać. To straszy klimat.

Dziadek Jacek: O tak klimat był męczący, ale najgorsze były te kolejki.

Pan Włodek: Kolejki na pustyni? Przecież wtedy jeszcze nie wynaleziono kolei. Parowóz powstał o wiele później.

Dziadek Jacek: A czy ja mówię o lokomotywach? Wy nic nie rozumiecie. Ja miałem pociąg. Samek jako władca szczepu miał harem. Nieduży, bo nieduży, ale coś około 900 nałożnic i prawowitych żon. Jak pamiętacie drugie kopnięcie dromadera trafiło Samka bardzo nieszczęśliwie, a żony i nałożnice nie chciały przyjąć tego faktu do wiadomości. Sami rozumiecie jako zastępca Samka musiałem wypełniać wszystkie jego obowiązki. Stąd właśnie wzięły się kolejki i moje niewyspanie. O, gdyby był przy mnie wtedy mój bezpośredni przełożony kapral Jedziniak i Sebek Sewastopolski, to też byśmy sobie nie poradzili. Och Sylwia, Sylwia...

Maryla: Ojczy nie opowiadaj takich świństw, bo do końca zdeprawujesz Maurycego. On jest jeszcze taki delikatny.

Dziadek Jacek: Jako poważny użytkownik tak okazałego haremu doczekałem się tysięcy potomków z prawego i nieprawego łoża rozsianych dziś po całym świecie. To były wspaniałe czasy, ale najbardziej lubiłem kolacyjki przy świecach, na które zawsze zapraszałem dwa tuziny niewolnic. Było bardzo romantycznie: tylko ja, dwa tuziny niewolnic i tuzin eunuchów trzymających świece w rękach. Niestety nie serwowano tam dżemu truskawkowego. Po prostu truskawki na pustyni nie rosną. O, dżem truskawkowy z chlebem, palce lizać. Trzask prask i po wszystkim...

Maryla: Maurycy Obudź dziadka, bo znowu usnął.

Maurycy: Dziadku, dziadku, pali się!

Dziadek Jacek: Kiedyś od świecy zapalił się cały namiot, ale eunuchy ugasiły pożar piaskiem. Dymu było tyle, że wszyscy myśleli, że to idzie czarna burza piaskowa znad Morza Czerwonego.

Panna Inga: Na pewno pan Dziadek Jacek wiele zwiedzał i podróżował w tym egzotycznym kraju.

Dziadek Jacek: No cóż, podróżowało się ciągle. Moje wyścigowe dromadery miały tylko parę minut dziennie na tankowanie w Oazie. Miałem nawet wśród Beduinów przydomek Titanic Pustyni a byłem szybki jak odrzutowiec. Najpierw było mnie słychać a o wiele, wiele później widać. O tak, wiele się widziało. Doskonale pamiętam jak 6 miesięcy drugiego roku panowania faraona Amenhotepa III o godzinie trzeciej rano, gościłem z moim dworem w Komorze czy Gomorze, jakiejś takiej malej miejscowości wypoczynkowej nad jeziorem. Jadłem tam wspaniałe owoce popołudniowe a potem była część rozrywkowa na moja cześć, czyli akademial! Stare dzieje...

Pan Włodek: No i co tam takiego się wydarzyło?

Dziadek Jacek: Nic ważnego, drobiazg. Postanowiłem poczęstować wszystkich mieszkańców tej przemiłej i gościnnej wioski kogłem-mogłem ze świeżych jaj krokodylich. Jako dowód łaski, sam osobiście robiłem ten przysmak i mieszałem wszystkie składniki. W czasie przyjęcia wszyscy byli zachwyceni jego walorami smakowymi. Tylko jeden uczestnik uczył obraził się na mnie śmiertelnie, nie chciał jeść kogla mogła i jadł same banany. To był jakiś dziwny człowiek o nazwisku Lot o ile dobrze pamiętam, ale nie ten od samolotów. Był taki bezczelny, że zabrał swoją żonę i wyszedł z miasta. I to był koniec Gomory. Wszyscy mieszkańcy zginęli, a żona Lota skamieniała pod miastem

Maryla: To straszne. A czy ojciec wie, co było przyczyną tej tragedii?

Dziadek Jacek: Pewny nie jestem, ale chyba pomyliłem worek cukru z workiem gipsu.

Odcinek drugi

Dziadek: Grzegorz! Podsuń stołek do antresoli, bo sam nie dam rady.

Grzegorz: Czego ojciec znowu tam szuka? Przecież tam są tylko nasze zimowe ubrania i stare buty.

Dziadek: Aaaa nie tylko. Jest tam też moja trumna i znicz nagrobkowy. Muszę coś sprawdzić.

Maryla: Ależ tato, twojej trumny z papieru i lakierków na pewno nikt z nas nie ruszał. Leżą tam jak leżały i czekają na odpowiednią chwilę życia, a właściwie śmierci taty. O ile się nie mylę nie trzeba ich jeszcze stamtąd ściągać, bo tata czuje się jak na swoje 100 lat całkiem rześko.

Dziadek: Czuję się świetnie i dlatego muszę coś sprawdzić. Marylko, pomóż mi zdjąć tę trumnę, bo dla mnie samego jest za ciężka. Naprawdę trudno utrzymać równowagę z trumną nad głową stojąc jedną nogą na taborecie, a drugą na wózku inwalidzkim na kółkach.

Grzegorz: I po co ojcu ta trumna?

Dziadek: Po co? To chyba oczywiste. Mam ponad 100 lat i muszę być przygotowany na wszystko.

Grzegorz: Czy mam przez to rozumieć, że ojciec właśnie teraz chce umrzeć? Teraz, gdy oglądam swój ulubiony program telewizyjny? Marylo, twój ojciec znowu usiłuje wyprowadzić mnie z równowagi. Ja niedawno miałem zawał i nie mogę się denerwować.

Dziadek: Jeśli nie chcesz się denerwować to pomóż mi zdjąć trumnę i zanieść ją na balkon.

Maryla: Już nie kłóćcie się, a ty Grzegorzu możesz chyba czasem ustąpić mojemu ojcu. Pomóż mu zanieść ją na balkon, to będziesz mógł w spokoju oglądać telewizję. A tak właściwie, to po co taszczy ją ojciec na balkon?

Dziadek: Jak to po co? Muszę wystawić ją na słońce, bo zapleśniała od wilgoci. Muszę też coś sprawdzić.

Grzegorz: Ciekawe co?

Dziadek: Muszę sprawdzić czy się w niej jeszcze mieszczę. Mogłem przecież urosnąć przez ostatnie pięć miesięcy i może się okazać, że trumna jest za krótka.

Grzegorz: No nie! Trzymajcie mnie, bo ja już nie mogę słuchać tych bzdur. Urosnąć w tym wieku? Chciał chyba ojciec powiedzieć: skurczyć się ze starości?!

Dziadek: A właśnie, że nie. Wiek nie ma z tym nic wspólnego, a ja rosnę bardzo szybko. Pamiętam jak kiedyś stojąc na warcie udało mi się ściągnąć z pijanego Chińczyka całkiem dobry jeszcze podkoszulek bawełniany, trochę tylko przetarty na łokciach. Kiedy następnego dnia wyprałem i osuszyłem go na słońcu to nie mogłem się w niego zmieścić. Najwidoczniej tak urosłem po spożyciu solidnego wojskowego suchara na śniadanie. Dziś zaś jadłem na śniadanie chleb z dżemem, palce lizać, a więc też mogłem sporo urosnąć.

Grzegorz: Marylo, twój ojciec znowu opowiada coś bez sensu.

Maryla: A nie myślał ojciec, że podkoszulek po praniu mógł się po prostu skurczyć?

Maurycy: Albo, że Chińczyk był od dziadka dużo mniejszy?

Dziadek: Co wy tam wiecie gamonie. Nie gadajcie tyle tylko pomóżcie. Teraz trochę w lewo i połóżcie ją dokładnie na tych dwóch taboretach. Ustawiłem je na słońcu to teraz trumna szybko wyschnie. No nareszcie mogę się wyciągnąć i sprawdzić czy nie jest za krótka.

Maurycy: Dziadek Jacek prezentuje się w trumnie bardzo malowniczo. Brakuje tylko gromnic i można by nazwać tę kompozycję "Martwa natura na balkonie". Jaka szkoda, że Sylwia tego nie widzi. Jestem pewien, że dziadek bardzo by się jej podobał w tej bądź co bądź nietypowej sytuacji.

Dziadek: Dziękuję ci Maurycy za słowa uznania. Bardzo wygodna trumna, czuję się wspaniale na tym słoneczku. Zupełnie jak na wczasach w Zakopanem i tylko leżak jest trochę inny! Będę musiał się trochę poopalać, bo ostatnio mało wychodzę na spacer.

Maryla: Ojciec nie wychodzi z domu, bo cały wolny czas spędza na podglądaniu sąsiadów w bloku naprzeciwko i na ogródkach działkowych.

Dziadek: To świetnie, że mi przypomniałaś. Marylko, przynieś mi do trumny moją lunetę. Sam bym po nią poszedł, ale tak wygodnie się ułożyłem, że sama rozumiesz, nie chce mi się ruszać. W tej pozycji z lunetą w rękę będę się czuł jak zwiadowca na wysuniętym posterunku. Dawno już nie podglądałem w pozycji leżącej. Ostatni raz byłem w takiej samej sytuacji w niezapomnianym roku 1905 gdy byliśmy w okrążeniu. Nasz niezapomniany kapral Jedziniak wysłał mnie na ochotnika na zwiady abym wyśledził co i z kim robi nasz kolega Sebek Sewastopolski. Podkradłem się nocą na tyły wroga i po długich poszukiwaniach odnalazłem Sebka. Grał on w pchełki z tygrysem ussuryjskim. Oczywiście jako lepszy gracz ogrzał go do ostatniej pchełki, a potem zaczął się strasznie drapać i z krzykiem, w wielkim popłochu wbiegł do naszego obozu. Jego wygrana rozlała się po wszystkich oddziałach powodując ogólną panikę. Kapral Jedziniak na czele wojska z ogłuszającym rykiem rzucił się do rzeki i w ten sposób wyprowadził cały oddział z japońskiego okrążenia. Data tego brzemiennego w skutki wydarzenia przeszła do historii wojskowości i uznaje się ją jako pierwszą udaną japońską próbą zastosowania broni biologicznej na polu walki.

Maryla: Już by ojciec przestał opowiadać te bzdury. A tu jest luneta. Umyłam ją, bo cały obiektyw upaprany był najprawdopodobniej w dżemie. Że też ojciec widzi coś przez tak brudny obiektyw. Pewnie tylko muchy przyklepione do dżemu. Przylatuje ich tu tyle ze śmietnika, że czasami wyglądają jak ciemny bzyżący obłok.

Dziadek: Śmietnik to niezwykle ciekawy obiekt do obserwacji. Widziałem tam wczoraj pannę Inge przy pracy. Czekaż Marylko, muszę nastawić lunetę i sprawdzić czy nie kręci się tam któryś z naszych sąsiadów. O widzę, widzę! To pan Słowikowski w swoim długim ciemnym, wyjściowym płaszczu.

Maryla: W płaszczu w tak upalny dzień? Czy ojciec jest pewny? Godzinę temu widziałam go koło windy, ale wtedy był ubrany tylko w lornetkę zawieszoną na szyi.

Dziadek: Widzę dokładnie co robi... Właśnie na kij od miotły nawija jakąś kolorową szmatę.

Maurycy: Dziwne. Przecież pierwszy maja dawno już minął.

Dziadek: To bardzo ciekawe gdzie, do kogo i po co idzie pan Słowikowski w tak gorący i słoneczny dzień.

Grzegorz: Nam nic do tego. Ostatecznie żyjemy w wolnym kraju i każdy może robić co mu się żywnie podoba nawet w tak gorący dzień jak dziś. On pewnie idzie nad Wisłę opalać się.

Dziadek: Opalać w płaszczu? Przecież to nawet nie jest płaszcz kąpielowy. Wiecie co, wy tu sobie posiedźcie i popatrzcie przez lunetę a ja wyprowadzę Murzyna na spacer. On już dwa miesiące nie wychodził z domu. Niech i on skorzysta z ładnej pogody i trochę sobie pobiega. Murzyn do nogi! A teraz szybko wózkem do windy!

Grzegorz: Popatrz Marylo ile energii przybyło Dziadkowi po tak krótkim pobycie w trumnie. Aż strach pomyśleć ile w nim będzie sił gdy zamieszka tam na stałe...

Maryla: Przerazające! A ty chciałeś go po śmierci poddać kremacji.

Maurycy: Czy widzicie jak się zrobiło cicho i spokojnie od czasu gdy Dziadek Jacek wyszedł na spacer? Można spokojnie zebrać myśli.

Grzegorz: Nareszcie będę mógł spokojnie przeczytać swoją ulubioną gazetę "NIE", nie w kuchni a w miejscu do tego przeznaczonym czyli w ubikacji.

Maryla: Coś długo ojciec nie wraca. Nie widzę go na podwórku.

Maurycy: Oczywiście, że go tam nie ma bo popędził za panem Słowikowskim. Odnoszę wrażenie, że dziadek Jacek go śledzi. Jest to rzadki przypadek gdy podglądacz jest podglądany!

Maryla: Co za błoga cisza!!!

Grzegorz: Wygląda na to, że długo nie potrwa, bo właśnie widzę jak twój ojciec Marylo wjeżdża na pełnym gazie na podwórko. Jedzie tak szybko, że Murzyn nie może go dogonić i biedny pies został daleko w tyle.

Maurycy: Patrzcie, patrzcie!!! Dziadek Jacek jedzie na przełaj przez trawniki i klomb kwiatowy dozorczy. Jeśli się nie wyrobi na zakręcie, to wpadnie na trzepak. Właśnie zawadził kołem wózka i porysował lakier na samochodzie pani Bożenki. Słyszycie? Włączył się alarm i pan Włodek krzyczy przez otwarte okno. Ciekawe dlaczego dziadek tak się spieszy? Przecież to nie jest rajd Paryż - Dakar, a dziadek nie jedzie przez Saharę! Czuję, że się szykuje gruba awantura.

Pani Bożena: W imieniu prawa proszę otworzyć. Gdzieście go ukryli? A może schowaliście go do szafy. Proszę nie utrudniać przeszukania pracownikowi Urzędu.

Maryla: Ależ pani Bożenko, proszę odłożyć tę siekierę. Naprawdę dzisiaj nie widziałam pana Włodka i nigdzie go nie ukryłam. A zresztą w domu jest Grzegorz. Ja jestem uczciwą kobietą i nigdy w obecności męża nie chowałabym kochanka do szafy, czy pod łóżko!

Pani Bożena: Ja nie szukam tego pantoflarza Włodka tylko tego pirata drogowego pana Dziadka Jacka. Swoim wózkiem zdarł mi cały lakier z boku samochodu. Dopiero wczoraj odebrałam go od lakiernika po ostatniej stłuczce!

Dziadek: Ratunku! Kryć się, kryć się!. Jak to dobrze, że panią tu widzę, pani Bożenko i do tego z siekierą w rękach. Jakby się o mnie pytali to proszę powiedzieć, że ja tu nie mieszkam, pani mnie nie zna, a w ogóle to wyprowadziłem się stąd jeszcze w 1915 roku.

Maurycy: Dziadku, co się stało, żeś tak pędził? Twój wózek to nie samochód rajdowy. Zobacz, powyginałeś szprychy i koła są scentrowane. To prawdziwy cud, że możesz nim jeszcze jeździć.

Dziadek: Cudem jest to, że udało mi się uciec i że jeszcze żyję. Ostatni raz tak szybko uciekałem w niezapomnianym roku 1912 przed mężem Aleksandry Iwanownej Pietrownej. Gonił mnie od St. Petersburga aż do Mławy. Do dziś pamiętam długie, upojne noce spędzone z Aleksandrą Iwanowną. Właśnie przez to wybuchła cała awantura. Z Mandżurii przywoziłem swój ręczny zegarek słoneczny ale nad Nową Całkowicie straciłem orientację w czasie, bo gnomon całkowicie się rozregulował podczas Białych Nocy. Myślałem, że jeszcze mam sporo czasu, a tu okazało się, że i zegarek mi stanął. Zazdrosny mąż wrócił z pracy i z rewolwerem w ręku wtargnął do sypialni. Musiałem uciekać przez okno skacząc z drugiego piętra prosto w kłujące krzaki. Och! co to była za wspaniała gonitwa. Niestety, w całym zamieszaniu zgubiłem swój zegarek z piękną, pamiątkową dedykacją od kaprala Jedziniaka i Sebka Sewastopolskiego. Rok później zegar ten został wywieziony nad

Morze Czarne i właśnie jego wskazania posłużyły do określenia czasu wybuchu Rewolucji Październikowej i sławnego ataku na Pałac Zimowy. Do dziś tę drogą memu sercu pamiątkę można oglądać w gablocie za szkłem w Ermitażu.

Grzegorz: Wszystko bardzo ładnie, ale co to idiotyczne opowiadanie ma wspólnego z paniczną ucieczką ojca i potamanymi kołami wózka?

Dziadek: Po prostu chciałem wam uświadomić jak bardzo zagrożone jest moje życie.

Maryla: Grzegorzu, weź od pani Bożenki siekierę i stań blisko drzwi. Maurycy, zamknij drzwi na łańcuch, weź lunetę i wyjdź na balkon obserwować czy ktoś nie idzie śladem Dziadka.

Grzegorz: Czy ja w końcu mogę się dowiedzieć od twojego ojca Marylo co spowodowało jego paniczną ucieczkę i zniszczenie, bądź co bądź, wartościowego wózka inwalidzkiego. W końcu jest środek dnia, a my żyjemy w środku cywilizowanej Europy; w wolnym, demokratycznym kraju liczącym prawie 40 milionów światłych i wykształconych, w zasadzie, obywateli. To nie jest jakiś tam dziki Zachód.

Dziadek: To ja wam powiem. Postanowiłem zabawić się w sławnego detektywa Rutkowskiego i śledzić pana Słowikowskiego. Bardzo mnie ciekawiło gdzie i po co idzie z tym sztandarem. Posadziłem Murzyna na swoje kolana i pojechaliśmy całkiem niedaleko, bo tylko dwie przecznice na lewo od naszego domu. Pan Słowikowski podszedł do grupy jakichś kolorowo ubranych panów i zaczął im coś pokazywać. Wzbudziło to wśród nich ogromne zainteresowanie. Ja podjechałem do innej grupy kolorowo ubranych pań. No sami rozumiecie, że to towarzystwo bardziej mnie interesowało. Jedna pani o tubalnym głosie ubrana w czarną skórzaną kamizelkę z metalowymi, błyszczącymi ozdobami spytała mnie czy chce przyłączyć się do parady. Gdy powiedziałem, że chcę, druga powiedziała, że ze zwierzętami tu nie można. Gdy to usłyszał stojący obok pan o aksamitnym głosie powiedział, że jego grupa też mnie nie chce i że on osobiście jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo parady i na pewno nie dopuści do prowokacji szytej aż tak grubymi nićmi. Wokół mnie zaczęli się gromadzić ludzie i z tonu ich okrzyków wyczułem, że lepiej będzie gdy szybko opuszczę to zgromadzenie. W międzyczasie podszedł do nas pan Słowikowski i rozpiął płaszcz, bo chyba zrobiło mu się gorąco na słońcu. Gdy to zobaczył Murzyn podbiegł do pana Słowikowskiego głośno szczekając. Na to stojący obok, z wielkim tęczowym plakatem, pan krzyknął: "Biją naszych" i zamierzył się na Murzyna trzymanym w reku grubym trzonkiem. Ja krzyknąłem: "Biją Murzyna" i popędziłem mu na ratunek. Wtedy stojące obok młode blondynki wyglądające na studentki zaczęły mnie pytać czy to ten Murzyn od poezji afrykańskiej i czy mogą mu się na coś przydać. W tym momencie do parady wmieszała się stojąca obok podgolona młodzież z okrzykami, że nie dadzą zrobić krzywdy biednemu zwierzęciu. Nie wiadomo kiedy wokół mnie zrobiła się kotłowanina na całego. Nagle dostałem transparentem z napisem "Lambda" w głowę tak mocno, że zobaczyłem całą resztę liter alfabetu. Dokładnie tak samo dostał w głowę kolbą karabinu mój osobisty, legendarny dziś dowódca kapral Jedziniak w roku 1905 przy czwartym szturmie Japończyków na Port Artur. Ktoś w zamieszaniu popchnął mój wózek i wpadłem w sam środek bójki. W uratowaniu całej skóry pomógł mi mój niezawodny instynkt samozachowawczy wyrobiony w ciągłych potyczkach i walkach na wszystkich frontach Mandżurii. Kochani, naprawdę sam nie wiem w jaki sposób znalazłem się na naszym podwórku.

Maurycy: Widzę, że dziadek Jacek miał dziś dużo szczęścia, bo rany nie są zbyt poważne. Myślę, że parę zimnych kompresów i wypoczynek wystarczy na pozbycie się wszelkich dolegliwości. Większy problem będzie z wózkiem, bo ktoś urwał cały tłumik, a koła nadają się tylko do wymiany.

Dziadek: Zimne okłady na głowę to głupstwo. Ciekawi mnie tylko, kto będzie płacił alimenty dla Murzyna?

Odcinek trzeci

Maurycy: Dziadku, czy możesz tu przyjść?

Dziadek: A muszę?

Maurycy: Oczywiście, że dziadek nie musi, ale myślałem, że zechce zobaczyć, jaką ładną pocztówkę przysłała Sylwia z Paryża. To tu właśnie Sylwia pracuje. Plac Pigalle. Na pocztówce wygląda zupełnie inaczej niż go sobie wyobrażałem.

Dziadek: Sylwia napisała do nas po tak długim milczeniu. Kto by to pomyślał? Murzyn nie kręć się pod nogami! Już lecę do Ciebie! Aaaaaaa!!!

Grzegorz: Mógłby ojciec tak nie hałasować. Ostatecznie należy mi się chwila, w zasadzie, ciszy.

Maryla: Grzegorzu, nie wrzeszcz na ojca. Zobacz, że on leży na środku pokoju. Coś mu się musiało stać, bo nawet nie jęczy i leży spokojnie.

Grzegorz: Akurat!! Coś mu się stało!? Jak zwykle udaje i chce wyprowadzić mnie z równowagi, a ja przecież nie mogę się denerwować. Ja w tym tygodniu miałem już dwa zawaly!

Maryla: Nie szarp nim tak, bo się rozleci. Cholesterol od wstrząsów podrywa się od ścianek żył i zablokuje serce. Pomóż posadzić ojca na jego wózek i przynieś wiadro zimnej wody z kuchni. Musimy go ocucić. Najprawdopodobniej potknął się o kręcącego się pod nogami Murzyna i wyrzwał głową w parapet. On już ma ponad 100 lat i nie jest tak sprawny jak kiedyś.

Maryla: Maurycy! chodź tu szybko! Musisz pomóc ratować dziadka!

Maurycy: A muszę?

Maryla: Musisz pomóc, bo leży jak bezwładna kłoda na środku pokoju a ja chcę dostać się do kuchni. Sama sobie z nim nie poradzę. Grzegorzu, lej wodę, tylko tak, abyś mnie nie zmoczył... W tym tygodniu już się kapałam. Noooo, nareszcie otwiera oczy i wraca do przytomności!

Grzegorz: A nie mówiłem, że ten staruch ma żelazne zdrowie. On nas wszystkich przeżyje!

Dziadek: Ale mnie boli, ale boli!

Maurycy: Nic dziwnego! Odłupał Dziadek głową kawałek parapetu, to musi boleć.

Grzegorz: No i co ojciec narobił najlepszego? Cały parapet zniszczony! Skąd ja wezmę taką szeroką i masywną deskę? Z ojcem to ciągle tylko same straty!

Maurycy: Na mój gust to musi być przynajmniej wstrząs mózgu i złamanie podstawy czaszki.

Dziadek: Co wy tam wiecie tumany, ja jestem niezniszczalny! Mnie nie boli głowa, a noga. Przez tego kręcącego się pod nogami Murzyna musiałem zwichnąć sobie kostkę w prawej nodze. No i co teraz będzie? Po południu miałem iść z panna Inga na romantyczny spacer do Pyr.

Maryla: Ojciec nie wygląda dobrze i gada od rzeczy. Myślę Grzegorzu, że powinniśmy najprawdopodobniej wezwać pogotowie. No, zrób coś! Ostatecznie jesteś głową tego domu.

Grzegorz: Marylo podaj mi telefon.

-Pogotowie...

-Do Jacka Poszepczyńskiego, Plac na Rozdrożu 2, m. 183...

-Rozbił parapet głową i stłukł doniczkę z pelargonią. Ma też chyba lekko zranioną nogę.

-Ja się na tym aż tak bardzo nie znam. Ostatecznie nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

-Sześć godzin to trochę długo, czy nie dałoby się trochę szybciej?

-Ja wiem, że jak się da to się zrobi, ale...

-No, nie! Na taką kwotę absolutnie nie jesteśmy przygotowani.

-Ile ma lat poszkodowany? On jest ciągle w wózku.

-Nie, nie niemowlę. Trochę ponad 100 lat.

-Ja też dobrze znam pana Jurka z Domu Pogrzebowego "Hades" ale to dziś jeszcze nie o to chodzi.

-Nie, to stanowczo za mało! To prawdziwe zdziwienie obyczajów. Nawet w tym szmatławym Domu Pogrzebowym "Świetlana Przeszłość" dają o wiele wyższe prowizje.

-No jasne, że lepiej do wypadku drogowego.

-Tak rozumiem. To nie przyjedziecie?!

-No trudno.

Maurycy: Wygląda na to, że nie chcą przyjechać.

Grzegorz: A to konowały! Jak usłyszeli, że on ma ponad 100 lat, to bezczelnie proponowali kurs bezpośrednio do Hadesu. A tak w ogóle, to za skórę pacjenta zaproponowali mi nieetycznie niską cenę.

Dziadek: Jakiego pacjenta?

Grzegorz: No, ojca oczywiście. Czy ojciec tego nie rozumie? Służba zdrowia kiedyś doskonała, dziś doprowadzona została do ruiny i przeżywa głęboki kryzys moralny.

Wszyscy powinniśmy to zrozumieć. Ostatecznie to my z naszych podatków płacimy lekarzom i pielęgniarkom. Zrozumiałe jest więc, że nikt nie może pozwolić sobie na niepotrzebne wzywanie karetki i marnowanie publicznych pieniędzy z byle powodu.

Dziadek: Mną się nie przejmujcie, już mi lepiej. Za parę dni będę całkiem zdrowy. Noga trochę spuchła ale kości są całe.

Grzegorz: Tak nie możemy tej sprawy zostawić Marylo. Ojciec wczoraj otrzymał rentę, a więc myślę, że stać go na leczenie w prywatnym ośrodku zdrowia. Fachowa pomoc trochę kosztuje, ale jej poziom jest naprawdę imponujący.

Maryla: To może zadzwonimy do prywatnej kliniki?

Grzegorz: Marylo podaj mi telefon.

-Klinika.

-Dziadek chyba ma skręconą kostkę u nogi.

-Plac na Rozdrożu 2, m. 183.

-No nie wiem gdzie wyląduje helikopter, ale myślę, że na naszym balkonie będzie za mało miejsca.

-Aha, przyleci aż z Katowic, bo ten z Gdańska jest w Tatrach.

-Za dwadzieścia minut!

-Poczekamy. No wiem, że to musi trochę potrwać.

-Formalności? To załatwmy je od razu.

-Ubezpieczenia nie mamy, ale płacimy gotówką, tak gotówką, dobrze pani słyszała.

-Trzech żyrantów, wyciąg konta z banku i "czek in blanco"?

-Nie, to raczej nie przylatujcie.

Maryla: I co? Co ci powiedzieli

Grzegorz: Wygląda na to, że i pięcioletnia renta Dziadka nie starczy na usługę o tak wysokim poziomie a po drugie mamy za mały balkon.

Maryla: To jednak niesamowite. Nie przypuszczałam, że tak trudno będzie znaleźć pomoc dla ojca.

Grzegorz: Myślę, że mam pomysł. Sami pomożemy ojcu i się nim zajmiemy.

Dziadek: Ja się nie zgadzam. Znam was dobrze. Wasza pomoc może być niebezpieczna.

Grzegorz: Ależ ojciec nie musi się niczego obawiać. Zastosujemy sprawdzony schemat działania. Czy słyszeliście coś o Bamwayu?

Maurycy: Ja coś tam słyszałem, ale tego jeszcze nie piłem.

Dziadek: Ja chyba kiedyś słyszałem tę nazwę od panny Ingi. To taka organizacja, w której trzeba podobno kupować u siebie samego.

Grzegorz: No właśnie.

Dziadek: Pamiętam jak w niezapomnianym roku 1905 też był podobny przypadek. Siedzieliśmy z Sebkiem Sewastopolskim i kapralem Jedziniakiem w ziemiance i graliśmy w oczko. Nagle Japończycy rozpoczęli atak i ostrzeliwanie naszych pozycji za pomocą artylerii. Ja przegrałem cztery ruble i byłem goły jak święty turecki. Potem przyszła zła passa na kaprala Jedziniaka. On też przegrał całe dwanaście jenów i 50 centów amerykańskich. Postanowiliśmy więc pójść do Japończyków i sprzedać im dwa koce i małą używaną siatkę maskującą, którą kapral Jedziniak znalazł poprzedniej nocy wracając z narady w sztabie 4 Brygady Zmotoryzowanych Wozów Drabiniastych. Gdy po trzech godzinach mieliśmy już gotówkę okazało się, że nie mieliśmy już gdzie wracać. Potężny wybuch zmiotł cały rejon naszych obwarowań. Z rozpaczy za poległym Sebkiem poszliśmy przepić w kantine przyniesione pieniądze. Ja zamówiłem sobie koniak armeński a kapral Jedziniak piwo w czystym kuflu. Ostrzał naszych pozycji trwał prawie pięć miesięcy i dlatego nie szukaliśmy ciała Sebka. Gdy już skapitulowaliśmy i Japończycy nas trochę odkarmili, oczyszczając teren twierdzy, dokopaliśmy się do resztek naszej ziemianki. Nawet japoński oficer nie mógł uwierzyć gdy okazało się, że Sebek czuje się dobrze i szczęśliwie przeżył pięć miesięcy w częściowo zasypanej ziemiance. Był w niezłej formie fizycznej ale w potwornie złej kondycji psychicznej. Okazało się, że cały wolny czas z nudów grał ze sobą w oczko i ograł się do ostatniego grosza. Tak sobie obrzydł swoim towarzystwem, że sam z sobą nie mógł wytrzymać. Japończyków bardzo ciekawiło jak to możliwe, że bez jedzenia wytrzymał pod ziemią prawie pięć miesięcy. Oczywiście Sebek nie zdradził tajemnicy naszemu śmiertelnemu wrogowi. Dopiero gdy kapral Jedziniak spił go niemal do nieprzytomności Sebek podzielił się z nami swoją tajemnicą. Okazało się, że ziemianka w której graliśmy w karty była bardzo wilgotna i zagrzybiona a na północnej ścianie rosły grzyby - pieczarki. Po prostu grzyby dawały pokarm Sebkowi a Sebek grzybom!

Maryla: To było naprawdę niesmaczne. W tej anegdocie ojciec przeszedł samego siebie.

Dziadek: Ja tam nie wiem smaczne czy niesmaczne, bo nigdy nie byłem grzybem!

Grzegorz: Ale wy jesteście ciemni i naiwni. Ja tu właśnie obmyślam, w zasadzie, strategię ekonomiczną na przyszłość a wy opowiadacie jakieś duperele. Ja właśnie zamierzam budować dobrobyt w naszym umęczonym kraju i zakładam taki Bamway a wy ciągle zajmujecie się przeszłością! Pomoglibyście przynajmniej wymyślić jakąś chwytliwą nazwę przedsiębiorstwa. To musi być coś polskiego, swojskiego i jednocześnie zachodniego, chwytającego klienta.

Maurycy: Może Skórex?

Grzegorz: No nie Maurycy, taka nazwa może być dla zakładów obuwniczych lub garbarni, no ostatecznie dla zakładu pogrzebowego w Łodzi ale nigdy, przenigdy dla poważnej firmy w stolicy!

Dziadek: Już wiem Jedziniax. Tylko Jedziniax!

Maurycy: Co się Dziadek: napalił na tego Jedziniaxa jak jaki Arab na kurs pilotażu w Ameryce. To dziwnie brzmi i źle się odmienia: Jedziniaxa, Jedziniaxie, Jedziniaxowi.

Maryla: A bo ja wiem? Nazwa może i niezła, bo i historyczna i zagraniczna ale do tej pory nie wiemy czym firma będzie się zajmowała?

Grzegorz: No jak to czym? Oczywiście leczeniem i handlem czyli tym co robi nasz dzielnicowy ośrodek zdrowia. Dziś usługi to najlepszy towar. Sami widzicie, że absolutnie nikt nie jest zainteresowany w tym aby przynieść ulgę dziadkowi Jackowi. Stąd wynika prosty wniosek, że na rynku jest dla nas miejsce.

Maryla: No dobrze, ale nikt z nas nie jest lekarzem. Ja się znam na medycynie bardzo niewiele bo jednak prosektorium różni się trochę od szpitala. Ty Grzegorzu też nie masz o tym zielonego pojęcia, a o nieuku Maurycym nie chcę nawet, najprawdopodobniej, wspominać.

Grzegorz: Ty Marylo nie wiesz co mówisz i zawsze widzisz wszystko w ciemnych barwach. Przecież to proste jak budowa cepa. Czy ty naprawdę myślisz, że trzeba coś umieć i skończyć jakieś szkoły aby rządzić innymi? No popatrz tylko wokół. Nawet prezydent nie miał głowy do solidnej nauki robiąc WUML a i tak sprawy gospodarki całego wielkiego skądinąd kraju ma w małym palcu u lewej nogi. Ja też mam taki naturalny talent, bo się urodziłem w bacówce na Gubałowie. Sama Marylo pomyśl logicznie: po co marnować cenny czas na chodzenie do szkoły i naukę?

Maryla: Nie jestem pewna czy masz rację Grzegorzu...

Grzegorz: Oczywiście że mam rację. Wiem już nawet jak obsadzimy stanowiska. Ja będę ordynatorem tej nowo powstałej placówki. Maryla, ponieważ ze mną sypia, będzie moja sekretarką i jednocześnie będzie prowadziła prosektorium, bo jest obeznana z tym tematem. Według mnie to jest najważniejszy dział w każdym szpitalu. No pomyślcie chwilę logicznie. Przecież każdy pacjent w końcu musi się przewinać przez ten dział. No musi i to bez względu na to co mu dolega i jak długo jest chory!

Maurycy: A ja kim będę? Bardzo chciałbym pracować z pacjentkami. Koniecznie muszą być młode i ładne! No, ostatecznie z pielęgniarkami stażystkami. Parę lat temu chodziłem do zasadniczej szkoły chemicznej ale praca w aptece w żadnym wypadku mnie nie interesuje.

Grzegorz: Co ty wygadujesz Maurycy! u nas nie będzie żadnej apteki. A po co komu apteka? To tylko niepotrzebna strata czasu. Ty będziesz jednocześnie lekarzem dyżurnym, kierowcą, sanitariuszem i dostawcą. Nasze przedsiębiorstwo nie będzie miało przerostu kadr. Będziemy działali nowoczesne, sprawnie i szybko.

Dziadek: No dobrze a kim ja będę w tej rodzinnej firmie?

Grzegorz: Ojciec ma dożywnię posadę w magazynie.

Dziadek: Nie ma sprawy mogę wydawać gips i strzykawki ale chce też współpracować ze stołówką. Będę liczył stoiki z dżemem truskawkowym, flaszki ze spirytusem i zapasy mrożonych pyz. Grzegorzu, nawet sobie nie wyobrażasz jaki ja jestem obowiązkowy. Nareszcie będziesz mógł się o tym przekonać i mnie należycie docenić.

Grzegorz: Ale a' propos flaszki. Wyobraź sobie Marylo, wczoraj na cmentarzu spotkałem profesora Mordowicza.

Maryla: Tego co operacyjnie rozdzielał ciebie od pana Kwoki?

Grzegorz: Właśnie tego znakomitego chirurga. Okazuje się, że zmienił specjalizację i ostatnio zajmuje się przeszczepami.

Maurycy: To dość nowa i fascynująca dziedzina medycyny. Słyszałem, że naukowcy pracują nad sztucznym, plastikowym sercem, które może z powodzeniem zastąpić zniszczone serce ludzkie. Tak samo podobno przeszczepiają nerki, oczy, wątroby czy szpik kostny. To dziedzina z ogromnymi możliwościami na przyszłość.

Grzegorz: No właśnie! Powiem więcej: na przyszłość i na teraźniejszość jednocześnie.

Maryla: To jednak wspaniale, że tak wybitna postać, człowiek o tak wielkiej kulturze jak profesor Mordowicz chciał rozmawiać z tobą. To naprawdę ogromny powód do dumy, że nareszcie mogliście pogwarzyć z sobą jak równy z równym.

Grzegorz: Niezupełnie.

Dziadek: Co znaczy niezupełnie?

Grzegorz: On rozmawiał z panem Jurkiem, właścicielem Domu Pogrzebowego Hades a ja, stojąc niedaleko, zupełnie przypadkowo słyszałem całą rozmowę.

Dziadek: Ja, Marylko jestem pewny że Grzegorz, ta szmata, specjalnie podsłuchiwał profesora Mordowicza! O tak, na pewno podsłuchiwał. On zawsze i wszędzie wszystkich podsłuchuje.

Grzegorz: I co z tego, że podsłuchiwałem!? Co z tego!? Najważniejsze, że dowiedziałem się paru interesujących rzeczy.

Maurycy: Co tam ciekawego można się dowiedzieć w domu pogrzebowym Hades? Cennik i tak wisi przed drzwiami i każdy zainteresowany może się z nim sam zapoznać.

Dziadek: Osobiście zainteresowany to chyba już nie, bo leży nieżywy. Najwyżej najbliższa rodzina może się dowiedzieć ile będzie musiała wybulić forsy na pogrzeb tradycyjny lub kremację.

Grzegorz: A nieprawda, nieprawda! Pieniądzom poświęcona była tylko część rozmowy. Wyobraź sobie Marylo, że profesor Mordowicz płakał jak bóbr w kołnierz pana Jurka.

Maurycy: To może jest z nim coś nie w porządku. Może po prostu pan Jurek go zdradza? Słyszałem gdzieś o takich dramatach rodzinnych.

Maryla: Głupi jesteś Maurycy: Niepotrzebnie powtarzasz plotki. Kiedy pracowałam przed laty z profesorem Mordowiczem w prosektorium to był on całkiem normalny. Pamiętam, że mnie nawet kiedyś podszczypywał podczas sekcji zwłok.

Dziadek: Zboczeniec, mówisz!?

Maryla: Ja wypraszam sobie takie insynuacje.

Grzegorz: Ależ nie Maurycy. Profesor Mordowicz płakał i narzekał na brak części zamiennych.

Maryla: Ty chyba masz źle w głowie Grzegorzu. W każdym sklepie z częściami motoryzacyjnymi możesz dziś kupić dowolna część do Toyoty, Mazdy czy BMW. Dziś już nie te czasy, że na kolanach błagało się fachowca o pasek klinowy czy łańcuch rozrządu do Malucha.

Grzegorz: Nie, on płakał, bo brakuje mu dawców organów do przeszczepów. Kolejka chętnych na przeszczepy jest ogromna, a nie ma dawców.

Maryla: Tak, tak, mówili o tym ostatnio w warzywniaku. Brak części zamiennych pogłębia kryzys w naszej służbie zdrowia choć, o ironio, jednocześnie jesteśmy światową potęgą w ilości wypadków drogowych.

Dziadek: To problem stary jak świat, Marylko. Dokładnie tak samo było w niezapomnianym roku 1905 w obleganym przez Japończyków Port Artur. Po długich i krwawych walkach skończyły się w naszym lazarecie zapasy krwi. Nie można było przeprowadzić żadnej operacji bo nie było krwi do transfuzji. No tragedia, ogromna tragedia. Wtedy nasz niezapomniany, legendarny dziś, mój osobisty przełożony, kapral

Jedziniak dostał ze sztabu Armii rozkaz aby ten problem szybko rozwiązać. Zaczailiśmy się wiec kolo latryny na naszego kolegę Sebka Sewastopolskiego i wprowadziliśmy go w krzaki głogu rosnące niedaleko placu apelowego. Było to bardzo trudne zadanie, bo Sebek machał rękami i tak głośno krzyczał, że musieliśmy w końcu użyć onucy. Następnie rozebraliśmy go do naga i przywiązali nogawkami spodni do drzewa. Wkrótce zleciały się tam wszystkie komarzyce z okolicy. No cóż tu wiele mówić, goły Sebek był bardzo ponętą przynętą. Właśnie na to czekał przyczajony kapral Jedziniak. Za pomocą gęstej siatki zrobionej z moskitiery łapał chmary komarzyc i upychał je do plecaków. Były bardzo dorodne, wielkie jak pszczoły, bo utuczone na japońskiej krwi. Gdy nałowiliśmy już ich odpowiednia ilość, razem z kapralem wycisnęliśmy z nich cała krew do pustych, szklanych flaszek po koniaku "Bajkał". Dla należytej dezynfekcji krwi dodaliśmy tam kilka kanistrów spirytusu, który dostaliśmy z samego sztabu armii. Od tego momentu krwi było tyle, że można było spokojnie przeprowadzać wszystkie transfuzje i operować rannych żołnierzy. Niestety, było to powodem upadku twierdzy Port Artur. Po każdej transfuzji chorzy byli pijani w sztok a następnego dnia mieli gigantycznego kaca. No sami rozumiecie, że takie transfuzje spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem wszystkich żołnierzy. Gdy wieść o tym rozniosła się w całym garnizonie każdy szanujący się żołnierz postanowił być przynajmniej lekko ranny. Wszyscy rwali się do ataku na bagnety, a szeregowi żołnierze wszczynali między sobą bójkę na noże i saperki. Niektórzy, mniej ambitni koledzy upadli nawet tak nisko, że na kolanach prosili Japończyków o rany postrzałowe. Sami rozumiecie, że w takiej sytuacji oblężenie Port Artur musiało się skończyć bezwarunkową kapitulacją!

Maryla: Ta opowieść ojca jest tak idiotyczna, że brak mi słów.

Grzegorz: Jak się was dłużej posłucha to aż żal tyłek ścisnąć. Wy tu tylko ciągle gadacie, a nikt nie bierze się do pracy. Maryla, Maurycy! do roboty. Czy wszystko musi być tylko na mojej głowie? Powinno w końcu do was dotrzeć, że tylko ciężką i solidną pracą można coś w życiu osiągnąć. Maurycy podaj mi telefon.

-Halo z ordynatorem Mordowiczem proszę.

-W ważnej sprawie dzwonię, nie mogę za długo czekać.

-To co, że właśnie operuje, poczekam chwilę.

-Nie dzwonię z jakiejś Ukrainy czy Białegostoku a z Warszawy, tak z Warszawy.

-Tak, właśnie powstała nowa hurtownia Jedziniax. Towar pierwsza klasa i świeży a nie jakieś odpadki z Hadesu.

-No wie pan, niech pan mnie nie obraża! Jesteśmy od jakiegoś czasu w Europie to i ceny są europejskie.

-Ja wiem, że Białystok jest dużo tańszy ale u nas towar nie jest fałszowany.

-Natychmiast mogę dostarczyć każdą część.

-Oczywiście, ale bez faktury, bo mi się gdzieś zapodziała pieczęć.

-Nie szkodzi? To świetnie!

-Jak stare? Świeże, jeszcze na wózku.

-Nie, nie niemowlę.

-No trochę ponad 100 lat ale jeszcze w świetnym stanie.

-Ależ panie ordynatorze?!

-No wie pan!!!

-Pan mnie też, ale dwa razy!!!

Maryla: No i co powiedział?

Grzegorz: Niby porządny profesor Akademii, przedsiębiorca, znany naukowiec a wyraża się jak cham nieokrzesany. Jego sugestie są dla mnie całkowicie nie do przyjęcia. No powiedz sama, Marylko jak ja, Grzegorz Poszepczyński, niemłody już ale jeszcze rzutki, Naczelny Dyrektor Jedziniaxu mogę w takiej atmosferze pracować i rozwinąć skrzydła?

Odcinek czwarty

Maryla: No i co ojciec tak się kręci po kuchni. Obiad już był, a śniadanie będzie dopiero jutro.

Dziadek Jacek: Nudzi mi się córeczko. Deszcz leje od rana i nie wiem co mam robić. Murzyn też się nudzi. Poszedłby sobie na suczki ale nie ma parasola a w płaszczu nieprzemakalnym gorąco i niewygodnie.

Maryla: To może zrobiłby ojciec coś pożytecznego, czymś się zajął a nie tylko narzekał?

Dziadek Jacek: Łatwo powiedzieć, zrobił coś, ale ja już wszystkie pożyteczne prace domowe zrobiłem.

Maryla: Ciekawe co dziś takiego ojciec zrobił, bo ja nic o tym nie wiem?

Dziadek Jacek: Jak to co? Od rana upolowałem już 26 karaluchów w kuchni kolo zlewozmywaka!

Maryla: Też mi zajęcie.

Dziadek Jacek: Czy ty myślisz że to takie proste? One są bardzo ruchliwe i wcale nie jest łatwo trafić kapciem uciekającego karalucha. Po drugie jest to polowanie czasochłonne. Musze czekać aż wyjdą z dziur, a sama musisz przyznać, że są dość płochliwe. Po trzecie, za jednym razem udaje mi się dopaść najwyżej dwa karaluchy, bo gdy mnie zobaczą każdy ucieka w inną stronę.

Maryla: To niech ojciec używa gazety a nie kapcia. Skacząc na jednej nodze z kapciem w reku naprawdę trudno cos upolować.

Dziadek Jacek: Prokowałem, ale po uderzeniu gazetą robi się z karalucha duża plama i trudno go sprzątnąć.

Maryla: Bo ojciec robi to zbyt mocno. To nie jest polowanie na słońce, a na karaluchy.

Dziadek Jacek: Chyba masz rację, ale ja do każdej pracy przykładam się bardzo solidnie.

Maryla: To może niech ojciec idzie do panny Ingi.

Dziadek Jacek: Byłem, ale jej nie było. Pewnie bierze nadgodziny w seks - szopie. Opowiadała wczoraj, że mają właśnie dostawę towaru. Pani Buba zamówiła podobno w Hongkongu całą partię nowych wibratorów w kształcie niedźwiedzia panda. Jeden z nich jest podobno tak wielki jak prawdziwy niedźwiedź. O tak, pani Buba to ma głowę do interesu.

Maryla: Naprawdę, mam już tego dość. To jest rozmowa jak z małym dzieckiem. Niech tata mi więcej nie marudzi i zajmie się czymkolwiek.

Dziadek Jacek: Prokowałem sam z sobą grać w salonowca, ale do tej skądinąd pasjonującej gry potrzeba więcej osób. Może byś ze mną zagrała Marylo?

Maryla: Co też ojciec opowiada. W dwie osoby gra też najprawdopodobniej nie ma sensu. Naprawdę pasjonująca staje się gdy jest przynajmniej pięć, sześć osób.

Dziadek Jacek: A skąd ja ci wezmę pięć osób? No, może gdy przyjdzie panna Inga, Maurycy i Grzegorz to uda się skompletować pełną drużynę.

Maryla: No niech mi ojciec nie zawraca teraz głowy, bo muszę iść do Malinowskiej na chwilę. Skończyła nam się mąka na zapiekankę. Trzeba spróbować pożyczyc, a to nie takie proste. Gdy wczoraj chciałam pożyczyc od niej dwa jajka na śniadanie dla Grzegorza, bezczelnie powiedziała przez zamknięte drzwi, że jej nie ma w domu.

Dziadek Jacek: Idź, idź próbować ale do pani Bożenki też nie masz po co chodzić Ona też już nie chce pożyczać, ale spróbuj u Zawistowskich z parteru. Oni nas jeszcze tak dobrze nie znają. A swoją drogą co za ludzie bez serca dziś tu żyją. Znieczulica jest widoczna na każdym kroku.

Maryla wychodzi do sąsiadki, a po chwili pojawia się pan Włodek

Pan Włodek: Przepraszam, że tak bez pukania i bez zapowiedzi, ale drzwi były uchylone to wpadłem na chwilę. Ale, ale co pan robi panie Dziadku Jacku?

Dziadek Jacek: Jak to, nie widzi pan, co ja robię?

Pan Włodek: Widzę, że siedzi pan na swym wózku, na środku pustej kuchni z parasolem w ręku, a naokoło jest strasznie mokro. Czyżby sąsiedzi z góry mieli awarię pralki i znowu państwa zalało?

Dziadek Jacek: Nas zalało? Pierwsze słyszę? Nie widzi pan, że trenuję? To bardzo pasjonująca, trudna i ambitna gra. Wymaga inteligencji, refleksu, dobrej koordynacji ruchowej, sprawności fizycznej, przewidywania skutków swych działań i niestety ponoszenia konsekwencji nieprawidłowo przeprowadzonej zagrywki. Dla mnie najważniejsza jest jednak prawdziwa sportowa rywalizacja i to, że może to być gra sprawnościowa, jednoosobowa. Istotne jest też to, że mogę grać będąc w wózku, choć niewątpliwie w ten sposób jest o wiele, wiele trudniejsza. Ja jednak nigdy nie stawiałem sobie łatwych celów. Pewny jestem, że sport ten ma wielkie szanse stać się dyscypliną olimpijską. Gdzie to będzie następna Olimpiada, panie Włodeku?

Pan Włodek: W Chinach, chyba w Chinach.

Dziadek Jacek: W Chinach, powiada pan? To prawie jak w Mandżurii. A może uda się stworzyć cały zespół z weteranów wojennych? Oczywiście kierownikiem drużyny zostałby nasz zastępca, bezpośredni przełożony, kapral Jedziniak. Myślę, że się zgodzi gdy zaproponuje mu się odpowiednio wysokie wynagrodzenie w Euro. Emerytury nie są zbyt wysokie to każdy chce dorobić parę groszy. A może pan, panie Włodeku, jako junior przyłączyłby się do drużyny? Myślę, że następny obóz treningowy trzeba będzie zorganizować w Zakopanem albo w Alpach. Trzeba też będzie poszukać jakiegoś zamożnego sponsora. Na pewno pańska żona mogłaby nam w tym pomóc. Ona ma odpowiednie koneksje. Występowalibyśmy w koszulkach biało - czerwonych ozdobionych logiem jej firmy.

Pan Włodek: Nie bardzo rozumiem o jakiej olimpijskiej dyscyplinie pan mówi, panie Dziadku Jacku. Nawet jeśli miałyby to być spadochroniarstwo, to nie jestem pewien czy jest taka dyscyplina olimpijska. Dużo nowych dziedzin przybyło, ale nie znam żadnej, w której używa się starego parasola od deszczu. No, a może przygotowuje się pan na ceremonię otwarcia Igrzysk? Tam na pewno na murawie stadionu, będzie występowało wiele tysięcy młodych ludzi z kolorowymi parasolkami.

Dziadek Jacek: Ależ skąd! Ja trenuję plucie na sufit! To naprawdę nie jest łatwo siedząc w wózku napluć na sufit i to tak precyzyjnie żeby nic mokrego nie spadło na głowę zawodnika. Dlatego właśnie zastaniam się parasolką, tak na wszelki wypadek. Początkujący zawodnik z reguły ma trudności z szybkimi zastonami parasolką, bo wymaga to wybitnego refleksu i koordynacji ruchowej. Siermierka czy tenis to przy mojej dziedzinie dyscypliny prymitywne, powolne i nudne, pozbawione ryzyka; prawie tak jak szachy, brydż czy bierki. No niech pan sam powie czy grając w brydża można dostać w oko?

Pan Włodek: Nie, no nie przesadzajmy. Pamiętam, że kiedyś grając na wczasach w Bułgarii dostałem za parę lewa w lewe oko. Potem do końca turnusu musiałem chodzić w ciemnych okularach, bo całe oko było fioletowe. Zresztą wie pan, panie dziadku Jacku, wszyscy chodzili tam w ciemnych okularach bo po pierwsze był to bardzo słoneczny miesiąc a po drugie były to wczasy organizowane przez zakład pracy mojej żony.

Dziadek Jacek: Dostał pan w oko, bo pewnie pan oszukiwał? I tak miał pan dużo szczęścia, że nie pojechał pan do Rumunii, bo tam w obiegu są leje a oszustów się leje co mogło się skończyć pobytem w szpitalu...

Pan Włodek: Nic mi nie zdołano udowodnić, choć podobno talia kart, która graliśmy była lekko znaczona.

Dziadek Jacek: Oczywiście trudności w awangardowych i ekstremalnych dziedzinach sportu są i będą zawsze, a najczęściej tam gdzie przepisy nie są do końca zdefiniowane. Pamiętam jak jednej niezwykle ciemnej nocy w niezapomnianym roku 1905 w obleganym przez Japończyków Port Arturze, siedząc w ziemiankach pod ciągłym ostrzałem naszego śmiertelnego wroga uprawialiśmy ten sport całymi godzinami. Oczywiście graliśmy na pieniądze i choć stawki były niewysokie bo licytowaliśmy po pół jena, w banku uzbierało się już 7293 Jeny. Niekoronowanym królem tej dyscypliny był mój najbliższy kolega z kompanii, Sebek Sewastopolski. Opanował technikę tak doskonale, że trafiał w dowolny punkt sufitu leżąc na podłodze ziemianki w pełnym rynsztunku bojowym, z karabinem w rękę i w masce gazowej. Nie przeszkadzał mu nawet wypchany plecak, choć niektórzy zawistni koledzy uważali, że plecak ułatwia trafienia, bo zmniejsza dystans dzielący zawodnika od sufitu. Niestety, wybuch pocisku artyleryjskiego zmiotł cały sufit ziemianki. Jest rzeczą zrozumiałą, że pierwsza i najważniejsza sprawa w takich rozgrywkach jest wysokość hali sportowej. Po tej fatalnej salwie japońskiej artylerii Sebka opuściło szczęście i zaczął przegrywać. Sebek, w związku z niesportowym zachowaniem Japończyków, złożył w tej sprawie zażalenie na piśmie aż do samego cesarza i chciał powtórzenia całych zawodów. Powołaliśmy nawet w kompanii zespół ekspertów z naczelnego dowództwa brygady pod kierownictwem samego admirała Aleksandra Kołczaka. Niestety, ku rozpaczy kaprała Jedziniaka, zarekwirował on całą pulę banku i sam przepił w kantynie oficerskiej.

Maryla: O, widzę, że nas odwiedził pan Włodek, a ja taka nieuczesana. A co tu tak w kuchni mokro?

Dziadek Jacek: Nic Marylko, to tylko ja sobie trenuję przed Olimpiadą w Chinach.

Maryla: Niestety muszę z przykrością stwierdzić, że dziś nie będzie obiadu i kolacji. Nikt z sąsiadów nie chciał pożyczyć nam mąki na zapiekankę.

Dziadek Jacek: To wiesz co, Marylko? Idź do nich jeszcze raz i spróbuj pożyczyć trochę ryżu! Przed olimpiadą w Chinach ryż z dżemem, palce lizać, też mogę zjeść na obiad!

Odcinek piąty

Pan Włodek: Nie wiem czy przyszedłem do państwa w odpowiednim momencie, ale widzę, drzwi uchylone to myślę, wejdę.

Maryla: Ależ pan, panie Włodeku zawsze jest tu miłym gościem. Zawsze mówiłam i mówię, że z pana to kawał mężczyzny. To nie to co Grzegorz!

Pan Włodek: Bardzo jest pani dla mnie miła, ale dziś przyszedłem specjalnie do dziadka Jacka.

Dziadek Jacek: Do mnie? To nie ja zabrałem mleko spod pana drzwi. To na pewno pan Słowikowski albo panna Inga. On całe dni kręci się koło zsypu to i on na pewno dzisiaj rano wypił panu to mleko.

Pan Włodek: Ależ nie o to chodzi tym razem. Przyszedłem, bo przysłała mnie moja żona. Poprząkaliśmy się nawet o to i musiałem jej przyłać z samego rana. Pan rozumie - ja w nią patelnią a ona we mnie krzesłem, taka poranna dyskusja.

Dziadek Jacek: Słyszałem ten łomot łamanych mebli, ale nadal nie wiem co pani Bożenka ma do mnie? Z góry uprzedzam, że żywcem nie dam się wziąć!

Pan Włodek: Nie chciałbym powtarzać plotek, które obieły całą kamienicę, ale ponieważ pana lubię panie dziadku Jacku to chciałbym pana ostrzec.

Dziadek Jacek: Wiem, przed tym mordercą Zachariaszem Dorożyńskim? Bo wie pan, ja jako biegły sądowy brałem udział w procesie tego zatwardziałego mordercy Igi Korczyńskiej, tancerki teatrzyku Ananas w Warszawie i on poprzysiągł mi zemstę.

Pan Włodek: Tym razem to nie o to chodzi. Widzi pan, kiedy moja żona o piątej rano czuwała aby usłyszeć kiedy roznosiciel mleka postawi butelkę przed naszymi drzwiami, wyśledziła coś dziwnego. Usłyszała jak panna Inga żegna się z jakimś mężczyzną na korytarzu. Komu innemu nie mówił bym o tym, ale pana dziadka Jacka szanuję a wiemy wszyscy, że chodzi pan często do panny Ingi. Takie pożegnania o piątej rano dają całej kamienicy wiele do myślenia.

Maryla: A to szmata!

Dziadek Jacek: Nie Marylko, to japoński podkoszulek, którym wycieram mokrą podłogę w kuchni, bo zlew bardzo cieknie. Była tu nawet w tej sprawie sąsiadka z dołu i to nawet trzy razy. Dziwne, że chce jej się tak często chodzić po schodach?

Maryla: Chciałam powiedzieć, że nie spodziewałam się tego po niej.

Dziadek Jacek: Ja też nie spodziewałem się, że ta szmata tak szybko nasiąknie i dlatego wziąłem swój ulubiony podkoszulek. On jest naprawdę świetny do wycierania podłogi To stara, solidna, japońska robota.

Maryla: Czy ojciec nie rozumie, że jest to dla całej rodziny Poszepszyńskich wielki wstyd! Nawet Murzyn jest zawstydzony i nie wytyka głowy spod łóżka!

Dziadek Jacek: Ale jaki tam wstyd, że pościerałem podłogę w kuchni i nareszcie jest czysta? Prawdę mówiąc dawno już powinno się ja umyć na mokro, ale nikt w tym domu nie ma czasu na sprzątanie. Wszyscy czekają aż ja posprzątam! W zlewie urosła piramida nie umytych naczyń a po nich łażą wypasione karaluchy. To skandal! A ja tylko tak: trzask prask i po wszystkim!

Pan Włodek: To państwo podyskutujcie sobie w rodzinnym gronie, a ja już pójdę, bo Bożenka pewnie tam na mnie czeka.

Dziadek Jacek: Poszedł już? Tak? To dobrze, to bardzo dobrze. Ostatnio zrobił się bardzo natrętny, ten donosiciel, a tego tajemniczego gościa panny Ingi to ja osobiście dopilnuje.

Maryla: Ciekawe jak ojciec to zrobi?

Dziadek Jacek: Mam swoje sposoby. Zaczaję się w nocy w zsybie i będę obserwował kto przychodzi do tej nimfomanki. Podobna sytuacja była gdy śledziłem Igę Korczyńską, tancerkę teatrzyku rewiewego Ananas w Warszawie. Udało mi się wtedy niepostrzeżenie dostać do garderoby Igi. Garderoba była niewielka i jedynym miejscem gdzie mógłbym się schować było stojące tam łóżko. Gdy spektakl się skończył Iga przyszła do garderoby aby się przebrać. Ach, jakie ona miała piękne i duże oczy! Niestety, szczęście nie trwało długo, bo zaprosiła do garderoby cały prawie zespół, aby opić premierę nowego przedstawienia. Przyszło dwanaście osób i wtedy zaczęły się moje katusze. Iga siadła na fotelu przed lustrem, a na łóżko siadło przynajmniej siedem osób. Zostałem prawie wprasowany w podłogę a stary, sprężynowy stelaż łóżka wpijał mi się w kręgosłup. Na dodatek dwie pęknięte sprężyny uwierały mnie w potylicę. Jednak nie to było najgorsze. Kupceście Smurzynskiemu strasznie śmierdziały skarpetki i myślałem, że się uduszę siedząc w tych warunkach prawie trzy godziny. Zobacz Marylko ile to trzeba wycierpieć przez kobiety.

Maryla: Teraz też nie będzie łatwo, bo zsyb strasznie śmierdzi a przy zsybie czuwa zawsze pan Słowikowski. Ciekawe jak tam się we dwóch zmieścicie? Jest jeszcze inny problem. Pan Słowikowski bardzo nie lubi konkurencji, bo słusznie uważa, że jeden ekshibicjonista w bloku wystarczy. Może mieć ojciec kłopoty, bo on jest od ojca o wiele młodszy i silniejszy.

Dziadek Jacek: Masz racje Marylko, ale ja jestem od niego bardziej inteligentny. Myślę, że muszę się jakoś pozbyć tego Słowikowskiego. Czy mi w tym pomożesz?

Maryla: Jak ojcu nie wstyd składać mi takie nieprzyzwoite propozycje? Ja mam się zadawać z tym człowiekiem?

Dziadek Jacek: Źle mnie zrozumiałaś. Po prostu pożycz mi na godzinę swoją stara sukienkę i chustkę na głowę, a ja już wszystko załatwię. Nie martw się o mnie, zaraz będę z powrotem!

Maryla: To ty Grzegorz? Co jesteś taki zdyszany i zdenerwowany?

Grzegorz: Jak mam nie być zasapany skoro winda znowu, w zasadzie, nie działa i muszę wejść aż na 7 piętro. To skandal, że ciągle się psuje. Nie dość, że ktoś ciągle wykręca żarówki, że cała jest odrapana i niemiłosiernie śmierdzi kotami, to jeszcze jest zepsuta! Dozorca powiedział, że już zawiadomił konserwatora dźwigów o awarii, ale on przyjedzie dopiero za dwa dni, bo w sobotę i niedziele nie pracuje. Jak pomyślę, że będę musiał biegać przez ten czas po schodach to cały się w środku gotuję!

Maryla: Nie przesadzaj, a swoją drogą trochę gimnastyki ci nie zaszkodzi, bo ostatnio znowu utyłeś. Powinieneś dbać o swoje zdrowie i ruszać się codziennie a nie tylko wtedy gdy winda jest zepsuta. Mógłbyś brać przykład z pana Włodka, który codziennie się gimnastykuje.

Grzegorz: No tak, ale musisz przyznać, że pani Bożena ma w tym swój ogromny udział.

Maryla: Jeśli myślisz, że będę cię goniła po korytarzu z siekiera w ręku to się grubo mylisz.

Grzegorz: A pani czego tutaj szuka? Nie chcemy żadnych wróżb ani odczyniania uroków a po drugie zebrania po mieszkaniach są w naszym bloku zakazane. Ja zaraz pójdę do dozorczy i on ...

Dziadek Jacek: Cicho Grzegorzu to ja, nie poznałeś mnie? To świetnie. Prawda, że jestem dobrze przebrany!. Zamknij szybko drzwi. Pełna konspiracja. Nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś. W razie czego mów, że mnie nie znasz, że byłeś pijany i nic nie pamiętasz.

Grzegorz: Ależ ojczy, jak ojciec wygląda? Co to za maskarada?

Dziadek Jacek: Nic takiego. Po prostu w przebraniu udało mi się zwabić Słowikowskiego do windy. Nie było to wcale takie trudne. Jak zwykle stał koło zsypu ubrany tylko w kapcie i lornetkę. Pokazałem mu swoje gołe kolano ostentacyjnie poprawiając rozsznurowana sznurówkę w prawym bucie. Wbiegł za mną do windy, a wtedy ja z niej szybko wyszedłem i zatrzasnąłem drzwi. Za pomocą widelca z wyłamanymi środkowymi zębami zrobiłem krótkie zwarcie w kontakcie na klatce schodowej. Oczywiście wysiadły korki na korytarzu i zatrzymał się silnik windy. Nie ma obaw, szybko z tej metalowej klatki nie wyjdzie! Potem mogłem już bez przeszkód śledzić pannę Inge.

Grzegorz: No dobrze, ale po co ojciec ją śledzi?

Maryla: To ty jeszcze tego nie wiesz? Cała kamienica o tym huczy od rana, a ty nie wiesz co się dzieje w twojej własnej rodzinie?

Grzegorz: A skąd mam wiedzieć? Od samego rana tyram jak wół w japońskiej toalecie na bandę nierobów, biorę nadgodziny a ty masz do mnie pretensje, że nie znam wszystkich lokalnych plotek!

Maryla: No dobrze, to się dowiedz, że panna Inga doprawia rogi memu ojcu!

Grzegorz: Niemożliwe, a z kim?!

Maryla: Pewnie ze Słowikowskim, bo kto inny potakomiłby się na taka stara dmuchana lalkę z seks szopu?

Grzegorz: To naprawdę niesmaczne, ale kto to może wiedzieć naprawdę?

Maryla: Cały warzywniak od rana tylko o tym mówi, a po drugie pani Bożena słyszała ich rozmowę o piątej rano na korytarzu. To chyba wystarczające źródło informacji? Pani Bożena pracuje przecież w Urzędzie i wie wszystko o wszystkich.

Dziadek Jacek: Nie kłóćcie się już. Czy w tej rodzinie nie może być chwili spokoju? A tak, w ogóle, to zapraszam was na przedstawienie.

Grzegorz: Czyżby znowu ojciec dostał jakieś darmowe bilety ze Stowarzyszenia "Psie Pole"? Dawno już nie byłem w teatrze "Falanga".

Dziadek Jacek: Nie, po pety nie musimy już chodzić aż do teatru. Dziś ja jestem reżyserem darmowego spektaklu i to dla całej kamienicy. Dokładnie tak samo było w niezapomnianym roku 1905 gdy mój bezpośredni przełożony, kapral Jedziniak postanowił, że cały oddział wystąpi w mandżurskim teatrze cieni. Miała być to sztuka o Juliuszu Cezarze i jego walecznych Legionach. Sztuka miała wydzwięk patriotyczny i miała podnieść morale w naszym wojsku. Oczywiście reżyserem i Cezarem był kapral Jedziniak. Aby uzyskać dobre efekty światłocienia postanowił oświetlić namiot reflektorem wykonanym z dziesięciu lamp naftowych ustawionych w kotle kuchni polowej. Nasze kotły zawsze lśniły nieskazitelna czystością, bo nasz kucharz gotował tak dobrze, że szeregowi każdego dnia wylizywali kocioł do połysku. Niestety nie wiem jak skończyło się przedstawienie, bo gdy tylko kapral Jedziniak podświetlił w nocy naszym reflektorem płótno namiotu, za którym miał występować, Japończycy ostrzelali świetnie widoczny cel z artylerii. Pierwsza salwa zniszczyła reflektor i w ten sposób straciliśmy nasz cenny kocioł. Od tej pory nie było w czym gotować zupy, a szeregowcy do końca wojny musieli jeść groch na surowo co bardzo popsło atmosferę w całym obleganym jeszcze wiele miesięcy warownym obozie.

Grzegorz: Czy ojciec zawsze musi opowiadać takie niesmaczne historie?

Maryla: O popatrzcie, jakiś najprawdopodobniej duży samochód meblowy zajeżdża pod klatkę schodową. Ciekawe, kto się będzie przeprowadzał? Myślę, że Malinowscy z parteru bo właśnie w czwartek się rozwieźli.

Grzegorz: Gdzie ty Marylo widzisz wóz meblowy? Ten samochód wygląda zupełnie inaczej. Jest większy i cały wymalowany w jakieś kolorowe napisy, a poza tym na dachu wiezie miednicę, czy coś w tym rodzaju.

Maryla: No właśnie dlatego mówię, że ktoś się przeprowadza. Kto inny woziłby miednicę na dachu?

Dziadek Jacek: Marylko nie gadaj tyle tylko podaj mi moja lunetę, ale szybko. Tak, widzę! Tak, jestem już pewny. Tam są jakieś litery. Tam jest napisane...TVN 24.

Maryla: Ciekawe po co przyjechali?

Grzegorz: Pewnie pomylili adresy i zaraz odjadą.

Maryla: Co ty tam wiesz Grzegorzu? O zobaczcie, zajeżdża drugi duży samochód i wysiadają z niego jacyś robotnicy z narzędziami. Zobaczcie, oni idą do naszej klatki schodowej.

Grzegorz: Już wiem, przyjechała brygada aby naprawić windę. Wiesz Marylko uważam, że w ostatnich latach podniósł się u nas wyraźnie poziom usług. Kiedyś trzeba było tygodniami czekać na naprawę windy a dziś, zobacz sama, przyjechali szybko i zabrali się za robotę. To jest naprawę budujące.

Dziadek Jacek: Przestań głądzić Grzegorzu. Widzicie, że za ekipa biegną jacyś ludzie z kamerą i mikrofonem?

Grzegorz: No nie, to jest już lekka przesada aby TVN 24 robiło w zasadzie dla dziennika reportaże z pracy mechaników reperujących starą, zdezelowaną, śmierdzącą windę. Czasy Prezesów i głupich telewizyjnych reportaży minęły już chyba bezpowrotnie!

Dziadek Jacek: Co ty tam wiesz Grzegorzu?

Grzegorz: Mnie nigdy nie filmowano gdy szoruję gazą deski klozetowe i myślę, że pan Papuga prędzej popełniłby harakiri niż pozwoliłby filmować dla TVN 24 naszą ubikację.

Maryla: Nie gadajcie tyle, tylko patrzcie co tam się dzieje. Właśnie zajeżdża na sygnale karetka pogotowia i wybiega z niej trzech pielęgniarzy z noszami. Ale się spieszą. Ten co wyszedł teraz z karetki to pewnie lekarz.

Grzegorz: Może stał się jakiś wypadek. Windy to bardzo skomplikowane i niebezpieczne urządzenia.

Dziadek Jacek: Co wy tam wiecie. Patrzcie uważnie. O, właśnie wychodzą z klatki pielęgniarze z noszami i lekarz za nimi. Widzę wyraźnie, bardzo wyraźnie. Do noszy jest przywiązany pan Słowikowski. Ubrany jest tylko w kaftan bezpieczeństwa i strasznie się szarpie z pielęgniarzami. O, spadł mu kapeć. A teraz spadł mu drugi. On coś krzyczy, ale jesteśmy za daleko aby to usłyszeć.

Maryla: Ojcu to dobrze, bo ma lunetę ale my nie widzimy tak dokładnie. Wiecie co, to może być relacja na żywo. Grzegorzu włącz telewizor.

Grzegorz: Masz rację Marylo, jest bezpośrednia transmisja. Pana Słowikowskiego widać wyraźnie, momentami nawet za wyraźnie. Nie wiem czy takie widoki powinny być pokazywane na ekranach telewizji w środku wieczora.

Dziadek Jacek: O, wpakowali go do karetki i karetka odjechała na sygnale. Reporter został i jeszcze coś opowiada. Ale śmieszne, zobaczcie jak poważna ma minę i jak strasznie macha rękami. Ciekawe skąd oni wystrasnęli takiego pajaca?

Maryla: Masz racje Grzegorzu. Myślę, że osobisty kontakt z panem Słowikowskim jest o wiele ciekawszy niż transmisja przez telewizję. Jednak ekran telewizora jest płaski.

Dziadek Jacek: No i jak wam się podobał spektakl?

Grzegorz: Musze schylić przed ojcem głowę. Dawno nie widziałem przedstawienia wykonanego z taką szybką akcją, rozmachem, precyzją i fantazją. Setnie się ubawiłem. Ważne jest też to, że ojciec dotarł do tak ogromnej ilości widzów. Ostatecznie właśnie teraz najwięcej ludzi siedzi przed telewizorami i oglądalność jest naprawdę imponująca. Bardzo mnie ciekawi jak ojciec tego dokonał?

Dziadek Jacek: E tam, sprawa była dziecinnie prosta. Zatelefonowałem do Trzeciego Zastępcy Rady Handlowego znanej mandżurskiej firmy GazPROox, Aleksandra Michajłowicza Ryżowa i powiedziałem, że jeśli chcą zobaczyć na żywo dwa obrzydłe ptaki uwięzione w klatce pod drzwiami kochanki to powinni szybko przyjechać na Plac na Rozdrożu. Ostatecznie w wolnym kraju, niezależne media powinny stać na straży wartości rodzinnych! No nie?!

Odcinek szósty

Maurycy: Niech mi mama poda młotek.

Maryla: Znowu ci upadł?

Maurycy: Tak, bo dziadek tak mocno pociągnął kabel, że o mało co znowu nie spadłem z drabiny.

Grzegorz: Nie krzyczcie tak głośno, bo się tu zleci cały, w zasadzie, dom. Po co wszyscy w kamienicy mają wiedzieć co my robimy?

Dziadek Jacek: Ja naprawdę jestem już bardzo zmęczony i chciałbym aby Maurycy pospieszył się z tym przybijaniem gwoździ.

Maurycy: Łatwo wam mówić, ale wbić gwóźdź w betonową płytę pięciokilogramowym młotkiem, to naprawdę trudne zadanie. Przydałaby się wiertarka udarowa.

Grzegorz: Wykluczone! Mamy tylko młotek i to powinno ci wystarczyć. Ja w twoim wieku nie miałem nawet młotka i też było dobrze.

Dziadek Jacek: Maurycy już cztery godziny wali w ścianę a i tak nie udało mu się wbić nawet jednego gwoźdza. To beznadziejna sprawa.

Maryla: A może ty Grzegorzu pomógłbyś Maurycemu? On już nie ma czucia w reku. Dlatego ten młotek mu wciąż wypada.

Maurycy: Trudno utrzymać mały gwóźdź zabandażowanymi palcami. Już pięć razy trafiłem się w palec. Ten bandaż z taśmy od maszyny do pisania jest trochę niepraktyczny, bo strasznie brudzi ścianę.

Grzegorz: Nic się nie bój, Maurycy. Pan Włodzimierz jest mało spostrzegawczy. Pewny jestem, że nawet nie zauważy, że podłączyliśmy się do jego telewizora. Pani Bożena z pewnością też się nie zorientuje, bo ona jest zainteresowana tylko tym, co się dzieje u sąsiadów a nie tym co się dzieje w jej mieszkaniu.

Dziadek Jacek: Miałaś Marylko podlewać kwiaty pani Bożeny gdy ona jest na wakacjach, ale one jakoś tak dziwnie wyglądają.

Maryla: Nie jest aż tak źle, choć kaktusy trochę zwiędły, ale za to wczoraj podlałam wszystkie kwiaty solidnie. Pewna jestem, że do jutra najprawdopodobniej odżyją.

Maurycy: Niech tata trzyma tę drabinę mocniej, bo znowu się przesunęła. Ja w takich warunkach nie mogę pracować!

Grzegorz: To nie moja wina, bo nic prawie nie widzę. Ta poduszka zasłania mi oczy!

Maryla: Zasłania to prawda, ale nareszcie jest duża szansa, że drugi raz już nie dostaniesz w głowę spadającym młotkiem. Trzeba przestrzegać przepisów BHP przy pracy na drabinie i pod drabiną. Gdy pracowałam w prosektorium to też musieliśmy przestrzegać masę przepisów. Pamiętam, że niektóre były bardzo uciążliwe. Gdy trzeba było wyjąć denata z górnej półki chłodni to potrzeba było aż cztery osoby. Jedna wyciągała delikwenta, a trzy trzymały chybotliwy taboret. Myślę Grzegorzu, że nie powinieneś narzekać na to, że dbam o twoje zdrowie.

Dziadek Jacek: A ja już jestem głodny. Zjadłbym chleba z dżemem palce lizać. To wbijanie gwoździ trwa już tyle godzin. A może Marylko zrobiłabyś zapiekanki z mąki i wody?

Maryla: Wykluczone! Jadł już ojciec dzisiaj!

Dziadek Jacek: Jadłem, ale chleb z dżemem truskawkowym, a teraz chce abyś zrobiła zapiekanki. Po prostu przykleimy kabel zapiekanką do ściany i będzie po problemie. To jest o wiele lepsze rozwiązanie niż wbijanie gwoździ w beton. Pamiętam jak w niezapomnianym roku 1904 w obleganym przez Japończyków port Arturze został

utworzony Polowy Zakład Prowizorycznych Remontów. Ponieważ brakowało fachowców znających się choć trochę na robocie, oddelegowano mnie, bo kiedyś po pijanemu opowiadałem w kasynie, że widziałem jak mechanik naprawia samochód. Jako fachowcowi z doświadczeniem kapral Jedziniak powierzył mi remont pancernika "Pobieda", który nieoczekiwanie został trafiony pociskiem artylerii japońskiej. Wybuch wyrwał kawał pokrycia kadłuba okrętu w części dziobowej. Pragnąc szybko dokonać naprawy powołałem wydział techniczny tego przedsiębiorstwa pod nazwą Mandżurskich Łodzi Obsługa Techniczna w skrócie: MŁOT. Na czele tego wydziału stanął główny specjalista oddziału remontowego, Sebek Sewastopolski i rażno wziął się do roboty. Kazał do największego kotła remontowanego pancernika wsypać 5 ton mąki ryżowej i gotować tak długo, aż się zrobi świetnej jakości klej ryżowy. Za pomocą tego kleju i pakuł profesjonalnie i szybko naprawił ubytek w kadłubie pancernika. Gdy tylko klej należycie wysechł kadłub został grubo pomalowany farbą olejną i okręt znowu wyszedł w morze aby chlubnie pełnić swoją marynarską powinność. Jakie były dalsze losy pancernika "Pobieda" dokładnie nie wiem, bo wkrótce zatonął, a wszystkie jego tajemnice przykryły fale oceanu.

Grzegorz: Myślę, że tym razem powinnaś Marylo postuchać ojca. Kleistość twoich zapiekank jest ogólnie znana, a więc nie powinno być najmniejszego problemu z przyklejeniem kabla do ściany i sufitu. Takie połączenie będzie nawet bardziej ekologiczne i estetyczne, bo jednak plamy zostawiane na ścianach przez Maurycego są naprawdę ohydne.

Maryla: To poczekajcie chwile. Pójdę, pożyczę trochę mąki i zaraz przyrządzę zapiekankę.

Maurycy: Nareszcie mogę trochę odpocząć i zejść z drabiny. Mam już dość tej roboty. Nigdy nie myślałem, że praca instalatora kabli telewizyjnych jest taka niebezpieczna.

Grzegorz: Ja też nie przypuszczałem, że noszenie poduszki przywiązanej do głowy jest aż takie męczące.

Maurycy: Mamy trochę wolnego czasu to włączę telewizor. Musimy też sprawdzić jakie kanały wykupił pan Włodek. Ostatecznie od tego zależy co my u siebie będziemy oglądali.

Grzegorz: Zobacz czy jest kanał sportowy. Pewny jestem, że będą transmitowali zawody golfa. U mnie w pracy wszyscy pracownicy z rachuby grają w golfa i siedząc na sedesach, godzinami opowiadają o tym. Gdy na własne oczy zobaczę jak ta gra wygląda też będę mógł przyłączyć się do dyskusji i też opowiadać.

Dziadek Jacek: Zobacz też czy są jakieś kanały dla mnie. Myślę, że każda szanująca się sieć telewizyjna powinna nadawać ze dwadzieścia kanałów dla weteranów wojny rosyjsko - japońskiej! Maurycy no co ty robisz? Nie przełączaj tak szybko kanałów, bo nic nie widzę a najlepiej poczekaj chwilę, bo muszę bliżej podjechać wózkiem. Niestety oczy już nie te co dawniej a wiadomo, że takie programy najlepiej oglądać z bliska.

Maryla: Już jestem z mąką. Zaczekajcie chwile, tylko doleje wody i rozmieszam mąkę z wodą. O, widzicie, już zapiekanka jest gotowa. Maurycy włącz szybko na drabinę i klej kabel!!!

Grzegorz: Czy mógłbyś mniej chlapać? Mam całe oko zaklejone i znów nic nie widzę. Oszczędzaj zapiekanki, bo musisz umocować jeszcze ponad 40 metrów kabla. Przez twoje rozrzutne szastanie klejem zrobiło się też strasznie ślisko i mogę mieć trudności w utrzymaniu drabiny. To naprawdę staje się niebezpieczne!

Maurycy: Już prawie skończyłem. Niech tata trzyma mocno i nie trzęsie drabiną, bo znowu z niej spadnę, a wtedy nawet poduszka nie pomoże, bo ja ważę o wiele więcej niż młotek.

Maryla: O, jak ładnie tańczą. Tez chciałabym tak tańczyć, ale ty Grzegorzu nigdy tak ze mną nie tańczyłeś. Ty zawsze bałeś się i kryłeś po kątach.

Grzegorz: Bo ty Marylo tańczysz za szybko i nie zwracasz uwagi na muzykę. Jak to mówią u nas w górach: muzyka ci w tańcu nie przeszkadza!

Maryla: Ależ to by było pięknie, gdybym mogła zatańczyć w takim konkursie telewizyjnym. Pewna jestem, że pani Bożena pękłaby z zazdrości!

Maurycy: To nie takie proste zadanie zatańczyć w telewizji. Trzeba latami trenować albo być córką byłego pana Prezydenta i dopiero wtedy ma się szansę w takich zawodach.

Dziadek Jacek: Przekonałeś mnie Maurycy! Myślę, że ja też tam powinienem wystąpić. Ja jestem spokrewniony z byłym kandydatem na Prezydenta a to prawie to samo co być spokrewnionym z byłym prezydentem. Byłem uczestnikiem kampanii wyborczej, a więc jestem ludziom znany. Program nosi tytuł "Taniec z Gwiazdami" a ja niewątpliwie zasłużyłem na miano "Gwiazdy rozrywki", bo Sylwia, w czasie naszych zabaw, zawsze się śmiała.

Maryla: Nie gadajcie tyle, lepiej patrzcie jak elegancko podskoczyli i nawet nie upadli! To takie romantyczne!

Maurycy: Tak. Uważam, że Dziadek ma pewne szanse wystąpić w takim programie i zatańczyć tam, na przykład, z panną Inga. Żeby jednak uzyskać sukces trzeba by się odpowiednio przygotować. Do tego jest potrzebny zgrany zespół ludzi i kupa szmalu. Ktoś musi dobrać muzykę, zapewnić stroje i ułożyć całą choreografię. To jest ogromne, drogie przedsięwzięcie, a co tu kryć, my na coś takiego nie mamy pieniędzy.

Grzegorz: A wcale nie! Ja, osobiście mogę się tym wszystkim zająć, bo jestem do tego należycie przygotowany. My, ludzie gór mamy taniec i muzykę w zasadzie we krwi. Ostatecznie nazywałem się Gąsienica, a urodziłem blisko Zakopanego!

Maryla: Myślę, że ma się największe szanse na sukces gdy się tańczy do romantycznej ale i żywiołowej muzyki. Ja proponowałabym jakiegoś walca, no ostatecznie tango.

Grzegorz: Co ty opowiadasz, Marylo? Ty się na tym zupełnie nie znasz. To musi być coś oryginalnego. Ja proponowałbym ognistego, swojskiego, patriotycznego "Zbójnickiego" i to ze przyśpiewką! Hej!

Dziadek Jacek: Nie drzyj się tak głośno Grzegorzu, bo nie jesteś u siebie w domu.

Maurycy: Jeśli macie różne zdania co do muzyki to weźmiemy średnią. Jak dodamy tango do zbójnickiego to wyjdzie disco polo. Skoro muzykę mamy już z głowy, to pomyślmy nad strojami do takiego publicznego występu.

Dziadek Jacek: Pamiętam jak w 1924 na balu u hrabiny Piksińskiej występowałem w białym fraku. Było bardzo wesoło, bo trzy damy pobiły się o zaszczyt zatańczenia ze mną białego tanga. Zrobiło to na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Jedna z nich tak się przy tym zgrzała, że nazajutrz dostała zapalenia płuc i musiała dwa tygodnie sama leżeć w łóżku.

Maryla: Może i ładny jest biały frak ale w dzisiejszych czasach trudny do zdobycia.

Dziadek Jacek: Niestety, to prawda, bo z tego stroju zostały mi tylko kalesony i to nie całkiem białe.

Maryla: Wyboru więc za wielkiego nie mamy. Na szczęście z kreacją panny Ingi nie będziemy mieli wielkiego problemu, bo najlepiej prezentuje się w stroju, w którym pracuje w seks szopie. No, może kolory są za bardzo wyzywające a tu i owdzie sukienka jest za kusa, ale dla potrzeb TVN to wystarczy. Nie ma co przesadzać ze zbytnią elegancją czy skromnością.

Dziadek Jacek: Mam świetny pomysł! Ja ubiorę się w swój mundur z orderami i w lakierki do trumny. Za mocne to one nie są, ale na takie telewizyjne tańce wystarczą. Większość ujęć będzie i tak w planie amerykańskim to na buty nikt nie zwróci uwagi.

Grzegorz: Teraz najważniejsza sprawa, choreografia. Pierwsze pytanie czy ojciec będzie tańczył w wózku czy bez wózka?

Maryla: A co to za taniec w wózku? To mało efektowne i niewygodne. Gdy pracowałam w prosektorium to różne rzeczy robiło się na wózkach, ale nigdy nie tańczyło. To znaczy zdarzało się, że tańczyłam na wózku, ale w wózku nigdy! Ostatecznie jestem porządną kobietą, z zasadami!

Maurycy: Może dziadek powinien siedzieć w wózku, a panna Inga będzie wózek popychać w takt muzyki discopolo. To by było nowatorskie i zaskakujące rozwiązanie?

Grzegorz: Głupi jesteś Maurycy. Najlepiej będzie kiedy dziadek będzie siedział w wózku i tańczył jako wojskowy z Mandżurii rosyjskiego kozaka z przysiadami i przytupem.

Maryla: Ciekawe jak to będzie robił skoro siedzi?

Grzegorz: To bardzo proste. będzie podciągał raz lewą, raz prawą nogę.

Maurycy: No tak, ale będzie to bardzo niepoważnie wyglądało, zupełnie jak przewrócony na grzbiet stary karaluch, który macha nogami w powietrzu.

Grzegorz: To będzie nawet lepsze i bezpieczniejsze niż normalny taniec. Wykluczy to możliwość nadeptania na stopę partnerki, a wszyscy wiemy, że panna Inga to bardzo wrażliwa kobieta. Gdy gramy w salonowca zawsze z płaczem wycofuje się w połowie zabawy.

Dziadek Jacek: Dobrze, że mi o tym przypomniałeś Grzegorzu! Pamiętam doskonale jak w niezapomnianym roku 1905 mój bezpośredni przełożony, niezapomniany kapral Jedziniak dla rozproszenia okopowej nudy urządził dobroczynny bal publiczny. Przybyły wszystkie zaproszone pary z sąsiednich oddziałów, a nawet z tej okazji został zwolniony z garnizonowego aresztu Sebek Sewastopolski. Orkiestra grała tak głośno, że Japończycy przystali parlamentariuszy z ultimatum, że albo my przestaniemy grać albo oni rezygnują z oblężenia. Oczywiście ulegliśmy ich prośbie i osobiście skonfiskowałem wszystkie instrumenty muzykom. Aby bal mógł nadal trwać, po długich dyskusjach, wydelegowaliśmy na ochotnika starszego szeregowca Ignaca Owsiaaka aby grał na cymbałach. Ciche, ale jednocześnie melodyjne dźwięki pobudziły tancerzy do płaśów. Kapral Jedziniak elegancko poprosił Sebka do ognistego tanga argentyńskiego, i wywiódł go śmiało na środek ziemianki. Onieśmielony wyróżnieniem Sebek zmylił krok taneczny i obcasem wgniół w klepisko parkietu lewą stopę partnera. Za to przekroczenie regulaminu wojskowego został natychmiastowo skarcony ręką przez kaprala Jedziniaka. W rezultacie wypadła mu z zawiasów zuchwa i do końca balu nie mógł otworzyć ust. Ta małowówność i tajemniczość oraz brak wszelkiego sprzeciwu Sebka bardzo się wszystkim podobała i miał on do końca balu ogromne wzięcie. Niestety, po balu zaczęły się same kłopoty. Kontuzja Sebka trwała prawie tydzień i dla wszystkich była bardzo uciążliwa. Nie mógł meldować się swemu dowódcy ani odpowiadać na pytania. Wydawał tylko mało zrozumiałe dźwięki, bo mógł otworzyć usta tylko na dwa milimetry. mógł pic tylko przez słomkę a jeść mógł tylko makaron spaghetti oraz naleśniki pokrojone w paseczki, oczywiście bez dżemu.

Maryla: Czy ojciec może być choć parę minut poważny i przestanie mówić o jedzeniu? Ostatecznie uzgadniamy bardzo istotne sprawy związane z karierą sceniczną taty. Taki występ w TV otwiera drzwi do wielkiej kariery. Cała nasza rodzina wiąże ogromne nadzieje z tym telewizyjnym debiutem.

Grzegorz: Po takim występie publicznym, koniecznie będę musiał zorganizować całą serię wywiadów z dziadkiem oraz pokazów tańca w rozmaitych miastach. Tournée po Małkini, Iławie czy Kolbuszowej zapewni nam też ogromny sukces materialny. Zdobytą gotówkę zainwestuje na warszawskiej giełdzie, w akcje "Żywca" lub "Polmosu" co pozwoli nam na dostatnie, beztrioskie życie.

Dziadek: A ja mam pomysł na efektowny finał występu. Na koniec tanecznej prezentacji ku wielkiemu zaskoczeniu widzów dziarsko zeskoczę z wózka, odepchnę go na bok, a sam, na środku estrady zrobię pełny szpagat.

Maurycy: Dziadek jest za mało giętki na tak skomplikowane ewolucje cyrkowe. Aby zrobić szpagat to trzeba latami całymi trenować!

Dziadek Jacek: Co ty tam wiesz smarkaczu! Jeden, jedyny raz, to każdy może zrobić szpagat! Trzask prask i po wszystkim!

Odcinek siódmy

Maryla: No i gdzie on się tak długo szwenda. Już prawie noc i trzeba siadać do kolacji.

Grzegorz: Nie przesadzaj Marylo, jeszcze jest całkiem widno, a po drugie nie jesteście jeszcze gotowi na Wigilię.

Maryla: Mów za siebie. Ja już skończyłam robić świąteczną zapiekankę z mąki, wody i maku. To wy nie jesteście najprawdopodobniej gotowi!

Dziadek Jacek: Ja już też właściwie skończyłem.

Maryla: Właśnie widzę. Ojciec prawie godzinę walczy z tą choinką, a robota nie posuwa się do przodu. Ten łańcuch rowerowy trzeba powiesić bliżej środka choinki, bo inaczej wszystko znowu się przewali.

Dziadek Jacek: Jak to! Jak to! Nie widzisz, że prawie już ją ubrałem?! O wiele gorzej mieliśmy w niezapomnianym roku 1905 w obleganym Port Artur. Pamiętam jak o godzinie czternastej dwanaście wezwał mnie mój osobisty przełożony, legendarny już dziś kapral Jedziniak i powiedział „Macie tu”, powiada, „Poszepszyński, siekierę i mapę okolicy.

Idźcie na wzgórze nr 13 i

przynieście choinkę bo zmrok już się zbliża i czas pomyśleć o Wigilii. Do trzech razy sztuka. Dwóch żołnierzy przed tobą już wysłałem ale żaden nie wrócił bo widać snajperzy japońscy mają dziś dobry dzień. Was Poszepszyński diabli nie wezmą, bo i tak już jesteście ich własnością za wszystkie numery jakie dotychczas wywinęliście, a wiec jest szansa, że w końcu przyniesiecie to drzewko. Pamiętajcie tylko aby drzewko było gęste i nie za duże bo się nie zmieści do ziemianki”. Cóż miałem robić, okręciłem się dla zamaskowania prześcieradłem ściągniętym z pryczy Romka Kwiatkowskiego i zacząłem się przekradać przez pozycje japońskie. Jak zwykle trzynastka przyniosła mi szczęście i już po dwóch godzinach wypatrzyłem ładną choinkę. Problem był jednak w tym, że mandzurskie choinki rosną bardzo wysokie. Postanowiłem ściąć sam czubek jednej z nich i dlatego wspiąłem się po gładkim pnieniu na wysokość ponad 40 metrów. Mówię wam, co za wspaniały widok roztaczał się pod moimi stopami! Od tego widoku dostałem takiego lęku przestrzeni, że nawet nie było mowy o drugim spojrzeniu w dół. Gdy już wyżej nie mogłem się wspinać okazało się że nade mną siedzi Sebek Sewastopolski i też boi się spojrzeć na ziemię. Sebek też postanowił uczcić Wigilię i z prochu wyjętego z pocisków karabinowych i kawałków bambusa zrobił wspaniałe mandzurskie ognie sztuczne. Wszedł na drzewo aby je stamtąd odpalić i nieoczekiwanie nabawił się lęku przestrzeni. Okazało się też, że przekradając się przez japońskie pozycje zgubił zapałki. Ponieważ ja miałem zapałki, po radzie postanowiliśmy odpalić wszystkie ognie razem aby wzmocnić efekty wizualne całego tego pięknego widowiska. Gdy zapaliliśmy prawie jednocześnie 40 lontów okazało się że nie bardzo wiadomo gdzie możemy się schronić przed duszącym dymem wydzielającym się ze spalanego prochu. Nie to jednak było najgorsze. Podmuch startujących fajerwerków ściął czubek drzewa i zdmuchnął mnie i Sebka kurczowo trzymającego się mojej lewej nogi. Ponieważ zrobiło się już całkiem ciemno i nie widzieliśmy pustej przestrzeni pod nogami, przeszła nam agorafobia ale od wybuchów i falowania rozgrzanego powietrza dostaliśmy choroby morskiej. Mówię wam co to był za wspaniały lot! Rzygaliśmy jak koty!

Maryla: Akurat, czy ojciec myśli że ja jestem taka naiwna, że wierzę w tak bzdurne opowiadania? Przecież po takim wybuchu i upadku z tej wysokości zabilibyście się.

Dziadek Jacek: Co ty tam wiesz garkotłuku. Uratowało nas to, że prześcieradło maskujące w które byłem owinięty w czasie eksplozji rozwinęło się i posłużyło nam za spadochron. Trzeba przyznać że się trochę okopciło, ale i tak świetnie nam służyło. Dodatkowo nasz upadek zamortyzowała zaspą śnieżna i japoński snajper na którego spadliśmy. Na tego Japońca załadowaliśmy choinkę i jak na toboganie zjechaliśmy na nim że wzgórza nr 13 prosto do obleganego Port Artur. Za dostarczenie choinki i Japończyka zostaliśmy nagrodzeni dwoma dniami urlopu ale za kradzież prochu i za głupie fajerwerki w środku nocy sąd polowy ukarał nas trzema dniami aresztu. W sumie i tak nam się opłaciło bo nagroda i kara prawie się zredukowały a my poszliśmy jeszcze na 24 godziny do aresztu garnizonowego. Tak więc Wigilię spędziliśmy w ciepłym, zacisznym pomieszczeniu, a reszta oddziału ruszyła odpierać atak japoński, sprowokowany przez nieuzgodnione wcześniej ostrzelanie pozycji japońskich fajerwerkami. Trzask prask i po wszystkim.

Grzegorz: Czy ojca opowiadania zawsze muszą być aż tak głupie? Naprawdę dawno już nie słyszałem czegoś równie idiotycznego.

Dziadek Jacek: To wcale nie było takie złe. Dopiero teraz powiem wam coś naprawdę idiotycznego. Pamiętam jak raz kapral Jedziniak...

Maryla: No już dobrze niech ojciec dokończy ubierać tę choinkę i nie opowiada nic nowego.

Dziadek Jacek: Wy mnie tu zagadujecie i nie zauważyłem że wrócił Maurycy! Ale ale, czy pada deszcz? To dziwne bo na zewnątrz jest minus 10 stopni a mój wnuk jest cały mokry. A może ty się tak potwornie pocisz kochaneczku, co?

Maurycy: Dziadek ma trochę racji bo musiałem bardzo szybko biec a po drugie wpadłem do wody dwa razy, bo lód się pode mną załamał.

Maryla: To nie lepiej było wracać z Pragi przez most? Lód na Wiśle jest jeszcze taki cienki, że nie powinieneś ryzykować.

Maurycy: Co wy tam wiecie. Dziś uciekłem od śmierci która była naprawdę blisko mnie.

Grzegorz: Nie przesadzaj. Miałeś jechać na Pragę na bazar po karpia. Nie rozumiem dlaczego wracasz cały mokry i do tego bez ryby.

Maurycy: Jak zwykle miałem ja ukraść na bazarze, ale handlarze wszystkie ryby sprzedali i nie było co kraść. Postanowiłem więc udać się do praskiego ZOO bo wiem, że tam w pawilonie akwarystycznym ryby zawsze były. Ponieważ dziś ZOO jest nieczynne zakradłem się od zaplecza do ciemnego pawilonu i postanowiłem z największego akwarium złapać największą rybę. Gdy mocno ja uchwyciłem dwoma rękami szarpnęła mnie ona z niewiarygodną siłą i wciągnęła do zbiornika. Tabliczkę z informacją, że to nowy nabytek ZOO - "żarłacz ludojad", zobaczyłem dopiero po tym jak udało mi się rozbić przednią szybę zbiornika i szczęśliwie wydostać z tego pechowego akwarium. Szczęście dopisało mi jednak bo po kwadransie połowów udało mi się złowić w innym zbiorniku tłustą, dorodną welonkę.

Dziadek Jacek: Co ty mówisz? Naprawdę złapałeś Złotą Rybkę?

Maryla: To gdzie ja masz? W której kieszeni ja najprawdopodobniej schowałeś? Nie opowiadaj tyle ale szybko dawaj ją na patelnię.

Maurycy: A skąd Dziadek wiedział że to prawdziwa Złota Rybka?

Dziadek Jacek: Nie wiedziałem i zażartowałem, ale dziś jest Wigilia, cudowny czas, a więc i zwierzęta potrafią mówić ludzkim głosem.

Maurycy: A żebyście wiedzieli że to była prawdziwa Złota Rybka i za uwolnienie obiecała mi, że spełni trzy życzenia jakie zostaną wypowiedziane po moim powrocie do domu. To niekoniecznie muszą być moje życzenia mogą być też wypowiedziane przez innych domowników.

Dziadek Jacek: To dobrze że Złota Rybka pamiętała o najstarszym z Rodu Poszepczyńskich. Chce aby zawitał do nas w wigilijny wieczór gość z tym, no... no... Mam! Z workiem na plecach.

Grzegorz: Czy wyście w zasadzie ogłuchli!? Ktoś dobija się do drzwi wejściowych, a wy nic nie słyszycie.

Maryla: To na pewno pan Włodek znowu chce pożyczyć łyżkę soli. Nie otwierajcie mu. Postoi pod drzwiami parę minut to sobie pójdzie. I tak jeszcze nie oddał cukru który pożyczył pół roku temu.

Grzegorz: Ale ty jesteś wstrętna Marylo. My tu zastanawiamy się jakie życzenia wypowiedzieć a ty mówisz o tak przyziemnych sprawach...

Maurycy: Ja to bym chciał poznać swego pra, pra dziadka.

Dziadek Jacek: To masz bardzo piękne życzenie

Maurycy: Ja osobiście też nigdy swego pradziadka nie widziałem.

Maryla: A ja bym chciała, aby miłość żarliwym uczuciem, znowu połączyła rozłączonych kochanków. Och Leon, Leon...!

Grzegorz: No pójdzie w końcu ktoś otworzyć te drzwi do cholery? Ja nie mogę bo jestem w łazience.

Maryla: A pan tu do kogo? Czemu wali pan tak mocno w nasze drzwi? No, no tylko nie z rękami bo zaraz zadzwonię po policję. Maurycy weź siekiere i chodź tu do drzwi bo jakiś brudny, nieproszony, podejrzanie wyglądający facet z workiem żeglarskim na plecach wpycha się na siłę do naszego mieszkania.

Albert: Nazywam się Albert i jak widzę w końcu odnalazłem moją kochaną rodzinę!

Grzegorz: Ojczy, czy w rodzinie Poszepczyńskich był ktoś o imieniu, w zasadzie, Albert?

Dziadek Jacek: Kiedyś mój ojciec mówił, że jego ojciec nazywał się Albert ale to było bardzo, bardzo dawno temu i niewiele z tego pamiętam.

Albert: Jacku, mój kochany wnuku nie poznajesz mnie, to ja twój zaginiony dziadek!

Dziadek Jacek: Wyglądasz na ggóra 45 lat choć jesteś tysy, masz podbite oko fioletowego koloru i czerwony nos. Ja w lipcu ukończyłem 103 lata. Jesteś trochę za młody aby być moim dziadkiem.

Albert: Tylko pozornie. Tak to wygląda tylko na pierwszy rzut oka. Przed wielu laty gdy wędrowałem po Tybecie aby w Himalajach odnaleźć legendarnego Yeti, człowieka śniegu, wielka lawina zmiotła mnie ze ścieżki biegnącej przez lodowiec. W ten sposób zahibernowałem pod lodem na długie dziesięciolecia. Niedawno z powodu globalnego ocieplenia lodowiec się rozpuścił i znowu ujrzałem słońce nad głową. W książce telefonicznej w Katmandu znalazłem wasz telefon i adres i tak was w końcu odnalazłem. Jacusiu, aleś ty wydorósł przez te ostatnie sto lat!

Grzegorz: Znowu ktoś wali w drzwi. Do jasnej ch... chusteczki, kurteczka wasza mać, ostatecznie w Wigilie w naszym domu powinien wreszcie zapanować świąteczny spokój i cisza! Czy ten hałas nigdy się nie skończy!?

Maryla: O Leon! Ty tutaj najdroższy? Ja naprawdę teraz nie mogę, no sam rozumiesz, Grzegorz jest w domu!

Ślepy Leon: Szaconeczek wszystkim. Właśnie wyklepałem z młyna...

Albert: Leon, to naprawdę ty kocurku?

Ślepy Leon: Albercik to ty mordo nasza kochana, tak się ciesze cwelu mój najdroższy... Po wyjściu z kicia wszędzie cie szukałem i we Wronkach i na Rakowieckiej a ty tu się zamelinowałaś? Co za niemożebny fart!

Dziadek Jacek: No i widzisz Maurycy! Złota rybka jednak spełniła wszystkie nasz życzenia. Przyszedł gość z workiem, ty odnalazłeś pra, pra dziadka i gorąca miłość połączyła rozłączonych kochanków! Trzask prask i po wszystkim!!!

Ścisłe tajny meldunek z 1905 roku odnaleziony przez Cezariana

Отделение по охранению порядка и общественной безопасности

31 июля 1905

Конфиденциальный рапорт



ДЕЛА

ПОШЕПШИНСКИЙ ЯЦЕК

Ściśle tajne. Meldunek 31 lipca 1905r. agenta Otdielienija po ochranieniju obszczestwiennoj biezopasnosti i poriadka (OCHRANA), sierżanta Kopiejkowa.

Do majora Rublowa.

Zgodnie z rozkazem polecającym mi zorganizowanie inwigilacji oraz prowadzenie stałego nadzoru nad podejrzanym o sprzyjanie aktywistom rewolucyjnym Jackiem Marią Poszepeżyńskim, składam meldunek z przebiegu obserwacji. Nadzór prowadziłem w okresie udziału inwigilowanego obiektu w wojnie pomiędzy Cesarstwem Rosji i Cesarstwem Japonii w latach 1904-1905. Na wstępie pragnę wyjaśnić, iż przez cały wzmiankowany okres z poświęceniem godnym służby na rzecz Jego Cesarskiej Mości, Cara Wszechrusi Mikołaja II, prowadziłem nieustającą, wyteżoną i ofiarną inwigilację Obiektu. Przyczyną zaś przekazania pierwszego raportu z wykonanych działań i pozyskanych informacji dopiero po upływie 18 miesięcy, jest ekstremalnie trudny charakter zadania - Obiektu podlegającego obserwacji. Można z całym przekonaniem stwierdzić, iż jak to ujął kapitan wojsk inżynieryjnych, Ziemiowodniakow: Obiekt Okazuje Osobliwą Odporność Obejmującą Ortodoksyjny Opór Oddawany Otaczającym go Objawom Obserwacji Osób Okazujących się Oddanymi Oficerami Ochrany. Trzy z dotychczas sporządzonych raportów zostały zniszczone w toku kampanii mandżurskiej, przy czym dwa z nich zostały posmarowane dżemem i osobiście zjedzone przez Jana Marię Poszepeżyńskiego. Jeden dostał do niewoli wraz z przenoszącym go łącznikiem, zaś kolejne dwa raporty nie uzyskały autoryzacji ze strony samego Inwigilowanego. Mimo tych trudności udało mi się ustalić następujące fakty.

Inwigilowany urodził się najprawdopodobniej w Kaliszu, Królestwo Polskie w 1887r. Wobec sprzecznych informacji dotyczących imion, wieku oraz płci jego matek i ojców, nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość danych dotyczących jego rodziców. Wydaje się jednak, iż najpewniejsza wersja dotycząca pochodzenia jednej z matek określa ją jako dziewczynkę płci żeńskiej, urodzoną w Tylży w 1808r z ojców: Napoleona Bonaparte oraz najjaśniejszego Cara Aleksandra I. Wyjątkowo późne macierzyństwo matki (79-letniej) Obiekt wyjaśnia z jednej strony jej nie narzucającą się urodą, z drugiej zaś zdrową dietą zorientowaną na warzywa, owoce oraz detergenty, przy czym bliższych danych dotyczących miejsc upraw oraz sposobu przyrządzania detergentów Inwigilowany nie

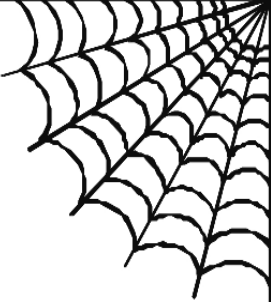
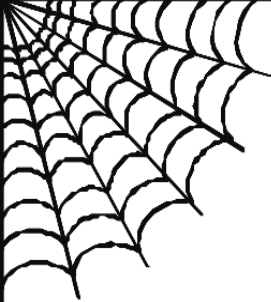
przedstawił. Zajściem powodującym poczucie Obserwowanego była lokalna ruchawka chłopska, która radykalnie przeorganizowała materialne i moralne życie a nierzadko również samą egzystencję wybranych przez chłopów warstw społecznych. "Wybrańcami" zostali w większości przedstawiciele lokalnej społeczności, cieszący się dotychczas, jak się okazało zupełnie niesłusznie, zabezpieczeniem i spokojem socjalnym wynikającym z posiadania majątku. Ruchawka wpłynęła także na poprawę stosunku wielu miejscowych starych panien do otaczającego ich świata. Nawet, jeśli początkowo nie wszystkie niewiasty zgadzały się na czynione niezwykle asertywnie przez chłopstwo propozycje, to jednak nie zdarzył się przypadek, aby w rezultacie kobieta nie uległa sile przedstawianych jej argumentów. Podobnie rzecz się miała z matką Inwigilowanego. Niestety, liczba chłopów prowadzących z matką Obiektu dialog na temat zagrożeń związanych z kryzysem demograficznym w guberni, jak też przekraczający możliwości ówczesnych przyrządów pomiarowych stopień upojenia alkoholowego prelegentów, wyklucza skonkretyzowanie ojca Obiektu.

Poszepczyński został na ochotnika siłą wcielony do armii po tym, jak został zatrzymany podczas liczenia podkładów na odcinku kolei transsyberyjskiej pomiędzy Irkuckiem i Władywostokiem. Nie udało się wówczas, pomimo prowadzenia wielodniowych przesłuchań, wydobyć z Obiektu zeznań, na rzecz jakiego mocarstwa pracuje. Na niczym spełżyły także próby wydobycia informacji dotyczącej liczby podkładów, które udało mu się przeliczyć. Wobec zbliżającego się zagrożenia wojennego został więc wcielony do 3 batalionu, drugiego pułku kawalerii stacjonującego w okolicach Port Artura w Mandżurii. Wkrótce wybuchła wojna. W toku kilkunastomiesięcznych walk Obiekt nie tylko nauczył się powozić Trojką, jak nazywał zaprzężony w parę trzech koni wózek inwalidzki, lecz także dosłużył się zaszczytnego, acz dosyć pospolitego w pułku stopnia szeregowego. Równocześnie dał się poznać jako świetnie zakamuflowany i zakonspirowany działacz MWFS (Mazursko-Warmińskiego Frontu Starozakonnych), do którego, jak sam twierdzi, wstąpił z zamiłowania do przejażdżek konnych po starych i zapomnianych zakamarkach Warmii, Mazur oraz wzgórz Golan. Wkrótce udało mu się pozyskać dla idei MWFS parę Polaków: Zachariasza Dorozeńskiego oraz Igę Korczyńską primo voto Makowiec. Zostali oni aresztowani i wywiezieni na Syberię za próbę utworzenia mającej charakter wybitnie dekadentki i bezklasowej organizacji

pod kryptonimem "Teatrzyk Ananas". Wkrótce pomiędzy Inwigilowanym i Igą Korczyńską nawiązała się nić zażyłego porozumienia. Często widywano ich podczas przejażdżek Trojką Poszepczyńskiego po miejscowych pogorzeliiskach i polach bitewnych. Po zamknięciu przez Japończyków oblężenia wspólne przejażdżki Trojką ograniczały do jazdy w okopach naszych wojsk, zaś w okresie głodu, po zjedzeniu koni, wózek ciągnęła Iza Korczyńska. Duże oburzenie wojska zmęczonego wielomiesięcznymi kłopotami aprowizacyjnymi, wywoływały w tym czasie dochodzące z pomieszczeń zajmowanych przez Obiekt i Igę Korczyńską odgłosy spożywania chleba z dżemem oraz wielokrotnej konsumpcji stosunku pozamałżeńskiego.

Działalność w MWFS nie przeszkodziła Poszepczyńskiemu w zaciągnięciu się na służbę do marynarki Cesarstwa Japonii. Podczas prowadzenia na jej rzecz czynności wywiadowczych, w obawie przed dekonspiracją, w miejsce służbowej marynarki, występował we fraku lub surducie. Dodatkowo, począwszy od maja 1904r. zajął miejsce porucznika Ochrony Enkawudejowa, który zadusił się własną chusteczka od nosa, próbując pozbyć się resztek tabaki, jaka poczęstował go sam Poszepczyński. W ten sposób Obiekt został moim bezpośrednim przełożonym i z całą właściwą sobie energią i oddaniem sprawie Caratu nadzorował prowadzoną przeze mnie obserwację jego osoby.

(Cezarian)



GDY MNIE COS
TRAFIA, KUJE W
KAMIENIU EPITAFIA

(A JAK MAM CHĘĆ NA WYBRVKI DISZE LIMERYKI)



*GDY MIJĘ COS TRAFIA, KUJE W KAMIENIU EPITAFIA
(A JAK MAM CHĘĆ NA WYBRYKI PISZĘ LIMERYKI)*

Tu leżą zwłoki Parafonii
Niedzielne ranki czasem wspomnij
+
Nie chciał go trzeci, nie chciał pierwszy
Za Studio 202 zmów wierszyk
+
Przypadki coraz bardziej liczne
gdy Powtórka w stanie śmierci klinicznej
(Pedadog)

Nie zastąpią Ci z rozrywki powtórki
Audycji wyborczych płatne laurki
*
Niech każdy w sercu swym wybiera
Woli programy Andrusa, czy Leppera?
*
Złyś jest, że audycja wyborcza rozrywkę
wypiera?
Zemścij się: idź na wybory i wybierz
spikera
(Cezarian)

Przepadł był Nocny Manniak, niech nas to
nie przerazi
Wiedzą piątkowi słuchacze, kto rankiem z
krypty wyłazi...
+
Choć zapowiadał Derektor program
powyżej normy
Słuchaczu, połóż kwiatek na grób
Trójkowej reformy...
+
W miejscu Powtórki spoty grzejące
wyborców do boju
Piszą epitafium mojego dobrego nastroju...
+
I któż teraz załka na rzewną nutę
Że zniknęło 60 Sekund na Minutę?
+
Widzu! Oto półka, gdzie z Szarikiem
wiernym
Będzie się w magazynie kurzył czołg
czterech pancernych...
+
W tym-to epitafium Kraków uczci laurem
Szewczyka, co nie wiedział, że walczył z
dinozaurem...
+

Ten wierszyk za państwowe zamówiła
gmina,
przedwcześnie uwierzywszy w zgon teorii
Darwina...
+
Przywalony tym olbrzymim głazem leży
ostatni tyranozaur (likwidator: św. Jerzy)...
+
Baaaczność! Przechodniu, nie zgub kapci
Słuchając bajeczek Pimpusiowej Babci.
(Bruxa)



Mogile Learka porasta rząd akacji
Tak kończą zwolennicy forum moderacji.
I pokłon mu oddając, czyś kmiotem czy
panem,
Bacz by się liczbą postów nie równać z
Bolcmanem.
+
Tu leży Oksymoron, odszedł był tak
młodo.
Choć się ostrożnie skradał, wlaźł kotu na
ogon.
Przechodniu, zdejmij czapkę i przyznaj
nam rację,
że każdy, bez wyjątku, przejść musi
lustrację.
(Pedadog)

Tu leży prawnik znużony
Co nie zawsze słuchał żony
Nie pił kawy, karmił wrony
Zawsze nosił kalesony
Zęby mył i czesał włosy
No i umarł w sianokosy
(Kiedy palił papierosy)

**

Tu spoczywa pedagog polski
Miłośnik kolei sera i rowera
Planował bardzo wielką akcję
A zmarł przygnieciony przez redundancję

**



Bruxa nie wie co to lęk
Nie straszny jej młodzieńczy wdzięk
Który straszny na korytarzu w szkole
Bo Bruksy już nie ma, wyjechała
Widać klimat zmienić potrzebowała

Tu miał być nagrobek prawnika
lecz po konsultacji z psychiatrami
nie będę zadawał się z wariatami

Was ist das?
Kapusta i kwas
powiedział Gustlik do szwaba
na co Angela Merkel załkała
I do klasztoru się udała
A Erica razem z bratem
Marzą o tem
że Mazury razem z Warmią
Niemcy znów przyganiają

(Stefan)

Wyciągnąwszy wnioski z przydługiej
nieobecności
Chciałam już pisać epitafium dla Jego
Kociej Mości
Lecz niedługo nas smucił
Bo - jak widać - powrócił
Pozbawiając mnie tej przyjemności...

(Bruxa)

Pewien redaktor z Warszawy
Pisał donosy, tak dla wprawy
Ale, nie wiedzieć po co
pewną głęboką nocą
zajął się podlewaniem murawy

Pewien prawnik z Łomży
znany był z tego, że chodził w komży
którą ścigał tylko nocą
co nie czyniło go ludzką istotą
bo była to samica w ciąży

(Stefan)

Raz pewien Lama w Nepalu,
Codziennie przebywał na haju.
W obłoki wlatywał,
Chmury wdeptywał,
Himalajski nasz Lama w Nepalu.

(Gutek)

Raz pewna Maja z Pabianic
Co Gucia miała za nic
zapyłała kwiatek
co to zwał się bratek
lecz umarła, bo nie znała granic/*

*/Chodzi o granicę całkowania, a nie (jak mylnie podaje encyklopedia PWN) granicę ciągu
(Stefan)

Limeryki z elektroniki:

Był raz tranzystor polowy
O wielkim oporze wejściowym
Lecz wielkie częstotliwości
Tłumił wciąż bez litości
Więc nie był tak odlotowy...

*

Pewien profesor spod lasku
Ukręcić chciał sobie LED z piasku
A ta nie świeciła choć z krzemu
Profesor więc pyta: czemu
Nie jest jak te na obrazku?

(Pedagog)

Żył, rozrastał się i wdrażał
Wątek, co śmiercią porażał.
Zmarł, zostawiając tych, do których nie
trafia,
Że żegnać trzeba również epitafia
*

Tu leży epitafium, zmarłe ze zgrzyoty i
zwątpienia
Bo nikt mu wierszem nie ozdobił
nagrobego kamienia
(*Cezarian*)

Nawet na Rokosa
Znalazła się wreszcie kosa!
+
Raduje się każda Trójkowa dusza
Na wieść o zejściu (z anteny) redaktora
Mariusza!
+
Czyżby to przemarsz Armii Radzieckiej?
Nie, to radosny pochód słuchaczy na
Myśliwieckiej!
+
Raz, odchodząc, redaktor z Warszawy
Tak wyjaśniał nam sedno sprawy:
"Widzieliście mnie zerem
A ja jestem fighterem
I gdzie indziej poszukam zabawy!"
(*Bruxa*)

Rokos, rokos wystaw rogi
i daj spokój nam niebogom
rzuć se trujkę, odwal biske
wróc do zetki, tam ci blisko

Nie matura lecz chęć szczerą
zrobi z Rokosa prezentera

Ech życie, ech Bruxa
Rokosa to wina
że trujka przegina

Dość o Rokosie
gdy pozytywny posiew...

I emeryci i renciści
Z Rokosa końca są szczęśliwsi

Słabe, ale dostosowało się poziomem do
red R
(*Stefan*)



Rozsypcie po torach pedadoga prochy
Zginął marnie bo robił idiotyczne fochy
W przebraniu Buldoga Zygfyryda rozzłościł
Lecz zrobił yyyiiiii... po celnej ripoście
*

Tu, pod kamieniem leży Kiwi
Niech brak w eterze Was nie dziwi
*

Raz prezes partii "Trzy Kartele"
Tak przed świętami rzekł na sali:
"Życzę wam dziś obywatela
Abyście na mnie głosowali".

A lider partii łysych w kierpcach
Tak zwrócił się do partii bosych:
"Życzymy Wam z całego serca,
By wam wypadły wszystkie włosy".

Skorumpowani malwersanci
Na święta kartkę napisali:
"Życzymy drodzy policjanci
Byście nas lepiej nie łapali".

I tak się leje marzeń kielich
Od tych, co tkwią przy pełnym żłobie
Lecz ci panowie zapomnieli
Dodać, że życzą tego sobie.

I choć niektórzy świat chcą zmieniać,
Nie rozumieją tego wcale:
To, co się składa, to życzenia,
Nie książka życzeń i zażaleń.

Forumowiczu zapamiętaj
Wśród postulatów mych najszczęszy:
Ja sobie życzę na te święta
By Ci spodobał się ten wierszyk!
(*Pedadog*)



Tu samodzielna katedra kalkomanii stosowanej.

(Czytać głosem profesora mniemanologii stosowanej)

Dzień dobry mili czytacz!

O wiosnie można by w nieskończoność... Choć z niemałym trudem ale w końcu przyszła, rozkwitła, rozpanoszyła się i po prostu jest. Tak zwana przyroda korzysta z wiosny póki może i ile może. Ptactwo śpiewa, roślinność kwitnie, hormony wariują Krystyna jeszcze nie - proszę .

Zostańmy przy hormonach. Niejeden młody człowiek pragnie nieba przychylić swojej wybrance. I tworzy zainspirowany otaczającą wiosną, a przynajmniej stara się tworzyć...

I tu dylemat: Jaki utwór mniej skala delikatne dziewczęce uszy? Czy lepiej zagrać va banque i stworzyć zupełnie nową jakość? Czy może lepiej skorzystać z ugruntowanej pozycji klasyków, z ich doświadczenia i wyczucia dorzucając parę wersów od siebie

Krystyna jeszcze nie tworzy , czy nawet cały tekst ale z zachowaniem cudzej, sprawdzonej formy?

Trudny wybór. Ale nie tylko tutaj. Niejeden włodarz dochodząc ekstazy rozrzuca z mównicy własną twórczość. Że co wrażliwsze uszy skala to wiemy... Ale czy mniej skala gdy rozrzuca twórczość własną czy już lepiej gdy - choćby nieudolnie - zacytuje czy sparafrazuje dzieło twórcy prawdziwego? Tylko co na to sam twórca - może chyba tylko złorzeczyć albo w grobie się przewracać. Ale rolą artystów - poświęcanie się dla mas!

Pozostawiam więc tym razem szanownego czytacza z dylematem, którego nauka jeszcze rozwikłać nie potrafiła.

I to by było na tyle

Kulisy płaskiego ekranu

**PARA-MĘT... PIKZERS! AERRGH AERRGH!
PREZENT...UJA:
KULISY PŁASKIEGO EKRANU**

J: Fajny film wczoraj widziałem!

M: Momenty były?

J: Masz! Najlepiej jak ona z takim młodym wsiadają do taksówki i mówią kierowcy, żeby jechał...

M: Dokąd?

J: A przed siebie, a z tyłu już się rozbiegają i bara-bara rozumiesz... bo oni tak lubili w taksówce.

M: Noo, noo...

J: Ale potem ten młody narzekał, że za wolno jechali i sobie poszli. A potem wsiadł taki facet co myślał, że go żona zdradza i chciał ją nakryć. Pożyczył od taksówkarza wasy...

M: Jak to?

J: No bo ten taksówkarz był charakterizatorem filmowym i miał całą baterię wásów w samochodzie - na różne okazje. I ten facet z wásami poszedł do jakiegoś mieszkania i...

M: Nakrył babę z gachem. Jak ja bym tak Ceśkę złapał to najpierw jego...

J: Ale on ją właśnie odkrył... a to nie ta! Guzik! Stąd tytuł filmu - "Guzikowcy".

M: Eee - to niezła kicha!

J: A ona właśnie kicha i kicha, a wcześniej ten taksówkarz opowiadał jak jego żona kichała w kinie i wszyscy się oglądali.

M: Ja też tak miałem. Poszedłem do kina na taki film grozy, punkt, ten, kumulacyjny, a tu nagle taki kich z tyłu, a potem znowu. Aż wyszedłem przed końcem. A na dworze deszcz, zimno - brrrr - cholerna pogoda.

J: Tak też mówili Japończycy, tylko oni się dopiero uczyli kłać od Amerykanów bo w ich języku nie ma przekleństw.

M: Eee - nie mów to jak oni żyli? No a jak sobie trafię młotkiem w palec to kur...czowo się za niego łapię, a co oni robili?

J: A oni wcześniej nie umieli ale to było takie miasto szczęściarzy bo chyba przez tą pogodę Amerykanie zrzucili bombę gdzie indziej.

M: To jak w totka wygrać! Jak strzał w dziesiątkę!

J: Tam właśnie był taki jeden tylko on w ósemki trafił...

M: Eeee - w ósemkę to każdy potrafi - no chyba, że mu zejdzie.

J: Ale on trafił w ósemkę w numerze lokomotywy! Kładł się między szynami i pluł w ósemkę. I tylko to potrafił!

M: Jędreku, Ty mnie w konia robisz. Japończycy, lokomotywy - ja nic z tego nie wiem - chyba nikt nic nie wie.

J: No bo to był czeski film!

M: Aaaa - no to trzeba było tak od raazu mówić.

J: Ale najlepszy był taki facet co jak zobaczył kanapę z fajnymi guzikami to rozumiesz łąpał tyłkiem sztuczną szczękę i chrup, chrup - ucinął te guziki.

M: Nie mów!

J: Jadą taksówką tego od wąsów, a on taką minę robi i chrup, chrup.

M: Aaaa - sztuczną szczęką!

J: A potem z żoną u takich ludzi film oglądają, cicho, poważna mina...

M: A niech ja jutra nie dotrzymam!

J: Hi hi - chrup, chrup i guziki ucięte

M: Aj nie mogę!!!

J: Ale kino!

ROSIŚMIÓWKI

T: $2 \cdot 2 = ?$

P: 4

T: Za dokładnie!

P: Pan sssspyta jeszcze raz.

T: $2 \cdot 2 = ?$

P: $\ln(54)$

T: Doobrze!

P: Fronczewski.

T: Rosssssssss...

P: A co to tak sssyczy?

T: A teraz?

P: Przestało.

T: A wiózi Pan!

T: Czy to jest Kaczki 4?

P: Oooo! Pan Taadzio! Co Pan tu robi kochany?

T: Czy to jest Kaczki 4?

P: Tak, to jest Kaczki 4, dawniej Kota 7.

T: Gózie zrucic?

P: Ale co znowu zrucic, Panie Taóziu?

T: 58 luster. Gózie zrucic?

P: Ale po co mi 58 luster? Ja nie zamawialem zaónych luster!

T: Co tu pisze?

P: Tu pisze... to znaczy jest napisane... "58 luster na Kaczki 4".

T: Czy to jest Kaczki 4?

P: Tak, to jest Kaczki 4 ale...

T: Gózie zrucic?

P: Ale Panie Taózienku! Ja nie zamawialem zaónego lussstra! Rozumie Pan? Zaóneeehhgo! A już tym baróziej 58 wielkich luster! Przecież ja nie mam nawet tylu scian! To jakas pomytka!

T: Co tu pisze?

P: Kaczki 4...

T: Gózie zrucic?

P: Ale Panie Taóziu to jest jakiś kretynizmm! Po cholere mi 58 óebilnych luster? Co Pan bédzie tymi lustrami robić?

T: Bédziem lustrowac. Gózie zrucic?

P: Choleera jasssna. Ja nie zamawialem żadnego lustrowania! Żadynneóo! Na pewno miał Pan zlustrowac kópoś innego!

T: My lustrarze wiemy najlepiej kópo mamy zlustrowac. Mamy zlustrowac wszystkich. Bédziem lustrowac aż zlustrujemy, a jak się okaże, że jeszcze ktoś został óo zlustrowania to bédziem lustrowac óalej. Uwaga - zrucam.

P: Niech Pan przestanie óo cholery wieszac wszédzie te lussstra! Rozumie Pan? Z czego mnie Pan chce zlustrowac?

T: Tyttates Pan!

P: Jak to tyttatem?

T: Tópo nie wiemy ale jak już zlustrujemy to się óowiemy.

P: To jest jakiś idyjootyzm i óebilizm!

T: Póóóozytes Pan Kurze kóukótcze jajo!

P: Jak to kurze póóóozytem jajo? Ja mam kurę póó tóókiem ale to ona mi znosi jaja, a ja jej najwyzej ópien póókóadam, żeby miała ciepóo i zносиła na twardóo!

T: Jankowi Kurze Pan póóóozytes kóukótcze jajo! Teraz nie można póókóadać kóukótczych jaj tylko kacze.

J: Choleera, jak ja móótem Jankowi Kurze póóóozyć jajo?

T: Tópo nie wiemy ale jak zlustrujemy, to się óowiemy. Óó już kóńczymy!

??yrelóhc óó tiborz naP oc ruzóóT einap : P

T: Zlustrowalim!

!owel w ukóadaóó w l .awel ózsip zaréř a akér awarp metasip aJ !tórwóó an tsej ókótsyzszw zéicezrp elA : P

T: To óóbrze! Znaczy, że Pan jesteś zlustrowany! Takich nam trzeba! Bulba!

...abluB

Pan Administrator

A: Puk puk puk!!!

D: Już leczę, biegnę, już otwieram!

A: Dzień dobry Panie Dziamdziak!

D: O! Toż to mój kochany Pan Administrator! Co Pana sprowadza dobrodzieju? Czy to może w związku z moimi pismami wysłanymi rok temu do administracji? Ale tak szybko Pan się pofatygował?

A: No spokojnie, spokojnie Panie Dziamdziak, w pewnym sensie tak. A co Pan tam nabazgrał?

D: No proszę, żeby coś z tymi pęknięciami przy oknach zrobić bo mam aż przeciąg od tych szpar...

A: Coś jeszcze Panie Dziamdziak?

D: No żeby tą ścianę jakoś zaizolować bo ja słyszę każde słowo od Krasiaków, a oni ode mnie.

A: Pan to jest wymagający i nietowarzyski w dodatku.

D: No i z rury jeszcze cieknie.

A: Dobrze, dobrze - wystarczy Panie Dziamdziak. Ma Pan ogromne szczęście bo od dziś te problemy nie będą Pana problemami. Panowie - wchodzimy, wnosimy.

D: Och dziękuję łaskawco! Padam do nóżek... Ale po co tyle tych cegieł i płyt i betonu? To wystarczy tylko trochę.

A: Cicho Panie Dziamdziak, to są fachowcy, wiedzą co robią. Panowie - to tak - tu robimy ścianę - taaak - i tu i tu i jeszcze tu. A na tej ścianie jeszcze 3 pary drzwi na korytarz wybijamy.

D: Ależ mój dobrodzieju - to na pewno pomyłka - ja nie zamawiałem tego wszystkiego - tylko takie drobne naprawy.

A: Panie Dziamdziak spokojnie - to wszystko dla Pana dobra i nie tylko.

D: Ale co tu się dzieje? Ja wcale nie potrzebuję tylu drzwi wejściowych ani tylu pokoi.

A: Ajjj - Panie Dziamdziak, Pan jak coś powie... Będzie Pan miał jedno wejście, a pokoi to Pan będzie miał mniej, a nie więcej.

D: Jak to łaskawco?

A: Panie Dziamdziak - jaki ma pan tu metraż?

D: To taka kawalerka - 29 m²

A: No właśnie, a Pan jako taki takiej powierzchni nie zajmuje - wystarczy Panu dużo mniej. A ma Pan teraz przeciąg?

D: No nie mam bo nie mam już dostępu do tej ściany zewnętrznej - tylko mi lufcik został.

A: Słyszysz Pan Krasiaków?

D: No też nie bo mnie dzielą z nimi 2 nowe ściany...

A: No widzi Pan - przecież Pan tego chciał.

D: Ale naprawdę nie dało się prościej? Po co to wszystko? Po co dzielić moje mieszkanie na cztery? Czemu ja mam teraz mieszkać w takim małym lokalu?

A: A słyszał Pan o planach rządu? Słyszał Pan na pewno - trzeba przygotować trzy miliony mieszkań! No! To się rozumiemy! Do widzenia Panie Dziamdziak!

DZIENNIK + TRENERA

NA CZĘŚĆ DRUŻYNY PRZECIWNIEJ!

#URA...

DZIENNIK - EKSTRA - TRENERA.

Z PRZYCZYŃ POCZĄTKOWO NIETYJAŚNIONYCH, PREZES NASZEGO KLUBU ZADECYDOWAŁ O UDZIALE DRUŻYNY W ROZGRYWKACH LOKALNEJ LIGI. ZAZNACZYŁ PRZY TYM, ŻE DRUŻYNA POWINNA SIĘ SKUPIĆ PRZED EWENESYJĄ NA ZAPEWNIENIU WIDZOM JAK NAJWIĘKSZYCH EMOCJI PONIEWAŻ SPOTKANIA BĘDĄ TRANSMITOWANE PRZEZ LOKALNE RADIO, DZIĘKI CZEMU RELACJE Z NASZYCH MECZÓW TRAFIĄ DO SZERSZEJ PUBLICZNOŚCI - NIE TYLKO DO NASZYCH 16 WIERNYCH KIBICÓW.

PONIEWAŻ OSTATNIO, DZIĘKI SZCZEGÓLNYM WARUNKOM SOCJALNYM, NASZ KLUB STAŁ SIĘ EKSTRA MAGNESEM DLA ZAWODNIKÓW, STANĄCZYM PRZED KONIECZNOŚCIĄ WYSELEKCJONOWANIA DRUŻYNY. PAMIĘTAJĄC O ZALECENIU PREZESA ODRZUCIŁEM KANDYDATURY ZAWODNIKA MACY STEFANA, ZAWODNIKA PIETRASA, RAPACZA CZY KIRKULEY, KTÓRZY OSIĄGNAWSZY JUŻ, JAK NA NASZ KLUB - PEWIEŃ POZIOM - POPADLI W RUTYNĘ CZYM NIE ZAPEWNIŁIBY WYMAGANEGO POZIOMU EMOCJI. WYBÓR OKAZAŁ SIĘ TRAFNY, PONIEWAŻ WYSTĘPY NASZEJ DRUŻYNY ZWRÓCIŁY UWAGĘ RÓWNIEŻ KIBICÓW INNYCH KLUBÓW. A BALANSOWANIE NASZEJ DRUŻYNY NA KRAWĘDZI EKSTRA AWANSU DO DAJSZYCH ROZGRYWEK ZAPEWNIŁO NIEZAPOMNIANE PRZEŻYCIA NASZYM DOTYCHCZASOWYM FANOM.

KOLEGA PREZES OSOBISTIE POGRATULOWAŁ MI WYWIĄZANIA SIĘ Z ZADANIA, KTÓREGO CELEM BYŁO MIN. UNIEMOŻLIWIENIE EMISJI W LOKALNEJ ROZGŁOŚNI RADIOWEJ AUDYCJI WROGICH NAM EKSTRA IDEOWO BO PSEUDOMATEMATYCZNYCH ($2*2=4$) LUB PORNOGRAFICZNYCH (MOMENTY BYŁY?). ROZGŁOŚNIA TA BOWIEM BYŁA ZAJĘTA EMISJĄ RELACJI Z MECZU Z UDZIAŁEM NASZEJ DRUŻYNY, W TRAKCIE KTÓREGO EMOCJE SIĘGAŁY ZENITU.

NIESTETY, W NASZYM DĄŻENIU DO ZAPEWNIENIA MAKSYMUM WRAŻEŃ, POSUNĘLIŚMY SIĘ NIECO ZA DALEKO, CO UNIEMOŻLIWIŁO NAM DAJSZY WPLYW NA RAMÓWKĘ LOKALNEJ ROZGŁOŚNI.

DZIĘKUJE

Ahoj przygodo!



AHO00J PRZYGO0000D000!
PRZYGODO!
A-HOJ!
TURURURURURURURURURUUUUUUU!
TURURURURUUU!
RU!
POD KWADRATOWYM GLOBUSEM.

BĘDĄC WŁÓCZYKNIEM, NADRÓŻNIKIEM I TRANSPACEREM
TKUKĘ SIĘ PO TYM ŚWIECIE, GDZIE WIATR ZAWIEJE. TAKI
MAM, PRAWDA DOBRY FOK (TO TAKI SAMIEC FOKI) I GROT NA
MASZCIE. A GROT TĘPY NIE JEST WIĘC MOGĘ IŚĆ OSTRYM
KURSEM, PRAWDA...
TAK IDĘ, A CZASEM SIADAM I PISZĘ DZIEŁA PODRÓŻNICZE,
KTÓRE MÓGŁBYM PAŃSTWU POLECIC:
PRZELECIAŁA PSZCZOŁA PRZEZ PSZCZEW, A TRZMIEL
PRZEZ TRZCIEL - TO O WADACH TAKA POZYCJA...
JAK UŻYWAŁEM RĘCZNEJ PRĄDNICY W BANSKIEJ BYSTRICY
TYLE SKOŃCA W BUKARESZCIE - NIE WIDZIAŁEŚ TEGO
JESZCZE
W DRODZE NA POŁUDNIE NAJLEPIEJ SIĘ CHUDNIE

NO I PO DRODZE NA POŁUDNIE TRAFIKEM NA PEWNA KRAINĘ.
NAZYWA SIĘ SKOWACJA, A TO DLATEGO, ŻE UŻYWANE SĄ
TAM DZIWNE SŁOWA. TAKIE JAK NASZE, A JEDNAK INNE. BO NA
PRZYKŁAD MY PISZEMY CHORY, A SKOWACY - HORY. A HORY
WYRÓŻNIAMY NASTĘPUJĄCE: MAŁA TATRA, WIELKA TATRA,
NISKIE I WYSOKIE FATRY. A WĘDRUJĄ PO NICH TATERNICY I
FATERNICY. JAK WIDAĆ, SKOMPLIKOWANE TO WSZYSTKO I
NIEJEDEN GLOBTROTUAR WPADE Z TEGO POWODU W
TATRAPATY I FATRAPATY - TAKIE TARAPATY TE KARPATY.

A NA DRUGIM KOŃCU KARPAT TRAFIKEM NA KRAJ, W KTÓRYM
WYNALEZIONO RUM I STĄD JEGO NAZWA - RUMUNIA. NIESTETY
NA DRUGIM SZLAKU SWOIM NIE SPOTKAŁEM ŻADNEJ BECZKI
TEGO NAPOJU ANI NAWET BERNARDA, KTÓRY MÓGŁBY MI JĄ
PRZYNEŚĆ. W RUMUNII WYNALEZIONO TEŻ DACJE I TRACJE,
POJAZDY, KTÓRE PRZEMIERZAJĄ DRUGI TRANSYLWANII I
CISYLWANII Z CHARAKTERYSTYCZNYM ODGŁOSEM DRUM BUN.

CZASAMI TYLKO Z PIENIĘDZMI JEST DUŻO NOSZENIA W
PODRÓŻY BO NA SKOWACJI PŁACIMY KORONAMI I TALERZAMI -
TO CIĘŻKIE WSZYSTKO. ZA TO W RUMUNII GRUBY PIENIĄDZ
SIĘ Z NIEBA LEJE ALE DROBNE SĄ DO BANI.

MÓWIĘ DO WAS PEPEG Z GUMY, NIEŚLUBNY SYN WODZA
AZTEKÓW.

Poradnik pedagoga placówki pozaszkolnej

Dzisiaj pierwszy dzień zajęć po nieco przedłużonych wakacjach. Po takiej przerwie sprawny wychowawca musi sprawdzić czy jego cenny autorytet nieco nie przygasł. Wchodzimy zatem pewnym krokiem do klasy...

Dzień dobry dzieci!...

No co tak stoicie? I po co wam te transparenty? I po co te jajka - kolega Manualny kazał wam coś przygotować?...

Jak to strajk? Tak na sam początek?

Porożak! Zejdź natychmiast z tej lampy! O co ci chodzi?...

Że macie teraz za mało WueFu, a ty się chcesz rozwijać fizycznie? Porożak przecież tobie i tak nic nie pomoże. No dobrze, dobrze - będzie mniej WueFu ale za to będzie wychowanie patriotyczne, a w jego ramach z kolegą WueFmenem planujemy liczne wycieczki do centrum miasta w celu nieregularnej fizycznej konfrontacji z jednostkami wyznającymi nieślusne poglądy - więc na brak ruchu narzekać nie będziesz. Zadowolony?

Kałamajda, a ty co? No chociażby na starą znajomość nie powinnaś mi tego robić.

A nie chcesz chodzić w mundurku? Spokojnie, dziecko - kroje mundurków wybieramy osobiście z kolegą Manualnym i już zadbaliliśmy o to, aby strój uczennic pokazywał to co trzeba i nie zasłaniał tego, czego nie trzeba i to skuteczniej niż to, co masz na sobie. Ale nieźle, hm... nieźle...

Wąchorski co się tak wydzierasz? Spokojnie - jak pójdziemy na terenowe zajęcia z patriotycznego wychowania... innych, to sobie te swoje rymowanki pokrzykasz. I hymn na lekcjach z koleżanką Bemolką sobie pośpiewasz - i tak ci idzie lepiej niż niektórym.

Jarmuła - przestań palić tą Ławkę - o co chodzi? Masz tu dziecko herbatników, zjedz sobie.

A Ślazka i Pietras - przypomnijcie sobie, że obtaliliście Biologię u pani Pełskiej - specjalistki od partenogenezy mszaka i przypomnijcie sobie dzięki komu jednak jesteście w tej klasie, a nie rok niżej.

No i jak grzecznie dzieci siedzą w Ławkach. Napiszecie na jutro wypracowanie o tym, kto jest waszym ulubionym nauczycielem i dlaczego właśnie wychowawca.

Centralna Kuźnia Młodych - CKM

Seria ostrzegawcza

BULLDOG: CZOKEM KURSANTY!

KURSANTY: CZOKEM PANNIE DOCENCIE!

B: SIADNIJCIE! TEMATEM DZISIEJSZEGO DOKSZTAŁTA BĘDZIE RE... KTO POWI?

KRZYSIEK: REEE..

MARIK: REWANŻ!

B: JA WAM DAM REWANŻ. REWOLUCJA! A JAKO? ZAHORSKI?

JĘDREK: MMM FRANCUSKA, PĄDZIERNIKOWA?

B: SIADAJ, PĘTA! TO NIE HISTERIA TYLKO PRZIRODA. BĘDZIE O REWOLUCJI DARWINA, KTÓRY JEST NASZYM PRZODKIEM...

K: MOI PRZODKOWIE...

B: KOWALSKI, JA WĄS WYRZUCĘ Z OŚLEJ ŁAWKI! NAPISZESZ NA JUŻTO S+O RAZY... ALBO RAZ WYSTARCZY - TYCH SWOICH PRZODKÓW. TO BYŁO DAWNO, DAWNO TEMU JAK BYŁ DAWON, SELUR I ODNOVIK. DALI POWI KOCIEMNIK...

M: TRIAS, JURA, KREDA...

B: DO TABLICZY!!!

M: PANNIE DOCENCIE, NIE TYLKO KREDA DO TABLICZY ALE TAKI OKRES.

B: TY DO TABLICZY KOCIEMNIK BO CI ZAHORSKI PODPOWIADA I DO TEGO ŻLE, A NA OKRES TO WY ZBRĄZ PĘTY DOSTANIĘCIE!

M: TO JA JUŻ NIE WIEM...

B: A WIDZIĄ! BYLI TAK: CZWARTORZĘD, TRZECIORZĘD, DRUGORZĘD I PIERWSZORZĘD. A'PROPOS, ZAHORSKI, DRUGIE ŚNIADANIE!

J: NO DOBRZE, JUŻ DAJĘ. ALE DLACZEGO A'PROPOS?

B: BO WY TAM PIERWSZORZĘDOWĄ TĄ KIEKBAŚĘ MACIE.

M: EEE - DLA MNIE TO ONA DRUGORZĘDOWA NAJWYŻEJ - NO CHYBA, ŻE O DATĘ PRODUKCJI CHODZI...

B: KOCIEMNIK, WY NIE JEDZĄ MĄSKEM NA DÓŁ KIEDY BIEDNEMU CHLEB W OGZY! A DRUGORZĘDOWĄ TO NAWET JAK SOBIE MĄRYNARKĘ KUPICIE TO I TAK NIE WYJDZIEĄ NA LUDZI... SKUCHAJĄ! DAWNO TEMU ŻYLI GADOWIE PRONISTORZYCZNI I ONI BYLI TAK: BRUNO+NOZUR, TARGNOZUR, A TAKŻE ZARÓWNO TEGOZUR...

K: I KOWALOZUR, MÓJ PRZODEK.

B: TO WIDACZ KOŃCZY SIĘ, WIDACZ, NIE CHWAŁA SIĘ.

M: HI HI HI - DOBRZE JĘDRUS, ŻE MY NIE JESTEŚMY Z JEGO "RODU".

**B: CICHKO TAM! GADZI WYGINĘLI BO IM KOMETA ZAHACZYŁA O GŁOWY BO MIELI
ZŁO WYSOKO. PAMIĘTAJTA KURSANTY - NIE WYRZYWAĆ SIĘ I NIE WYCHYLAĆ TO
WAM NIE GŁOWY NIE URWIE. TAK NAPRAWDĘ WAŻNI BYLI NA CZELNI...**

J: TO BĘDZIE COŚ O NADZIEDZAKTORZE?

**B: ZAHORSKI MASZ TRÓJĘ! DOBRZE, ŻE MI PRZYPRÓMNIŁEŚ. MAM TU JAKIEŚ
WYTYCZNE Z GÓRY...**

M: OOO - JAK SIĘ BULDOG ZACZYTAŁ - TO MUSI BYĆ COŚ CIEKAWEGO...

J: JAK ON SIĘ SKUPIA. WYGLĄDA JAK TO BRĄKUJĄCE OGNIAWO...

**B: KURSANTY! ZAPOMNIJTA MI TO WSZYSTKO RAZ NA JUTRA! NIE BYŁO ŻADNEJ
REWOLUCJI ANI TEGO DARWINA. MY TU JESTEŚMY OD POCZĄTKU, A TE PARĘ
GADZIN ŻYŁO W NASZYCH CZASACH. I O TYM WSZYSTKIM MÓWI TEORIA, A
TAKŻE ZARÓWNO PRAKTYKA KAFENCZYNA I ETELIGENTNEGO PROJEKTU - TU
MATA WSZYSTKO CZARNO NA BIAŁYM.**

KURSANTY: YYYYYYYY?

**B: A JAK SIĘ NAZYWAŁ NASZ POLSKI DINOZAURO, KTÓRY ŻYŁ CAŁKIEM
NIEDAWNO? KTO POWI? KO... KO...**

M: JA JUŻ NIC NIE WIEM PANIE DOGENCE...

B: KO.. KO.. WAWELSKI!

K: KOŃCZY SIĘ, W MÓRDE!

**B: MY NIE PRZECIĄGAMY STRUNY NA CZWARO STRON! WAWELSKI SMOK
KURSANTY! A TAKŻE ZARÓWNO TAKI POTWOR, CO NIESIE ŁOCHY. ALE TO W
SZKOCJI. OD TEGO POTWORA POCHOZI PEWIEN KLAN...**

Drrrrrryńńńńń

Bajeczka Wschodnia

Dawno... Dawno temu, w pewnym wschodnim, dalekim kraju rządził pewien sułtan - władca straszliwy i nieprzejednany. Kraj pokrywały pustynie, a uprawa roli była trudna więc choć sułtan i jego wezyrowie obiecywali krainę mlekiem i miodem płynącą, to w kraju tym żyło się ciężko. Do tego sułtan nakazywał wszystkim poddanym życie zgodne z zapisami z bardzo, bardzo, bardzo starych ksiąg, modlitwę o poranku i noszenie starannie zawiązanego turbanu. Mieszkańcy nie byli zadowoleni z poczynań czcigodnego władcy ale bali się wystąpić przeciwko niemu bo każdy, kto choćby nosił krzywo zawiązany turban trafiał wnet do lochów.

Pięknie zawiązane turbany pokryły by pewnie cały kraj ale nie wiadomo skąd pojawił się przybysz noszący na głowie chustę przyciśniętą czarną obręczą i zwrócił się do ludzi chcących chodzić w chustach kapeluszach czy nawet z gołą głową w takich oto słowach:

Ajzzja ja ja ja ja j

Straszny jest ten świat, co go **مخافة** stworzył.

W naszym kraju chusty nikt nosić nie może.

Czemuś tak okrutny straszliwy sułtanie,

Że pozwalasz chodzić nam tylko w turbanie.

Ajzzja ja ja ja ja j

Na te słowa buntownicy ruszyli na sułtański pałac, przegnali strażę, a zaskoczonego sułtana zawięzli w sto turbanów i pozostawili na pustyni.

Uradowani pokonaniem tyrana ogłosili tajemniczego przybysza kalifem i śpiewali nie przez tysiąc ale przez jedną noc taką oto pieśń:

Ajzzja ja ja ja ja j

Piękny jest ten świat, co go **مخافة** stworzył.

Dziś na głowie każdy, co chce nosić, może.

Chustę, turban, czapkę, chiński kapelusik

Każdy nosić może chociaż nic nie musi.

Ajzzja ja ja ja j

Nowy kalif, jak wielu buntowników, nie przepadał za turbanami więc uczynił swoimi emirami noszących chusty, słomiane i bambusowe kapelusze czy paradujących z gołą głową. Wkrótce jednak uruchomił chałupniczą produkcję chust i czarnych obręczy, dzięki czemu wciąż głodni ludzie mieli przynajmniej jakieś zajęcie, po czym nakazał je nosić emirom, którzy dotychczas wyglądali urodziwie, acz każdy inaczej. Do tego napisał nowe bardzo bardzo bardzo stare księgi, w których zawarł kodeks moralny dobrego odmieńca i buntownika oraz zasady według których powinien postępować. Zachustowanym i zaobrzeczowanym wkrótce mieszkańcom coraz mniej podobały się rządy nowego kalifa. Bali się biedni wyrazić swoje niezadowolenie, aż wśród nich pojawił się tajemniczy przybysz w bambusowym kapeluszu, który - o zgrozo - zaczął śpiewać:

Ajjjja ja ja ja j
Straszne są kalifa rządy
Chusty noszą już wielbłądy...

Morał 1:

Nie każdemu pasuje na głowę twoja czapka.

Morał 2:

... czy tego wójta co na ludzi grzmi, czy tych facetów z całkiem innej wsi?

FACHOWCY

KLIENT (OPORNY JAK ZAWSZE): C'EST QUI??
FACHOWCY: FACHOOOWCY!

PRZEZ CAŁY KRAJ IDZIEMY DWAJ
CZY SKONICE, CZY ŚNIEŻEK CZY SKOTA
NIEZBEDNA JEST CZY CHCE KTOŚ, CZY NIE
W PIONIE USŁUG: FACHOWA ROBOTA

OD NAGŁYCH SZKÓD NASZ CIĘŻKI TRUD
OSŁANIA WASZ ŻYWIOT POWSZEDNI
I DUMA W NAS SIĘ PALI JAK GAZ:
ŻE UMIEMY BYĆ LUDZIOM POTRZEBNI!

CZY TO SENS MA, KLAĆ, ŻE TEN ŚWIAT
Z KIEPSKIEGO ZROBIONY SUROWCA?
BO DOBRY BÓG JUŻ ZROBIŁ CO MOGŁ.
TERAZ TRZEBA ZAWOŁAĆ FACHOWCA...

MAJSTER:

SZUUUKAAAMY RUUUUR...
RATTA RATTA RA!
PEKNIĘ- PEKNIĘ- TYCH RUUUUR

DZIŚ ROOBOOTY W BRÓÓÓÓÓÓP...
RATTA RATTA RA!
SPALOOOONY DRUUUUUT...

TERAZ TY, DOCENT!

DOCENT (ZMYSŁOWO):

UUUUUUU SZANSE WIDZĘ, UUUUUUU SZANSE WIDZĘ...
W MOZOLE PŁYNIĘ MI NA WYGNANIU WIELE DNI
LE CZ JA FUSZKĘ TU WOLE BÓ SZANSE WIDZĘ...

M: NO DOCENT! WRESZCIE JAKAŚ NORMALNA FUCHA - PODOBNO COŚ NIE TAK Z
JAKAŚ OBERRURĄ I TRZEBA JĄ ZNALEZĆ. TA POPRZEDNIA ROBOTA MNIE
WYKONCZYŁA. NO NIE MOGŁEM JUŻ SPRAWDZAĆ WIĘCEJ NITÓW NA TEJ CAŁEJ
ICH WIEŻY. NO NIE MOGŁEM!

D: PRZECIĘŻ PAN MAJSTER NIC NIE SPRAWDZAŁ TYLKO MI KAZAŁ WCHODZIĆ, A
SAM SPRAWDZAŁ Z DOŁU...

M: BO MAM LĘK WYSOKOŚCI!

D: OD KIEDY PANIE MAJSTER?

M: ODKAD WSZEDŁEM NA GÓRĘ I POMYŚLAŁEM CO BĘDZIE JAK TRZEBA BĘDZIE SKOCZYĆ PO PIWO. NIĘ TEORETYZUJ DOCENT TYLKO ROZKŁADAJ NARZĘDZIA! RURA CZEKA!

D: OOOO - TUYEAU! NATURELLEMENT! MARTEAU, ...

M: JA NIĘ BĘDĘ DOCHODZIŁ CZY TY MNIE, DOCENT, OBRAŻASZ CZY NIE. CHCESZ WRÓCIĆ DO INSTYTUTU?

D: TUUUU... ACH PANIE MAJSTER! TOULOUSE, BESANON, SORBONNE!

M: TAK GOLĄBKU ALE TE TWOJE TYTUŁY SĄ TU NIC NIE WARTY! Z CIEBIE TU TAKI DOCENT JAK Z MARUSZECZKI FACHOWIEC!

D:

M: NO NIĘ MAŻ SIĘ DOCENT, LEPIEJ DRUGIE ŚNIADANIE WYCIĄNIJ. NO WYCIĄGAJ, WYCIĄGAJ I PODZIEL SIĘ Z MAJSTREM. NO DAWAJ CO TAM MASZ...

D: PROSZĘ, PANIE MAJSTER. TYLKO OSTRO...

M: BLLEEE! BRRR! CO TO JEST DOCENT? TY CHCESZ SWOJEGO MAJSTRA OTRUĆ?

D: TO BRIE I CAMEMBERT - FRANCUSKIE SERY.

M: SERY POWIADASZ? A PORZĄDNEJ, FRANCUSKIEJ KIEŁBASY TO NIĘ MOGŁEŚ KUPIĆ, CO? UCHHH DOCENT - CO JA Z TOBĄ MAM! NO CO JA Z TOBĄ MAM! JA TO POPIĆ MUSZĘ BO MI W GARDLE ZASCHŁO!

D: MAM TU CHADORNAY.

M: YYHYHHYHHY!

D: DOBRZE, PANIE MAJSTER, JUŻ LECEĘ PO BIERRE!

M: SIEDŹ TU, DOCENT. SAM SIĘ POTEM NAPIJĘ BO WIDZĘ, ŻE TOBIE JUŻ W OGÓLE ZAUFAC NIĘ MOŻNA. BIERZ SIĘ DO ROBOTY BO KLIENT CZEKA!

D: JUŻ DOBRZE, PANIE MAJSTER, JUŻ KUJĘ.

...

M: NO CO TAM DOCENT? BO U MNIE TYLKO ŚCIANA I ŚCIANA CZY NA WYRYWKĘ CZY NA SZTUKANKĘ. JESZCZE TROCHĘ I MY TU NOC SPĘDZIMY...

D: ECH PANIE MAJSTER - TO NOCNE ŻYCIE PARYŻA - TE KABARETY I MOULIN ROUGE...

M: SAM SIĘ, MULE, RUSZ I POMÓŻ MI BO SIĘ NIGDY DO TYCH RUR NIĘ DOKOPIEMY.

D: NO STARAM SIĘ PANIE MAJSTER ALE JUŻ SIĘ WBILIŚMY NA PÓŁ METRA, A W TEJ ŚCIANIE TO ANI RUR ANI KABLI ANI NIC...

M: DOCENT, KUJ, KUJ - WIDZĘ RURĘ... ILE RUR! OBERRUR! A ZA NIMI NIEBO! DOCENCIU! WARTO TU BYŁO PRZYJECHAĆ! DOKULIŚMY SIĘ DO LEPSZEGO ŚWIATA! DO RAJU HYDRAULIKÓW! DOCENT!!!

D: PANIE MAJSTER KOCHANY! NIECH PAN NIE MDLEJE, NIECH PAN TAM NIE IDZIE! TO TYLKO BYŁO CENTRUM POMPIDOU! PANIE MAAJSTER!!!

Stefanologia stosowana (wybór)



Wykaz pożądaných zachowań dla prowadzącego audycję radiową

Wykaz pożądaných zachowań dla prowadzącego poranną audycję radiową

1. Dyskretnie obudzić prowadzącego nocną audycję.
2. Nie ziewać.
3. Uśmiechać się do mikrofonu - a może ktoś patrzy.
4. Nie ziewać.
5. Podawać godzinę, co godzinę.
6. Nie ziewać.
7. Podawać minutę, co minutę.
8. Nie ziewać.
9. Uśmiechać się do mikrofonu.
10. Nie zastanawiać się, dlaczego w przeglądzie prasy przeglądane są te a nie inne tytuły.
11. Nie ziewać.
12. Sprawiać wrażenie, że się wie, o czym się mówi.
13. Podawać godzinę.
14. Nie ziewać.
15. Sprawiać ogólnie inteligentne wrażenie.
16. Uśmiechać się do mikrofonu.
17. Pamiętać, że słuchacz i przełożony mają zawsze rację.

Wykaz pożądaných zachowań dla prowadzącego popołudniową audycję muzyczno-informacyjną

W zasadzie te same uwagi, co do programu porannego plus:

1. Wyglądać jeszcze bardziej inteligentnie.
2. Tryskać entuzjazmem.
3. Podawać prognozę pogody tylko w wypadku, gdy jest korzystna.
4. Nie ziewać.
5. Sprawiać wrażenie.
6. Uważać na głoski wąskoszczelinowe.
7. Pamiętać, że słuchacze i przełożeni mają zawsze rację.

Wykaz pożądaných zachowań dla prowadzącego wieczorną audycję

1. Nie ziewać.
2. Podawać godzinę, co jakiś czas
3. Nie usypiać słuchaczy.
4. Sprawiać wrażenie inteligentne, (ale bez przesady).
5. Pamiętać o przełożonych.

Wykaz pożądaných zachowań dla prowadzącego nocną audycję

1. Nie ziewać.
2. Nie pić kawy na antenie.
3. Obudzić się przed poranną zmianą.

Opracował:

Redaktor Jerzy Traktor

Weryfikacja

- Witam panów radnych i panie radne na nadzwyczajnej sesji rady miasta – zagaił przewodniczący - Dzisiejsze obrady mają tylko jeden punkt – weryfikacja i ewentualna zmiana nazw ulic w naszym mieście. Żeby uniknąć nieporozumień przelecimy alfabetycznie. Na początek Rynek.

- Ale Rynek nie jest na początku? – zdziwił się rady Pimpała

- Ale jest najważniejszy! Jakies propozycje?

- A co jest złego w Rynku?

- Niby nic. Ale... Wiadomo kto rządził w poprzedniej kadencji. Proponuję zmienić nazwę na Stefana Batorego. Wiecie, on zostawił Polskę murowaną

- Ależ to Kazimierz Wielki – sprzeciwiła się radna Papanguła

- Koleżanko! Przywołują panią do porządku! Kazimierz? I to Wielki? Nie taki Wielki ten Kazimierz jak go malują! A zresztą Kazimierz to się źle kojarzy. Była pani w Krakowie? No. A Stefan? Przecież jak zastał murowaną, to i ją tak zostawił. Dobrze, to mamy załatwione. Teraz ulica Apteczna.

Na sali zawrzało. Po chwili, przez rumor przebił się tubalny głos przewodniczącego.

- Jest dyrektywa, by jedna apteka służyła co najmniej 10 000 ludzi. No a ile mieszkańców ma Apteczna?

Nikt nie wiedział. Po burzliwych naradach i osiągnięciu konsensusu przegłosowano więc zmianę nazwy ulicy Aptecznej na Magistra Wąchało – zasłużonego dla miasta dyrektora szkoły i znanego tenora. Co prawda niektórzy mówili, że śpiewał półbasem, ale tych szybko uciszono.

Tym sposobem padły ulice 3 Maja (zamieniona na 29 Lutego), Dworcowa, Kwiatowa, Torowa (bo nikt nie wiedział kim byli Dworcow, Kwiatow, Torow), a zresztą nazwiska te źle się kojarzyły.

Następnie wycięto w pień wszystkie ulice literackie, typu Asnyka, Baczyńskiego, Norwida, Mickiewicza (wiadomo dlaczego), Gombrowicza, Witkacego – no bo wiecie, tacy artyści to tworzyli nie wiadomo pod jakim wpływem, a zresztą są to same podejrzane mordy. O Brzechwie, Tuwimie czy Konopnickiej nawet nie dyskutowano – padli „en block” Z rozpędu zlikwidowano ulicę także Grunwaldzką na wniosek podkomisji do zwalczania problemów alkoholowych.

Po przerwie zajęto się postaciami historycznymi. Pod przysłowiowy nóż poszli królowie (czy to dynastyczni czy elekcyjni), książęta, arystokraci, naukowcy. Ostał się jeno Bolesław Wstydlivy, z oczywistych względów oraz Kopernik (choć tu już nie było wśród radnych pełnej jedności).

Nadspodziewanie gorąca dyskusja rozgorzała przy ulicy Kredytowej. Sala podzieliła się na dwa obozy (niezależnie od przynależności partyjnej). Problem nie wynikał jednak czy zmienić nazwę ulicy Kredytowej bo to było dla wszystkich oczywiste, lecz jaką nadać jej nazwę. Jedni chcieli by nowa nazwa miała coś wspólnego ze starą, drudzy woleli by nie kojarzyła się tak jednoznacznie. Koniec końców stanęło na tym, że ulica Kredytowa będzie nazywała się Złotej Polskiej Jesieni.

A dalej poszło już z płatka. Zamieniono Orzechową na Bukową, Murowaną na Drewnianą, Asfaltową na Betonową, Krótką na Długą, Szeroką na Wąską, Tetmajera na Przerwy, Chodkiewicza na Szewską, Szewską na Kilińskiego, Kilińskiego na Botaniczną, Chopina na Cugowskiego, Dobrą na Miłą, Miłą na Ładną a Ładną na Cnotliwą...

Dyskusja sięgnęła zenitu, gdy przyszło nazwać główną ulicę miasta. Początkowo nazywała się 22 Lipca, potem E. Wedla by stać się w końcu Aleją Niepodległości. Padaly różne propozycje, a to z lewa, a to z prawa, a to nawet z centrum. Ustalono, że nazwa ma łączyć a nie dzielić, ma uwzględniać różnorodność ludzi i ich postaw czy przekonań. Po długiej przerwie i krótkiej naradzie znaleziono odpowiednią nazwę. Główną ulicę nazwano Aleją PCK. No bo tak – i polski, i czerwony i krzyż - znakomicie oddaje idee porozumienia narodowego ponad podziałami.

Gdy radni mieli już podpisywać uchwałę i wychodzić, ktoś zwrócił uwagę na problem formalny - na druku rady miasta będzie podany zły adres – bo wszak gdy uchwała wejdzie w życie to nazwa się zmieni, no ale przed zmianą obowiązuje stara, no ale jak się poda starą to będzie już nieważna, a nowa jeszcze nieważna. I to wystarczyło. W sali obrad rozpętało się piekło. Jedni drugich wyzywali od najgorszych, emocje i temperatura na sali sięgały zenitu, i tylko przytomności przewodniczącego (który w odpowiednim momencie zgasił światło i nacisnął guzik) zawdzięczać należało, że nie było ofiar w ludziach, wróć w radnych. Po chwili przewodniczący zapalił światło, wziął ustawę i uroczyście podarł ją do kosza. - Myślę – zaczął uroczystym głosem – że wszyscy się ze mną zgodzą, a niezgodzić się ze mną nie sposób (przewodniczący uwielbiał takie retoryczne figury), iż ta uchwała to jedna wielka bzdura. Po co zmieniać nazwy ulic, do których ludzie się przyzwyczaili? Czy sama nazwa może zrobić coś złego? Coś złego może zrobić tylko człowiek, a nie taka czy inna nazwa (przewodniczący skończył ostatnio eksternistyczny kurs filozoficzny).

Cieszę się – ciągnął dalej prozą – że przyszedliśmy po rozum do głowy. Bo pomyślcie kochani co by było, gdyby ktoś poszedł w nasze ślady? I chciał zmieniać nazwy ulic, placów, pomników? Pomyślcie! Jaki chaos wdarł by się do naszego państwa – zagrział jak z ambony. Całe szczęście, że to się u nas nie zdarzy – dodał tajemniczo na zakończenie. Radni rozchodzili się w milczeniu, trochę przytłoczeni, trochę zdezorientowani sytuacją. Przyznawali w duchu rację przewodniczącemu, że dobrze się stało że nie pozmieniali tych nazw. No bo gdyby to zrobili, to byłby śmiech na całą Polskę. I w gazetach by pisali i telewizja by obśmiała. Całe szczęście...

Nie wiedzieli jednak, że cała sesja rady była nagrywana, a pół godziny po nich wyszła z ratusza ciemno ubrana osoba, wsiadła do zaparkowanego nieopodal samochodu i z piskiem opon ruszyła w kierunku stolicy.

No ale to już zupełnie inna historia...

Jeden dzień z życia Tomasza Jachimka

Godzina 8 rano

Nie, dla Tomasza Jachimka 8 rano nie istnieje.

Godzina 9 rano

Tomasz Jachimek słyszał że taka godzina istnieje, ale nie ma na to dowodów.

Godzina 10

Tak, tak godzina najprawdopodobniej istnieje. Tomasz Jachimek wstaje, by się o tym przekonać.

Godzina 11

Po godzinnym, bezskutecznym poszukiwaniu szkła kontaktowego, Tomasz Jachimek je śniadanie. Okularów nie założy bo nie lubi, a zresztą źle przez nie wygląda.

Godzina 12

Tomasz Jachimek wychodzi z domu, by dotrzeć do radia. Ma tam audycję. Musi się spieszyć, by zdążyć na czas. Spieszy się więc i zdąża!

Godzina 13

Okazało się jednak, że dziś nie ma audycji. Ale nic to. Siedzi na schodach przed radiem i złośliwym wzrokiem kontempluje rzeczywistość. Myśli co by tu obśmiać. Mógłby także pluć prosto, ale po co?

Godzina 14

Już wie. Obśmieje rzeczywistość. W końcu ona jest wszystkiemu winna. No bo kto?

Godzina 15

Idzie na obiad. Rzeczywistość okazała się jednak złośliwa i zamknęła mu restaurację. Ale dobrze, dobrze. Nic się nie dzieje. Artysta kabaretowy musi cierpieć. Znaczący musi nie musi, a w zasadzie to nawet lepiej żeby nie cierpiał. Ale co tam. Zje coś w budce.

Godzina 16

Zjadł w budce kebaba.. Nie wie co prawda co było w tym kebabie, ale wie, o czym będzie następny skecz.

Godzina 17

Tomasz Jachimek przechadza się ulicami i przygląda się przechodniom. Kwalifikuje ich do dwóch kategorii – ładniejszych i brzydszych. Tych pierwszych jest dużo więcej. To dobrze. A może nie?

Godzina 18 do 20

Tomasz ma występ. W zasadzie nie lubi występować, bo ludzie go peszą i czuje się niepewnie. Na dodatek ludzie się z niego śmieją, a kto lubi jak się z niego śmieją? No ale coś mu każe występować. To coś nazywa się widmo komornika.

Godzina 21

Tomasz Jachimek jedzie do telewizji, bo ktoś mu powiedział, że widział tam jego szkło kontaktowe.

Godzina 22

Faktycznie, znalazł swoje szkło. Pożartował przy okazji z kolegami oraz obśmiał kogo trzeba. A poza tym napił się kawy, bo tam mają zawsze dobrą kawę.

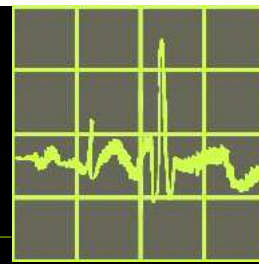
Godzina 23

Tomasz Jachimek wraca do domu. Wreszcie nie ma korków na ulicach. Przyszło mu do głowy, by przenieść południe na północ, wtedy rozwiązałoby się problem korków. Jak wróci do domu musi to przemyśleć. Zadowolony z pomysłu postanawia że zje pomarańcze, choć do świąt daleko.

Godzina 24 (czyli północ)

Podczas opracowywania pomysłu przeniesienia godzin nocnych na dzień Tomasz Jachimek zasypia. Śni mu się, że ludzie się z niego śmieją. Śpi jednak dalej spokojnie bo wie, że i tak kiedyś przestaną.

BLOG LEKARZA DYŻURNEGO



Poniedziałek

Dzisiaj spóźniłem się do pracy tylko 15 minut. Ordynator popatrzył na mnie złowieszczo. Dałem mu łapówkę. Pozwolił mi operować. Pacjent wyglądał na wystraszonego. Powiedziałem mu, żeby się nie bał – wszak to rutynowy zabieg.

Po południu okazało się, że nie wszystko poszło jak trzeba, albowiem rutyny zabrakło w aptece – podobno została skreślona z listy leków refundowanych. No cóż, nikt nie żyje wiecznie.

Środa

Była u mnie rodzina pacjenta, którego operowałem w poniedziałek. Zadawali dziwne pytania, interesowali się szczegółami operacji. Dałem im łapówkę, by nie zadawali więcej pytań. Po południu przyjąłem siostrę tego pacjenta. Jak mnie ujrzała, to oddała łapówkę i wypisała się na własną prośbę. Ordynator miał do mnie o to pretensje.

Piątek

Mam nocny dyżur, więc mogę trochę popisać. Dziś w szpitalu był spokój, ponieważ przeprowadzono ćwiczenia pożarowe. Ile było śmiechu i radości, gdy sztuczny dym podłączono chorym na ojomie. Dym był co prawda nieszkodliwy, ale pacjenci o tym nie wiedzieli. No cóż, ojom mamy wolny, natomiast koledzy na pulmonologii narzekają teraz na brak miejsc. No ale w końcu wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną.

Po operacji, którą przeprowadziłem na otwartym sercu zgłodziłem trochę, poszedłem więc coś zjeść. Przysiadłem się do kolegów z pulmonologii żeby trochę pożartować i przeprosić ich za psikusy. Nawet się nie gniewali. Poczęstowali mnie płuckami. Były jeszcze ciepłe i bardzo smaczne. Musze ich kiedyś zaprosić na wątróbkę.

Idę się zdrzemnąć, bo nigdzie nie mogę znaleźć pilota do telewizora.

Sobota

Żeby mieć trochę spokoju, zamknęliśmy z woźnym Przyłuszczką drzwi do oddziału. Potem graliśmy w 66 kartami pacjentów. To była udana sobota. Ktoś się co prawda dobijał do drzwi, ale w końcu była przecież wolna sobota.

Poniedziałek

Ordynator zrobił zebranie. Mamy rozliczyć się z łapówek oraz podnieść dyscyplinę pracy. Popatrzyłem na podłogę – u mnie nic nie leżało, więc chyba to nie było do mnie. Mówił także o jakiejś aferze – podobno zaginęły płuca potrzebne do przeszczepu. Prosił o poufne informacje na ten temat. Cóż, najprawdopodobniej nie zaproszę kolegów na wątróbkę, no ale jest szansa na żeberka.

Wtorek

Była u nas policja. Szukali, węszyli, zadawali pytania. Ordynatora nie było, ja musiałem więc zrobić składkę na łapówkę. Udało się. Policjanci poszli i poradzili, bu następnym razem uważać komu i co się wycina. No i musiałem obiecać, że naprawimy im fotoradar, ostatnio wychodziły na nim same szkielety. Co miałem zrobić – obiecałem. Wszak to my pożyczaliśmy go od nich, gdy trzeba było zrobić prześwietlenie komendantowi.

Sobota

To był ciężki tydzień. Była u nas telewizja cyfrowa. Znacząca taka co ma w nazwie cyfry. Zaglądali w każdy kąt, szukali ordynatora. Ciekawe gdzie on się podziewa. Chcieli przeprowadzić ze mną wywiad, ale udało mi się wykręcić. Powiedziałem im, że nie znam polskiego. Nie wiem czy mi uwierzyli, ale dali sobie spokój.

Następnie poszli, ale kazali oglądać telewizor o 19. Wszyscy oglądaliśmy, no ale wyglądał tak samo jak zawsze. Ktoś wpadł na pomysł żeby może go włączyć, no ale nie wiadomo gdzie jest pilot.

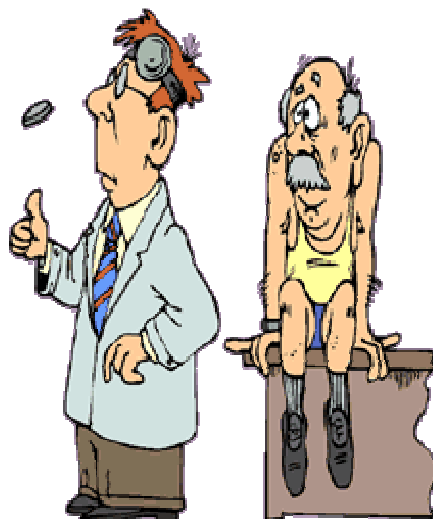
Poszukiwania pilota trwały cały dzień. Dużo pomogli nam koledzy z radiologii. Okazało się, że pilot jest w brzuchu pacjenta w sali nr 2. Pacjent nie chciał dobrowolnie oddać pilota, a więc poradziliśmy sobie w inny sposób. Chyba jutro na obiad będą żeberka.

Włączyliśmy telewizor i w sumie nic się nie dowiedzieliśmy. Muszę tylko sprawdzić w słowniku co oznaczają słowa: indolencja, niekompetencja, barbarzyństwo i korupcja, oraz kim był doktor Mengele. Z tego wszystkiego rozboleły mnie zęby. Dentysta nie chciał mnie przyjąć bo miał imprezę, ale dostał łapówkę i załatwił wszystko jak trzeba. Muszę tylko sprawdzić w małym poradniku medycznym, czy człowiek może mieć 54 zęby.

Wtorek

Zostałem zwolniony! Okazało się, że mój dyplom nie upoważnia mnie do pracy w służbie zdrowia, tylko w służbie pracy. Praca, zdrowie, jaka to różnica? Nie martwię jednak, pojedę sobie do Irlandii, tam podobno przyjmują nas z otwartymi rękami, a poza tym tam można robić wszystko na lewo.

Pojadę tam jak tylko wyjdę z więzienia. To oczywista pomyłka bo wsadzono mnie za branie łapówek i handel organami. Od kiedy łapówki są nielegalne? Muszę już kończyć, bo właśnie odbierają mi laptop i komórkę. Zadzwońię tylko do znajomego prawnika, kolegi ze studiów. Siedzieliśmy w jednej ławce. Tak czy inaczej do zobaczenia w Irlandii.



ZAPISKI SĄDZIEGO SĄDU DWUDZIESTOCZTEROGODZINNEGO

24.00 - 1.00

Kto to wymyślił te dyżury? I po co mi te meszty? Co to ja, lekarz jestem? Zapytałem schodzącego kolegi ile miał spraw. Powiedział że 248. No ładnie, ładnie.

Pierwszą sprawą była sprawa o zakłócanie porządku przez kibiców. Zapytałem komu kibicują i udzieliłem im pouczenia. Młodzi są, jeszcze wyjdą na prostą.

Następnie wprowadzili grupę kibiców drużyny przyjezdnej. Dałem im po 2 lata bez zawieszenia. Nie będziemy tolerować chamstwa i burd w naszym mieście!

1.00-2.00

Mam trochę spokoju. Zacząłem czytać kodeks karny. Nie wiedziałem że już zniesli karę śmierci! Skandal. Kto dał na to zgodę? Dzwonili do mnie z sądu okręgowego. Okazało się, że nie mogę ukarać kibiców karą bez zawieszenia. Co miałem zrobić? Zawiesiłem im. Ale zabrałem za to prawa jazdy. Wiem że będą musiał im kiedyś oddać, ale trochę się pomęczą na rowerach, nie?

2.00-3.00

Zdrzemnąłem się. Obudziły mnie krzyki. Awantura rodzinna. Pouczyłem męża by nie bił żony tak głośno. Ukaralem go grzywną, bo żal mi się go zrobiło. Zapytałem ile ma przy sobie. Miał 50 złotych. Zabrałem mu 40, niech ma na rano na klina. Sprawiedliwość ma służyć ludziom!

3.00-4.00

Ci ludzie to nie mają w nocy chyba co robić. I dziwić się, że rodzi się tak mało dzieci. Znów awantura rodzinna. Tym razem żona pobiła męża. Trudno się dziwić, bo on to takie chucherko, a ona to ho, ho! Pouczyłem niewiastę, że nie należy wykorzystywać przewagi fizycznej. Nałożyłem grzywnę w wysokości 1000 złotych z zamianą na 5 dni aresztu oraz ostrzegłem, że jak to się powtórzy to odbiorę jej prawa rodzicielskie. Powiedziała że nie mają dzieci, to dowaliłem jej 500 złotych za obrazę sądu. A co! Sprawiedliwość ponad wszystko!

4.00-6.00

Wreszcie spokój. W tych godzinach to pracuje chyba tylko Piotr Łodej. Przestępcy i inni normalni śpią. Przespałem się i ja. Ciężki dzień przede mną.

6.00-7.00

Wykrakałem. Zaczęło się. Przybył tuzin pijanych kierowców. Nad nimi nie mam litości. 10 dostało po dwa lata, jedenasty rok (jeździł maluchem), a szwagra puściłem wolno, niby nie rodzina, ale zawsze może się przydać. Temida jest ślepa, ale tylko na jedno oko.

7.00-8.00

Przyjechał audyt. Sprawdzali akta, wyroki, sentencje. Bateria Johnego znów się skurczyła. Ale co tam - mam jutro dyżur w prokuraturze... Odkuje się.

8.00-10.00

Masówka - drobni złodziejaskowie, wagarowicze, łączący władze - wszyscy równo po dwa lata. Nie będę się rozdrabniał. Nie za te pieniądze. Choć nie, łączący prezydenta dostał tylko rok, bo lżył poprzedniego.

10.00-12.00

Mam kryzys. Mija dopiero połowa dyżuru, a ja już mam dość. I dopiero wydałem 123 wyroki skazujące. Przegram zakład z kolegą. Muszę wziąć się w garść, wszak jestem opoką tego kraju (gdzieś tak czytałem). Niby każdy ma prawo do sprawiedliwego procesu - no ale, nie da się osadzić wszystkich, z kolegami sędziami pracujemy jednak nad tym. Sprawiedliwość dla wszystkich!

12.00-15.00

Łapówki, gwałty (kto gwałci w południe? Chyba tylko zboczeńcy), drobne kradzieże, picie alkoholu w miejscach publicznych (co za dureń to wymyślił?), jednym słowem rutyna. Aby sobie trochę urozmaicić dzień, skazywałem parzystych, nieparzyści mieli szczęście. Wszak szczęście potrzebne w życiu jest, nie?

15.00-16.00

Późny lunch. Spotkałem się z prokuratorem. Narzekał na wolną pracę sędziów. Powiedziałem mu, że założę się, że do końca dyżuru skazę 300. Zapytał o ile. Powiedziałem mu. Po krótkiej rozmowie telefonicznej zgodził się.

16.00-18.00

Jak na złość nikogo nie ma. Wszedłem przed sąd i sam złapałem 31 pijanych rowerzystów. Skazałem 16. Stwierdziłem, że może lepiej łapać rowerzystów, niż zakładać się z prokuratorem. Cóż, człowiek uczy się całe życie. Chyba oleje zakład i połapię rowerzystów.

18.00-20.00

Na śmierć zapomniałem, że trwa kampania wyborcza i wszystkie sprawy z nią związane mogą trafić do mnie. No i się zaczęło - sprawy o zniesławienie, o brak oświadczenia, o ustalenie ojcostwa... Skazałem wszystkich, ale co mi uciekło rowerzystów to moja strata. Ech, ani prawa, ani sprawiedliwości na tym łąz padole...

20.00-22.00

Wybiegłem na ulicę, no ale o tej porze rowerzystów już nie było. Ze złości oskarżyłem przechodnia o to że jest agentem obcego kraju. Hmm, dał więcej niż rowerzysty!

Okazało się, że jednak, że nie na wszystkich to działa. Dobrze, że byłem kiedyś mistrzem szkoły na średnich dystansach. Więcej nie będę wychodził z sali. Podliczyłem sprawy, mam ich tylko 224. Kiepsko, chyba przegram zakład.

22.00-23.00

Walka o wymiar sprawiedliwości trwa. Przyprawdzili do mnie gościa oskarżonego o molestowanie. Zobaczyłem zdjęcie ofiary i z wielkim żalem uniewinniłem go. Nie wpisałem tego do protokołu, no bo co mi frajer będzie statystykę psuł?

Zadzwoiłem do znajomego pułkownika. Mówię tak a tak. Pomóż. Pomógł.

Przysłał kompanię wojska. Przyszli zwartym szykiem. Skazałem ich za „niemanie” światła. Sprawiedliwość jest ostoją każdego państwa, a wygrana jest moja!

23.00-24.00

Ostatnią godzinę dyżuru poświęciłem na uzupełnianie akt, statystyk i uzasadnianie wyroków. Rozumiem już teraz nauczycielki klas 1-3, które muszą stosować świadectwa opisowe. Po podliczeniu okazało się, że pobitem krajowy rekord - ponad 500 skazań w ciągu doby. Moje zdjęcie będzie w tygodniku „Prawo i Lewo”. Za tydzień i tak pobije ten rekord. A moja kochana mama chciała bym zostać fryzjerem... Ech mamoo...

Bajeczka w pełni demokratyczna

Nie tak dawno i wcale nie tak daleko było sobie gospodarstwo (rolne). Inwentarz jak inwentarz, na uwagę zasługiwał jednak kurnik z wieloma kurami i ogromny, piękny kogut, który uchodził za przywódcę stada. Nikt go wprawdzie nim nie mianował, lecz kurom było z nim dobrze. Miał wymagania to fakt, lecz w zamian zapewniał im ochronę i było nie było - chwilę spokoju i szczęścia.

I było jak w baśniach u Andersena: wszystko toczyło się swoim ustalonym trybem, dzień o dnia nie różnił się w zasadzie niczym. Nikt jednak nie narzekał, bo tylko wichrzyciele mówią, że to co zastałe, to złe.

Kogut doglądał swojego inwentarza, odstraszał intruzów, czasami przeprowadził jakiś drobny handelek, lecz wszystko w ramach przyzwoitości. I tak toczyłoby się pewnie aż do śmierci, gdyby nie fakt, że nad kurnikiem zaczął krążyć wielki, wypasiony jastrząb.

Zrazu tylko krążył, jakby chciał przypatrzeć się dobytкови, później próbował pikorwać, lecz były to próby raczej na postrach. Błądy strach padł na kurnik, wszak śmiertelny wróg czaił się w opłotkach. Kury podniosły straszny lament, kogut starał się je uspokoić, lecz nie bardzo mu się to udawało. Próbował nadrabiać miną, lecz kury dobrze go znały, troskliwy i czuły to on był, lecz do walki to serca to on za bardzo nie miał.

Kogut wiedząc, co o nim myślą kury, zaczął intensywnie (bo czasu było niewiele) trenować. Po jakimś czasie osiągnął już pewne efekty i u koników jego notowania znacznie wzrosły.

I nastał dzień próby. Wróg pojawił się wcześniej niż zwykle, lecz kogut był na to przygotowany. Nie czekając, zaatakował pierwszego. Jastrząb zaskoczony takim obrotem sprawy, szybko wycofał się na dach stodoły. Kogut chodził dumny jak pan, ale jastrząb ani myślał pasować. Zaatakował drugi raz i trzeci, a kogut szybko opadał z sił i ledwo-co uratował się przed śmiercią.

Aż nastąpiło decydujące starcie. Zwarli się w śmiertelnym uścisku, pióra latały w powietrzu i trudno było rozpoznać, gdzie napastnik, a gdzie obrońca. W końcu kogut padł jak niezynwy, a jastrząb wodził wzrokiem po dobytku i już wybierał sobie łakome kąski.

Kogut nie dawał jednak za wygraną. Kiedy wszystkim się wydawało, że on zdechnie, że to już koniec, że nie ma ratunku, to on, ten dzielny kogut, obrońca uciśnionych kur srynych jednak nadludzkim wysiłkiem po raz ostatni podernwał się do walki i... zdechł.

Wniosek - nawet najgłupsza większość w demokracji ma zawsze rację.

KOTEK

Mam kota, czarny „sierściuch”, czasami wrzeszczę na niego, czasami on na mnie, ale tak naprawdę to się nawet lubimy. Powiadają, że koty potrafią spać do 16 godzin na dobę. Mój śpi 20, a jego aktywność przypada na okres od 24 do 4, kiedy to moja aktywność spada do zera (a przy-najmniej usilnie próbuje). Gdyby nie to, że jeść też lubi, moglibyśmy się nawet nie spotykać tygodniami. Funkcjonowalibyśmy jak idealne małżeństwo. No ale nie umie gotować...

Nazywam go Czarek. Nie wyjawiał mi wprawdzie nigdy jak się nazywa, ale nazwa wzięła się stąd, że czarny jest jak Maćków Kot (to ten cwaniak co to zjadł świeczkę i po ciemku siedział), a więc się kojarzy. Czarek to mądre zwierzę. Nie szczeka wprawdzie i nie chodzi mi po piwo, ale jest z niego wiele innego pożytku. Nie mam problemu z pechem, a już trzynastego w piątek na bank mam szczęśliwy – nie zdążę jeszcze wstać z łóżka a już czarny kot przebiegnie mi drogę. Sprawa załatwiona o piątej rano i już śmiało mogę wychodzić na miasto. A to ważne w dzisiejszych, niespokojnych czasach.

Pierwsze nasze spotkanie nastąpiło na skrzyżowaniu. Naszych dróg. Ja biegłem by być przed nim, a on koniecznie chciał mi przebiec drogę (taka natura). Spotkaliśmy się w punkcie (jak mawiają matematycy) przecięcia. Albo (jak wołają fizycy) punkcie styczności. Tak czy inaczej, doszło do kontaktu, a nawet full-kontaktu. Nie chcąc robić „poruty” na polu (bo ja z Galicji jestem) oraz narażać się różnym obrońcom praw zwierząt czy innych mniejszości, wziąłem go do domu. Tam się z nim porachuje, pomyślałem. Obmyślałem różne warianty zemsty, ale jakoś to odkładałem i odkładałem, a poza tym nie mogłem karać go jak patrzył mi w oczy (a nuż odda?), a gdy nie patrzył to było tak trochę niehonorowo (wychowany jestem na „Czterech pancernych” i „Stawce”), więc jakoś nie mogłem. No i został, a ja nawet do niego nawet się przyzwyczałem.

Podobno największy hałas wytwarza startujący odrzutowiec oraz wrzeszcząca żona. Ci naukowcy co ogłosili te wyniki, to chyba nigdy nie mieli kota o drugiej w nocy. Wystarczy, że po-przedniego dnia zostawiłem kapsel od piwa (znaczy mineralnej) lub sreberko po serku (czy innym jogurcie) na stole, a już około pierwszej-drugiej w nocy mogłem się przekonać, jak głośny jest kapsel, gdy kot gra nim w „kolarzyki” lub cymbergaja, a za boisko służy mu wykafelkowana podłoga w kuchni. Trzy odrzutowce i tuzin żon nie są w stanie wytworzyć takiego hałasu. W takich momentach postanawiam sobie, że następne płytki jakie kupię do kuchni będą filcowe i to z obu stron. A sreberko po drugiej w nocy wydaje taki hałas, jak cała walcownia dawnej huty imienia (za przeproszeniem) Lenina.

Ja też nie pozostawałem mu dłużny. Co to, to nie! Wszak zemsta to motor ludzkości. Kie-dyś, gdy smacznie spał zwinięty w kłębek, wziąłem trąbę-kibickę, podszedłem do niego cicho, zacerpnałem powietrza i dmuchnąłem mu prosto w ucho z całych sił, ile w płucach fabryka dała.

Są takie śmigłowce, które nazywają się Sikorsky. Charakteryzują się tym, że doskonale pionowo startują. Myślę, że pan Igor Sikorsky pozieleniałby z zazdrości gdyby zobaczył, jakiego mój kot dokonał piono-startu. Pobił, co najmniej rekord okręgu. Chodził potem obrażony cały tydzień (kot, nie Sikorky) i kasał mnie po tydkach. Szczególnie rano. Musiałem zacząć spać w piżamie. Choć nie lubię. A o kapslach zapominać mi i tak nie dawał.

Prawdopodobnie przrzucę się na wódkę, albo zostanę abstynentem.

Z Czarka jest jednak jeden niezaprzeczalny pożytek – tępi muchy i komary. Jakich on wygibasów dokonuje podczas ich łapania w locie – każdy bramkarz ligowy byłby zachwycony i od-dałby ostatnie rękawice za taką gibkość. Kiedyś przyjechał do mnie kuzyn w odwiedziny. Była więc okazja do celebry po polsku – czyli popiliśmy co nie co. Wołamy kotka, ale on nie chce do nas przyjść – nie lubi alkoholu, jakiś dziwny typ. No to wzięliśmy się na sposób i wołamy „Czarek – mucha”. Kot przybiegł (bo na ten okrzyk reaguje automatycznie – moja szkoła!), rozgląda się po kuchni, następnie patrzy z wyrzutem na nas i

odchodzi majestatycznie, nawet nie machając ogonem.

Po kolejnym drinku naszła nas ochota, by znowu się z kotem zobaczyć, ale jedyną dostępną opcją było już tylko – on do nas. Wołamy po dobroci – nic. Wołamy (to może określenie nieco na wyrost), w każdym razie staramy się zawołać: „Czarek – mucha”. Udało się. Kot usłyszał, zrozumiał i przyszedł. Rozgląda się po kuchni, potem patrzy to na jednego to na drugiego, tak długo i przenikliwie jak celnik na granicy, następnie kiwa głową i odchodzi. Jeszcze bardziej majestatycznie, a w każdym jego ruchu można było wyczuć pogardę dla rodzaju ludzkiego, a pijanego rodzaju ludzkiego w szczególności. Na drugi dzień było nam głupio i kupiliśmy mu mysz, by się nie gniewał. Taką porządną, amerykańską. Z Tuszyna. Nic nam to nie pomogło, bo Czarek omijał nas szerokim łukiem, a mijając nas prychał znacząco. Tupał też złośliwie i bardzo głośno po dywanie podczas poranków.

Jego prychanie miało też inny powód – kiedyś, na samym początku doszło między nami do pewnego nieporozumienia, czyje terytorium jest czyje. Czarek zaczął znaczyć swoje tuż przed długo oczekiwaną przeze mnie i ważną wizytą, a znaczenie jego było bardzo znaczące. Na drugi dzień wziąłem go pod pachę i u znajomego weterynarza ograniczyłem jego zakres zainteresowań tylko do miski. Trochę mi się go potem żal zrobiło, no ale sam chciał. Od tej pory coś mu się porobiło i romansuje z kocem. Wiem, że kot i koc różnią się tylko jedną literką, no ale Czarek powinien wy-chwycić tą subtelną różnicę. Wszak to kot z dobrego domu. Niestety, nie wychwycił, a koc trzeba prać co dwa tygodnie. Do dziś się zastanawiam, czy to z Czarkiem coś nie tak, czy jednak dom nie był za dobry.

W sumie jednak fajnie nam ze sobą – mieszkając pod 13 i mając czarnego kota mam opinię ekscentryka, a więc wolny jestem od misjonarzy różnych kościołów (żaden nie był więcej niż raz), a także od akwizytorów i innych sprzedawców cudów. Czarek ma tą niezaprzeczalną zaletę, że towarzyszy mi przy każdym otwarciu drzwi i lustruje przychodzących. Osoby zabobonne oraz wierzące w pecha nie przychodzą. Nawet listonosz przestał mi doręczać pocztę, co zresztą mnie nie martwi, bo z reguły to wezwania do zapłaty oraz pisma sądowe od komornika.

W ciągu tych paru lat jakoś udało się nam wypracować kompromisy. Lubimy razem oglądać filmy. Ja lubię komedie i sensacje, Czarek woli romanse i reklamy. Nie lubi natomiast filmów wojennych i szybkich motocykli. Po tym, jak kupiłem zestaw kina domowego z porządnymi kolumnami długo nie wchodził do dużego pokoju, nie mogąc zlokalizować źródła dźwięku. Zepsuł nawet mi dwa razy DVD, ale w końcu dogadaliśmy się – ja nie puszczam filmów wojennych gdy on jest w pobliżu, a on nie skacze mi z parapetu centralnie na korpus, z naciskiem na „centralnie”.

Większy problem miał (to dobre słowo!), jak zmieniłem monitor ze zwykłego na LCD. Kot bardzo lubił wylegiwać się na starym monitorze. Kiedy po zamianie monitora wpadł do ciemnego pokoju, usłyszałem straszny hałas. Pobiegłem szybko, zapaliłem światło i oczom moim ukazał się dość komiczny widok. Czarek wisiał w plątaninie kabli za biurkiem, w miejscu gdzie stał stary monitor. Nie mógł się ruszyć ani w lewo, ani w prawo, bo blokowały go wspomniane kable oraz mała szczelina między biurkiem a ścianą. Popatrzyłem chwilę, pośmiałem, a potem go uwolniłem. Tygodniowa dawka śmiechu była zaliczona.

Stało się to być może dlatego, że Czarek uwielbia oglądać transmisje sejmowe. Dlatego nie pozwalam mu za dużo tego oglądać, choć jest tak sprytny, że sam potrafi odnaleźć właściwy kanał. W zasadzie to zastanawiałem się, czy może go nie puścić w „posły” no bo zawsze elegancki, postawny, mądry, inteligentny, zwinny i się interesuje obradami bardziej niż większość posłów, ale w końcu żal mi się go zrobiło. Miałbym swojego kota dać na zmarnowanie? A poza tym widziałem jak organizacja walcząca o prawa zwierząt rozprawiła się ze znajomym, który wysłał psa do kiosku tylko po gazetę. Wiadomo jaką. Strach się bać. I tak żyjemy sobie w symbiozie – on pilnuje mieszkania, ja zarabiam na utrzymanie, ja sprzątam, on łapie muchy i komary. Nie wiem co zrobić, jak go zabraknie. Chyba zmienię mu baterie. Na alkaliczne. Ale póki co, lepiej mieć kota w domu, niż w głowie. No chyba, że się zaprzyjaźnią, ale to już temat na inne opowiadanie...

DOMOFON

Grupa sąsiadów postanowiła założyć w naszym bloku domofon. Zorganizowano zebranie, na którym poinformowano pozostałych mieszkańców, że trafiła się niebywała okazja, że będziemy mieli dofinansowanie spółdzielni, a domofony to najnowsza generacja, które jakimś cudem znalazły się u kuzyna, żony brata szwagra sąsiada. One są z NATO i mają rewelacyjny algorytm rozpoznawania – nie trzeba nawet mieć klucza. Wystarczy odcisk palca, dno oka albo nawet chuch. No i mają 50-letnią gwarancję księżycową. Gwarancja przeważała szalę. W szale entuzjazmu podpisano zgodę na domofon „made in” NATO.

Później wspomniano, że ten miesiąc przed ostatecznym oddaniem domofonu do użytku to był najszcześniejszy miesiąc w życiu naszego bloku. Ale to okazało się dużo później...

Nie powiem, panel sterowania (czy jak zwano to nowocześnie - „interface”) robił wrażenie. Świeące diody, łagodna muzyka, awangardowy „design”, modna kolorystyka sprawiła, że cieszyliśmy się urządzeniem, tak jak dziecko cieszy się nową zabawką, a polityk serem. Przy montażu nie było nawet kłopotów, tylko dziwiły nas trochę badania krwi, DNA oraz zdejmowanie odcisków palców, ale skoro były w cenie.... Każdy z nas otrzymał małe urządzenie, wielkości pilota do autoalarmu, które należało przypiąć do klucza. I już, po niewiele ponad miesiącu domofon oddano do użytku.

Tak się (nie)szczęśliwie złożyło, że miałem ten (nie)wątpliwy zaszczyt być jego pierwszym użytkownikiem. Pracuje od 6 rano, więc koło 530 wyszedłem z mieszkania i chciałem wyjść z bloku. Drzwi były zamknięte. Nacisnąłem przycisk pilota. Z głośnika odezwał się miły, damski głos, z lekką cudzoziemskim akcentem. Proszę chuchnąć do czujnika. Chuchnąłem. Głos powiedział, że nie wypuści mnie, ponieważ nie wymyłem zębów, a poranna higiena jamy ustnej to podstawa zdrowego trybu życia.

Nie potrafiłem wyjaśnić kierownikowi przyczyny spóźnienia i za karę musiałem siedzieć dwie godziny dłużej. Kiedy wróciłem do domu, zauważyłem pod blokiem tłum żywo gestykujących sąsiadów. To skandal, jak tak można, co ona sobie myśli! - usłyszałem pojedyncze głosy. Okazało się, że nie tylko ja miałem dziś kłopoty. Sąsiada nie wypuścił z domu, ponieważ wykrył u niego niedopuszczalny poziom alkoholu, do sąsiadki nie wpuścił znajomego, stwierdzając nieobyczajne zachowanie, inna znowu sąsiadka nie mogła wejść do domu, ponieważ zostawiła dziecko na polu bez opieki. Nie pomogły tłumaczenia, że ona tylko na chwilę, na siusiu i że zaraz wraca.

Wezwano technika. Przyjechał, skalibrował urządzenie i powiedział, że w zasadzie to jest urządzenie testowe i dlatego jest tak tanio. Nie powiem, po kalibracji urządzenie przez jakiś czas sprawiło się dobrze. Zrobiliśmy przy drzwiach półeczkę, gdzie była pasta do zębów, miętówki, świeża krew (do badań), czyste powietrze w aerozolu, sztuczne oczy i tym podobne gadżety, potrzebne w każdym domu.

Niestety, natowski domofon okazał się być urządzeniem samouczącym. Dbał o nasze zdrowie, nie wypuszczał po następną flaszkę, nie wpuszczał dostawców pizzy po 23, konfiskował kluczyki do samochodów, gdy miało się cokolwiek we krwi. Znał nasze kody DNA, potrafił ustalić kto i na co choruje, na co może być zagrożony i zaczął cenzurować nasze zakupy. W pierwszej kolejności odrzucił sól, cukier oraz używki. Na szczęście pozwalał na niewielkie ilości alkoholu. Następnym krokiem była regulacja naszego trybu życia (gaszenie światła o 22), cenzurowanie stacji telewizyjnych, że o Internecie nie wspomnę.

Postanowiliśmy działać! Umawialiśmy się koło śmietnika i radziliśmy co robić. Nie można było iść tłumnie i długo się naradzać, bo ANIOŁ (tak go nazwaliśmy) znał nasz rozkład dnia i bezlitośnie rozliczał z każdej minuty, podsłuchiwał rozmowy telefoniczne oraz pocztę elektroniczną. W końcu udało się znaleźć ochotnika-samobójcę, który spróbuje zniszczyć urządzenie.

W nocy obudziła nas potężny łomot, potem syrena a następnie komunikat (wygłaszany w 5 językach), by stawić się przez domem. Stawiliśmy się. Nasz dzielny ochotnik był spowity siecią z polipropylenu, a jednostki policji były już w drodze. Nie daliśmy jednak za wygraną i podjęliśmy walkę z łobuzem. Przez następny okres próbowano kolejno: zamachu bombowego, wpuszczenia wirusa, potraktowania prądem bardzo wysokiego napięcia, ptasiej grypy, „papo”, „szmato, „gazo” oraz transmisji obrad sejm. I to ostatnie to był strzał w dziesiątkę! System nie zniósł takiej ilości fałszywych danych i po pół roku gehenny udało się nam zniszczyć wroga, a wszyscy odetchnęli z ulgą.

Dlatego też Wysoki Sądzie, proszę o wzięcie pod uwagę wymienionych przeze mnie okoliczności łagodzących i nie karać srogo za zrzucenie ze schodów akwizytora sprzedającego domofony i nowoczesne systemy monitorujące.

Dziękuję

P**A****T****C****H****O****O****R****K**

czyli

przeobrażająca TworczośĆ własna

Wycieczka do Mandżurii

W dzisiejszym odcinku poradnika przedstawimy zajęcia praktyczno-podowe z cyklu zalecanych przez Ministerstwo Edukacji Wszechpolskiej wycieczek do miejsc patriotyczno, prawda, kultowych. W tym celu zabierzemy osiemnastu wymagających resocjalizacji uczniów na wycieczkę pieszą po Mandżurii, śladami bohatera narodowego Jacka Marii Poszepczyńskiego. Kto odrzucił zadanie domowe o Mandżurii? Tylko Zygfryd? Pokażcie no... Pała, widać, że bezmyślnie ściągałeś z encyklopedii...

No dobrze... Tu do mamy buddyzją świątynię. Uczeń Zygfryd powie, jaki procent ludności Mandżurii stanowią buddyci... Żle, pała. A zresztą, może i dobrze... Buddyci są ludźmi łagodnymi i chętnie witają gości w swojej świątyni, o ile nie wyżera się ofiarnego ryżu z dżemem sprzed posagu Buddy... Co ja mówię? Nie wyżera... No nie wyżera... No trudno, niech pozostała trzynastka... Aha, Stefan też... No to pozostała dwunastka pójdzie za mną. Przejdziemy teraz przez charakterystyczne dla Mandżurii zarosła bambusowe, gdzie można spotkać przedstawicieli lokalnej fauny. Uczeń Cezarian, żadnych zdjęć. Nie podchodzimy... No nie podcho... Tygrys, zostaw dziecko! Puść mu szyję! Puść mu... No, teraz możesz już puścić... A wy chodźcie za mną, idziemy przez pole ryżowe, na którym Mandżurowie uprawiają, jak sama nazwa wskazuje, swoją żelazną miskę ryżu... Ale nie na skróty Fasiol, tam jest grząsko... No nie idźcie za nim, bo was wciągnie... A.. Aha... Pozostali ustawiają się w trzy pary i idziemy rzucić przyłowiowym dkiem na Jangce, która, jak to już zdążył Delewski powiedzieć, jest największą rzeką Mandżurii. Nie wyrrywajcie się tak, Delewski, przed nauczyciela, bo znowu dostaniecie pałę... O, tu jest bezpiecznie, jest barierka... No po co przelazisz? Nie pchajcie się, tu jest głęboko... A nie mówiłem...

A wy, Delewski, chodźcie za mną, pokażę którądy z Mandżurii można przepłynąć do Japonii, jak w niezapomnianym roku... Ale nie wplaw, Delewski, nie wplaw. Tu są rekiny... Niech ta ryba go zostawi... Niech ryba go odda, ja go mam na stanie... A, dobra tam... Smacznego...

(Brawa)



HISTORYCY O „RYCERZACH TRZECH, CO GNĘBIŁ ICH PECH...”

"Kamieniec Podolski leżał w podolku Królestwa Polskiego od roku 1434. Ufortyfikowany i obsadzony załogą (sadzeniakami) przez Kazimierza Jagiellończyka zaczął odgrywać ważną rolę w obronie układu Rzeczypospolitej. W XVI wieku kamienieckie fortyfikacje rozbudował król Stary Zygmunt i Stefan (Bolcman) Batory. Twierdza powstała na skalistym ćwierćwyspie w kształcie obróconego koła z trzech stron otoczonym rzeką Smotycz, a z pozostałej strony obudowanej makietami z serialu "Czarne chmury"

W trzeciej połowie XVII wieku wybudowano fortyfikację bastionową tzw. nowy zamek składający się z murów oporowych i półprzewodzących. Zamiast baszt wyposażono je w przenośne toalety typu Toi Toi, których aromaty (nie mylić z armatami) mogły razić wroga na znaczną odległość. Tak usytuowana i obwarowana forteca uchodziła za niezdobytą i przerastała orientację przestrzenną współczesnych. Tak według ministra edukacji twierdzę opisywała Maria Konopnicka w wierszu pt. "Pan (Tadeusz) Wołodyjowski". Gdy w roku 1621 należący do antypolskiego układu turecki sułtan Osmam II spytał kto tę twierdzę zbudował usłyszał odpowiedź: "sam Bóg cudownymi okolicznościami przyrody w dodatku niepowtarzalnej" odpowiedział: "no toście się nie wysilili przy budowie" i sobie poszedł.

Pięćdziesiąt lat później twierdza była urządzona po polsku (dziurawe drogi dojazdowe z koleinami, nadkruszone mury i przepełnione toi toi) a załoga była chuderława. W 1672 r. wobec miazdzącej przewagi wroga (najeżdźca był jeden a obrońcy byli sami) Kamieniec podolski skapitulował. Rozmyślnie po pijanemu lub przypadkiem po pijanemu obrońcy wysadzili wówczas twierdzę, której tak zostało aż do 1863 r.

Tymczasem furtkę Rzeczypospolitej próbowała sforsować armia tak olbrzymia, iż nie mogła się przez nią przecisnąć. Polacy wiedzieli o zbliżającym się zagrożeniu, gdyż Turcy sami negocjowali poprzez posła dr. Ach Meda otwarcie granic dla ich taniej siły bojowej. W paszczy niebezpieczeństwa Hetman Jan 40% Sobieski postulował w sejmie wzmocnienie twierdzy w Kamieńcu, ale sejm miał ważniejsze sprawy na głowie (budowanie większości i tropienie czyj dziadek służył w Szwedwaffe) więc nie zajmował się takimi dupperelami jak obronność. Poza tym stwierdzono, że przy ówczesnym stanie dróg żaden najeżdźca daleko nie ujedzie. Niestety Turcy okazali się cwańsi i zamiast drogą pojechali po dnie Dniestru. Tymczasem obsada Kamieńca składała się z kilkuset piechurów bez jazdy, za to z dwoma odjazdowymi chorągwiami: polską i mandżurską. Nawet gdy biskup krakowski Andrzej Trzebicki dał na przechowanie oddział piechoty, żołnierzy było mniej niż darmowych minut w taryfie Kubali. Choć dowódca broni chemicznej dysponował licznymi, pełnymi Toi Toi posiadał tylko czterech toaletowych. Dopiero casting na idola Kamieńca pozwolił zebrać przeszło 3000 żołnierzy.

W sumie w mieście zebrało się 8000 ludzi, z czego tylko 1/4 stanowiły kobiety. Historycy jednak nie są pewni, czy ta dysproporcja świadczy o preferencjach ówczesnego rycerstwa, czy też jest efektem obrotności białogłów (w tym panien z rodu Wołodyjowskich).

Jerzy Wołodyjowski herbu "Korczak wykreślony z listy lektur szkolnych", urodził się w 1620 r. Choć mieszkańcy twierdzy zwali go półkownikiem pełnił rolę całego stolika przemyskiego. W 1662 nieopacznie ożenił się z Krystyną z Jeziorkowskich, która już trzech mężów się pozbyła. W odróżnieniu od książkowej prawdziwa pani Wołodyjowska opuściła swojego męża rzekomo "za potrzebą" zabierając ze sobą wszystkie (również cudze) pieniądze i kosztowności, oraz zapisy na wypadek śmierci męża i pozostałej części męskiej załogi.

Ponieważ Michał "Szkorbut" Wiśniowiecki był zajęty badaniem afery odrolnienia fortalicji nie wyznaczył kierownika twierdzy. Obowiązek ten spadł na starostę (w zasadzie generalnego) Mikołaja Potockiego. Miał on do dyspozycji rotmistrza Jerzego Wołodujowskiego, grunmistrza Wojciecha Humieckiego i schwarzmistrza Kazimierza Myśliszewskiego którym kazał pilnować twierdzy. Z kolei obokkomorzeżo latynoskiego Hieronima Lanckorońskiego i dwieścielnika (stolnik w dwóch osobach) Stanisława Makowieckiego i Jan Grodeckiego skierował do kierowania obroną miasta.

W oczekiwaniu na wroga z nudów przystąpiono do wzmacniania trunków spożywanych na murach i wałach, gromadzono żywność, wodę i papier toaletowy do Toi Toiów. Wołodujowski i Humiecki pojechali na kurs językowy aby języka pozyskać. Gdy ruszyli na odsiecz Żwańcowi, wnet okazało się, że jest on oblegany głównie przez nieżyczliwego wroga, pospiesznie powrócili więc do twierdzy nie ze strachu, lecz aby wrogowi fortel zadać.

W 1/3 sierpnia za namową mieszczan, (zapowiedzieli że każdemu rycerzowi nierobowi utną to i owo) zorganizowano zwiad, by sprawdzić czy jakiegoś wroga przy zamku nie ma. Pojmano wtedy dwóch janczarów handlujących jantarem, którzy powiedzieli że niebawem sułtan się zwali, i to nie sam, więc nawet Toi Toie nic nie pomogą i obrońcy Kamieńca mają przes... W każdym razie obu janczarów przesłano pocztą jako dowody rzeczowe nadszyciągającej nawały tureckiej. Jednak na dworze królewskim, zajęty walką z opozycją (skąd to znamy?) uznano, że są to Ormianie impotenci a nie żadna potencja Tatarska.

Tymczasem 12 sierpnia zjawiły się pigmejskie zwiady tatarskie, o które potykali się dzielni dragoni Wołodujowskiego. W 3 dni później nadszyciągnął pod Kamieńcem sobie ścięgnął wielki wezyr Ahmed Koprolit, jednak nie od razu zaczął domagać się odszkodowania od kamienickiej załogi. Najpierw otworzył pole namiotowe pod zamkiem a następnie wbrew swojemu nazwisku rozpoczął oszczał twierdzy. Wkrótce z namiotami rozbili się chan tatarski Selim Girej i koszowy noszony hetman Piotr Dorszenko co dorse miał na sonej piersi wymaliowane

Na polu namiotowym koło Kamieńca zjawiało się pełno wojska, co według Stanisława Makowieckiego wyglądało tak, że "od świtu do nocy bez przystanku prawie do obozu wchodzili. Rozstawiali wojska i rozbijali namioty". Fakt iż "prawie wchodzili do obozu" ale wejść nie mogli należy zapewne tłumaczyć dającym się wyczuć w obozie problemami sanitarnymi w obozie, a namioty mieli wtedy nietłukalne. Nic zatem dziwnego, że "była tych namiotów moc taka, iż się (...) pola naokół pokryły". Naprzeciw siebie stanęły nieliczne Toi Toie obrońców kamieńca i wszechobecne latryny tureckie.

18 Sierpnia pod twierdzą pojawił się sam dr. briologii Mech Med 4 RP, co oznaczało koniec wszelkiej nadziei i początek szturm. Turcy sypali szańce na których rozprzestrzerali aromaty, robili podkopy, w których zostawiali kupy i inne "miny" i próbowali wysadzić nowy zamek (jako niemowlę). Mieli w swych szeregach fachowców ze zgniętego zachodu, którzy uczyli ich wykorzystywać zdobycze najnowszej sztuki oblężniczej i abstrakcjonistycznej. Między innymi uczyli ich rzucać granaty (zamiast zawleczek) podczas szturm i poprawnie komponować bitewne krajobrazy.

Jak bywa w takich wypadkach wnet okazało się, że dowódcy Wołodujowski, Humicki i Myślenicki akurat na odpieraniu natarć na mury zupełnie się nie znali. Braki umiejętności (w tym umiejętności oblężniczych) musieli więc nadrabiać brawurą.

(Psiakostka)

Saga o Chrzaszczewskim

Remigiusz Chrzaszczewski, profesor entomologii gastronomicznej, jak co dzień obudził się ok. południa.

Czytelnik #1: Ale banalny wstęp! Nie mogłeś wymyślić nic lepszego?

Autor: Łojezu! To dopiero jedno zdanie!!!

Czytelnik #1: No dobra, to czytam dalej.

Od ponad 5 lat spał w specjalnie skonstruowanym łóżku-kokonie. Składało ono się z betonowej platformy o wysokości 1,2 m oraz foliowej moskitiery wykonanej z surowców wtórnych. Cztery metalowe obejmy uniemożliwiały Remigiuszowi jakikolwiek ruch, podobnie jak mieszanina substancji paraliżujących, którymi musiał z konieczności oddychać. Ciśnienie gazów dostarczanych z zewnętrznej instalacji wraz z gazami naturalnymi RCh skutecznie zapobiegało przedostawaniu się do wnętrza namiotu-moskitiery powietrza atmosferycznego.

Czytelnik #1: No, już trochę lepiej, ale czemu ma służyć to całe ustrojstwo?

Autor: Remigiusz nie potrafi oddychać powietrzem atmosferycznym, co skutecznie izoluje go od społeczeństwa oraz powoduje skrajną frustrację. Jego poziom agresji jest tak wysoki, iż jedynie gaz paraliżujący umożliwia mu w miarę normalną egzystencję.

Czytelnik #1: A co z tlenem? Czyżby był wielokomórkowym beztlenowcem? To chyba ewenement na stale światowa???

Autor: Nie, nie, pod względem biologicznym jest zupełnie normalny, jednak jego krew musi być natleniana pozaustrojowo, właściwie jest to typowe płuco-serce, choć nie pełni roli zewnętrznych komór serca.

Czytelnik #2: Czy oznacza to, iż nie może on opuścić namiotu gazowego?

Autor: Owszem. Komunikuje on się ze światem zewnętrznym wyłącznie za pomocą komputera i interkomu.

Czytelnik #3: I co dalej?

Był środowy poranek. Słońce jak zwykle przebijało się przez 4 kilometrową warstwę smogu wiszącego nad miastem Warschau. Hr. Helmut Kaulquappe otworzył oczy i ze zdurnieniem stwierdził brak swojego stymulatora mózgu „Hirn 2DX”. Od 10 lat cierpiał on na obłąd pourazowy, którego nabawił się na koncercie bardzo w jego kraju popularnej grupy „Tränen”.

Przypadek ów zainteresował dobrze już nam znanego Remigiusza Ch, bowiem Helmut z wielkim zaangażowaniem wyspecjalizował się w udawaniu żuka-gnojojada, larwy stonki ziemniaczanej oraz karalucha patagońskiego, będącego przysmakiem tubylców (w Patagonii).

Czytelnik #0,6: Która godzina?

Czytelnik #2: 10:28

Czytelnik #0,6: Thanks

Czytelnik #3: Cholera! Czas na biografię człowieka dnia! Włącz Radio Rubbish!

Radio Rubbish: Waldemar Dziobak urodził się 21.12.1974 r. w mieście Dwumłyn Kościelny w powiecie moczarowskim. Od najmłodszych lat interesowało go rozpoznawanie drzew z dużej odległości oraz plucie na odległość cukierkiem miętowym. W wieku lat 6 rozpoczął naukę w klasie 0 miejscowej szkoły podstawowej. Był dość trudnym uczniem; już dwa tygodnie później został oskarżony o kradzież,

ugotowanie i konsumpcje świnki morskiej "Renia" z pracowni biologicznej. Czyn ów nie został mu jednak nigdy udowodniony z powodu braku motywu oraz nie znalezienia resztek ciała Reni. W wieku lat siedmiu Dziobak założył zespół punkrockowy "Syfersi", który odbywał próby w budynku starej szkoły, niedaleko kościoła. Obsceniczne teksty grupy oraz wyzywająco-kloaczno-wymiotny image formacji był powodem ostrej spięć między Dziobakiem, a miejscowym proboszczem, będącym właścicielem budynku szkoły.

Czytelnik #0.6: Nudy, a co w Radio News?

Radio News: Szef kancelarii prezydenta RP Maksymilian Wiatrak-Zawietrzny został ciężko ranny w wypadku busa pod Krakowem. Na samochód, w którym podróżował minister z ogromną prędkością najechał walec drogowy kierowany przez Henryka G., znajdującego się pod wpływem alkoholu. Henryk G. w czasie aresztowania znieważył funkcjonariuszy Policji, prezydenta Waleriana Wyjąćśliskiego oraz członków grupy „Syfersi”.

Bzdęk bzdęk Radio News! Newsy dla Ciebie! Bzdęk up

Polski duet fortepianowy Gryzłó-Twardo zdobył I nagrodę na przeglądzie duetów fortepianowych "Double Piano" odbywającym się od 1 maja w Ułan Bator. Polscy artyści wykonali utwór "Tribute to Wombats" skomponowany przez Wojciecha Zapalbułkowskiego.

Bzdęk bzdęk Radio News! Newsy dla Ciebie! Bzdęk up

No to pora na reklamę:

MORDODARLOX

**UNIVERSALNY ZAKŁÓCACZ SPOKOJU
PUBLICZNEGO I CISZY NOCNEJ**

Za jego pomocą: 1. Wkurwisz sąsiadów, 2. Wypłoszysz myszy i inne szkodniki, 3. Pozbędziesz się żony/męża.

Urządzenie w pełni konfigurowalne, możliwość współpracy z komputerem PC.

www.wrzask.com.pl/mordodarlox

(Jak na razie autor boryka się z następującymi problemami (piszę skrótowo):

1. Protest menadżera grupy "Syfersi", który od dziś przekształcił się w strajk głodowy (postulatów nadal nie poznałem).
2. Oficjalna nota protestacyjna ambasady Niemiec (treści nie znam, gdyż dla oszczędności została napisana po chińsku).
3. Brak dżemu.
4. Protest Maksymiliana Wiatraka-Zawietrznego (zdrada tajemnicy państwowej).
5. Nie ma punktu piątego.
6. Protest środowisk gejowskich (różowy papier, brak treści - nie znam się na tym).
7. Protest prawdziwych obywateli IV RP (biały papier, tekst w języku łacińskim).
8. Brak dżemu.
9. Patrz punkt piąty.

(Leon74)

Trzy
wesołe
historie
o
podskokach

Historie są bezsensowne,
łączy je tęsknota do niesłyszanych jeszcze odcinków Rodziny Poszepczyńskich

RAZ

Wstęp:

Krzysztof Demeszuk jako młody praktykant miejskiego wydziału urbanistyki, mógł już wprawdzie korzystać z windy, ale wciąż jeszcze odmawiano mu prawa do korzystania z krzesła. Siadał więc przy biurku na niestabilnej sterce zapomnianej dokumentacji projektowej.

Krzysztof dotkliwie odczuwał rozliczne szykany ze strony bardziej doświadczonych kolegów. A to sztuczne oko w herbacie, a to

nieświeży ser Edam w kieszeni pozostawionej w szafie marynarki. Pocieszał go tylko widok kotów barszkujących na ciepłym dachu garażu za oknem pracowni, oraz nagrania rodziny Poszepczyńskich, których słuchał bez końca na swym rozklekotanym walkmanie KAJTEK produkcji radomskich zakładów elektrotechnicznych i morskich RADMOR.

Część wesoła:

Pewnego razu pewien klient zapragnął odwiedzić pokój kreślarski miejskiej pracowni urbanistycznej - chciał się upewnić o profesjonalizmie kontrahenta i odejść w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Kierownik pracowni zareagował na te propozycje nerwowo poluzniając kołnierzyk zaciśniętej krawatem koszuli. Wiecie, ten ruch zagiętym palcem wskazującym - powolne i głębokie pociągnięcie po obwodzie styku kołnierzyka i szyi. Trudno. Poszli więc w stronę drzwi oznaczonych napisem KREŚLARNIA, po ich otwarciu w środku zapanował pewien popłoch - dało się słyszeć gwałtowne szuranie przestawianych sprzętów, brzdęk upuszczanych herbat, miękki świst ekierki wnikałej ostrym końcem w kiszkę pasztetowej. Klient w asyście kierownika wszedł powoli i głęboko do mrocznego pokoju pełnego zakurzonych niewyraźnych postaci. Pierwszy z brzegu niepewnie bujał się na sterce zapomnianych teczek Krzysztof - w ekstatycznym uniesieniu dociskał do głowy słuchawki i bezgłośnie poruszając ustami, wsłuchiwał się całym sobą w dialogi, krzyki, piosenki i szczenie wiernego psa Murzyna. Cenny kontrahent podszedł do niego powoli i delikatnie przyłożył ucho do słuchawki Krzysztofa. Dobiegły go wesołe śmiechy i fragment dialogu: >>> i bila mnie po nogach obcęgami <<< potem >>>ja bym nie mógł mieć tego no Hu He <<<. W pokoju zrobiło się dziwnie cicho, przez co teraz wszyscy mieli okazję słyszeć dobiegającą ze słuchawek audycję.

- On tego tak słucha przez cały czas, odkąd tu jest proszę pana, ciągle w kolko chyba tylko 10 odcinków - tyle co na płytach wyszło

- Ciągle w kolko tego samego?

- No niestety, obawiam się że te audycje są trudno dostępne

- Może są gdzieś w Internecie?

- Podobno jest jedno miejsce - ale trudno dostać hasło do serwera

- Ależ dlaczego?

- Obawiam się, że podobna działalność dystrybucyjna jest nielegalna, najprawdopodobniej

- Rozumiem, biedny młody człowiek
- Faktycznie, beznadziejna sytuacja
- Tak
- No tak
- Może z czasem sam dopisze sobie jakieś nowe odcinki.
- Może sam je zagra i wyreżyseruje?
- Możliwe, póki co proszę jednak zwrócić mu uwagę na konieczność częstszego używania mydła i dezodorantu. Jak tak się przy nim pochylałem żeby posłuchać, no cóż - to czego doznałem - mogło by zainspirować Patryka Siskinda do napisania Pachnidła, jednak w codziennej pracy biurowej może być dosyć uciążliwe dla współpracowników.

DWA

W historii drugiej podobnie jak w pierwszej i trzeciej - chodzi o naszkicowanie portretu duszy znękaney tęsknotą do niesłyszanych jeszcze odcinków Rodziny Poszepszyńskich.

Podobnie jak pierwsza, zacznie się niepozornie i niespiesznie będzie zmierzać do statecznego i nudnego zakończenia bez suspensu i bez morału.

Właściwie już na początku zdradzę zakończenie - historia będzie zmierzała do ukazania konfliktu higienicznego pomiędzy dzieckiem rodziny robotniczej i dzieckiem rodziny inteligentkiej. Oto podczas wykonywania ćwiczenia gimnastycznego nazywanego CZOŁGIEM - jeden z jego uczestników odkryje brązową kreskę na majtkach kolegi, przybliżoną niebezpiecznie blisko jego nosa na skutek specyfiki wyżej wymienionego ćwiczenia.

Wstęp:

Oto szkoła podstawowa numer 11 w Głogowie, rok 1984.

Głogów jako jedno z miast Legnicko - Głogowskiego okręgu miedziowego, jest szczerze zaopatrzone w szkoły podstawowe obsługujące dzieci licznie zgromadzonych tu z całego kraju robotników hutniczych i kopalnianych. Jako że robotnik wymaga rozbudowanej opieki serwisowej - pojawiają się również w rzeczonym mieście lekarze, urzędnicy, nauczyciele, prawnicy, wytwórcy chemicznie barwionych oranżad w workach foliowych i napełniacze syfonów. Powoduje to liczne mezalianse - jednym z najbardziej dotkliwych jest wspólne pobieranie nauk w szkołach podstawowych przez dzieci wszystkich stanów.

Część wesoła:

Oto klasa 4c - na dzisiejszych zajęciach WF pan Grofik nauczy dzieci wykonywać tak zwany CZOŁG. Dzieci dobierają się parami, jedno kładzie się na parkiecie drugie staje stopami koło jego uszu i opada na czworaka chwytając tego leżącego za kostki. Ten na ziemi też chwytą tego nad nim za kostki nóg no i ten u góry rzuca się do przodu pociągając za sobą tego z ziemi no i tak czołgują do przodu. To trudne do opisanie - ale działa. Niestety - ćwiczenie choć bardzo spektakularne optycznie, bywa uciążliwe dla uczestników pod względem olfaktorycznym, ponieważ często dosłownie muskają nosami nawzajem własne odbyty. Tak więc w jednym czołgu dobrali się robotniczy syn Krzysztof Kozłowski z dzieckiem wrażliwym i inteligentnym - kryształowym i prawie przezroczystym Dariuszem Goldliebem. Krzysztof podle standardów domu robotnika rolnego awansowanego gwałtownie do klasy robotniczej, unika wody - chyba, że w pobliżu jest rzeka lub staw.

Tu przypomniał mi się wiersz:

*smutno dzisiaj w naszym stawie,
smutne karpie i ukleje
- 9 krów do stawu leje*

(przepraszam)

Dariusz przeciwnie - jest kąpiany często i brutalnie przez gosposię, która skrupulatnie odciąga mu skórkę i dokładnie szoruje wszelkie zakamarki.

Tak więc dwaj ci chłopcy toczyli się czołgiem. Jeden beztrąsko, drugi błady i wyraźnie znękany.

Przyglądający się sali gimnastycznej pełnej czołgów pan od WF jest myślami przy swoim radioodbiorniku i kreci gałką w poszukiwaniu stacji programu trzeciego polskiego radia.

Odkrył on niedawno Rodzinę Poszepszyńskich i żyje od jednej audycji do drugiej. Jego życiowym dramatem jest fakt, że nie zna poprzednich kilkudziesięciu odcinków, emitowanych od roku 1971.

Nie śpi przez to po nocach i desperacko pisze do prasy i radia aby dorwać się do słuchowisk swoich marzeń.

Jakże rozweseliła by go myśl, że już za dwadzieścia lat wszystko co zamarzy będzie mógł ściągnąć po telefonicznym kablu, jedyne czego będzie jeszcze potrzebował to hasło dostępu do eftpą.

Póki co jednak, macha w zamyśleniu gwizdkiem. Nagle wykrzykuje:

- Co się tak wyginasz Goldlieb?! Prosto mi tam i bez kręcenia nosem!

TRZY

o już trzecia i ostatnia historia o podskokach.

Może faktycznie trudno się było doszukać obiecanych podskoków w poprzednich odcinkach.

Teraz więc przejdę do sedna i opowiem wyłącznie o skakaniu.

(teraz na koniec zobaczyłem, że nie zawsze używałem polskich liter - przepraszam, nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie)

(uprzedzam, że w tym tekście nic się nie dzieje)

(to będzie trudniejsze do przeczytania niż jedna kropka)

Od razu, bez wstępu i rozwinięcia przechodzimy do części właściwej czyli wesołej:

Część wesoła:

- Proszę, niech pan podskoczy jeszcze raz

- Ja?

- Tak, pan

- Proszę bardzo

(skacze lekko obunóż)

- Dziękuję, teraz ten pan koło pana

- Ja?

- Nie, nie pan, ten pan z drugiej strony tego pana co skakał

- Czyli ja?

- Tak, pan.

- Mam skakać teraz tak?

- Tak, proszę podskoczyć

(skacze, ale jakoś tak okrakiem)

- Dziękuję panu. Teraz poproszę o podskok pana przy stoliku z napojami

- A który to ma być, bo nas tu stoi kilku i pijemy sobie napoje

- Czy któryś z panów może już się napił?

- W sumie to ja może się już napiłem

- To proszę, niech pan teraz podskoczy

- Oczywiście. Uwaga - skaczę

(podskoczył przyjemnie)

- Bardzo panu dziękuję. Teraz poproszę o mały skoczek pana przy słupie

(cisza)

- Pana przy słupie, halo, proszę pana

(cisza, pan przy słupie coś się zamyślił)

- Przepraszam najmocniej pana - tego przy beczcze z jesiotrami

- Ja, mnie?

- Tak pana, czy byłby pan tak uprzejmy i szturchnął pana przy słupie?

- Oczywiście, nie ma problemu

(podchodzi do pana przy słupie)

- Halo, przepraszam pana

- Tak?

- Tamten pan pana woła

- Tak? Któren?

- A ten tam

- Tamten? Halo? Pan mnie wołał?

- Tak wołałem, poproszę pana o podskok

- Mnie? Już skacze, oczywiście - proszę bardzo

(skacze z lekka na jednej nodze)

- Dziękuję panu. Teraz poproszę o uwagę pana przy trzymetrowym szklanym kontenerze formaliny zawierającym słońca w przekroju podłużnym

- Mnie?

- Nie, nie pana przy suszonej żyrafie - tamtego pana przy słońcu

- Ja? Mnie pan wołał?

- Nie, nie chodziło mi o pana, kiedy będę wołał pana powiem: pan przy przetrząsaczko-zgrabiarence firmy Jugenfrau proszony jest o podskok - ale teraz mi nie chodzi o pana tylko o tego pana przy słońcu

- To mnie pan woła?

- Nareszcie, tak pana - czy byłby pan łaskaw wykonać dla nas podskok?

- Wie pan, podskoczył bym bardzo chętnie, ale ten co stoi przy zdjęciach z powiększeniami czyraków

strasznie coś do mnie macha

- Ja macham bo pana wołają

- To już pan nie musi

- To jak nie muszę to dziękuję, już przestaje, a może mógłbym podskoczyć?

- Nie nie, teraz pan nie - teraz pan przy słońcu w formalinie

- Ja?

- Tak - skoczy pan, jak ten drugi pan już do pana nie macha?

- Bardzo chętnie, pozwoli pan jednak, że najpierw zapytam tego co skakał przedtem czy to jest bezpieczne?

- Oczywiście, zawołam go dla pana

- To może ja się przejdę, niech pan nie woła

(podchodzi do tego przy słupie)

- Panie, jak pan tak skakał - to jak było, normalnie, bezpiecznie, nic pana nie boli?

- Nie no, dziękuję - w porządku, trochę się na początku wstydzilem i udawałem, że nie słyszę - ale w

sumie to mówię panu - nic strasznego.

- Acha, bo ja wie pan, też trochę udawałem

- Zupełnie niepotrzebnie

- No dobra, to wracam

- Dobrze, to na razie i śmiało do przodu, nie bać się

- Dobra, dzięki, no leczę

- Okej

- No to cześć

- No fajnie, trzymaj się

(kilka chwil ciszy)

- E, a w sumie to pokazał byś mi jak tak skakałeś? To od której nogi zacząłeś?

- Ach, zapomniałem. Ale zaraz, zaraz - jak to było - chyba od lewej - o tak

(skacze)

- To ja stanę koło ciebie, to mi jeszcze raz pokażesz, dobrze?

- Oczywiście, proszę bardzo

(stają obok siebie)

- No to teraz z lewej nóżki - hop - i proszę nic trudnego

- Faktycznie łatwo wygląda - a mógłbym się do ciebie bliżej przysunąć? Tak ładnie pachniesz.

- Ależ proszę bardzo, pachnę bardzo ładnie i tu i tam

- Tak? A tam to jak?

- No tam?

- Acha

- No to ja nie wiem czy tak przy tych wszystkich tu osobach to wypada

- Panowie! Halo!

- Tak?

- Aha?

- Czy pan od słonia mógłby wrócić na swoje miejsce, bardzo proszę

- Już lecę, lecę.

(na stronie)

- A jak ty masz właściwie na imię pięknopachnotku mój?

- Marcin, a ty?

- A ja Mariusz

- To lecę Marcinku, pa

- No zmykaj Mariuszk, buziaczki

- No pa

- Pa kochanie pa

(odchodzi kilka kroków w zamyśleniu ale wraca)

- Ale wiesz tak sobie pomyślałem

- PANOWIE!!!

- Ach przepraszam, już wracam już!

(wraca do słonia)

(patrzy intensywnie w głąb preparatu i dostrzega w okolicach hipokampu małego robaczka, tez w przekroju)

- To skacze tak?

- Proszę

(skacze lekko, po czym staje bez ruchu)

- Dziękuję. To na dzisiaj już wszystko.

- Do widzenia, do jutra.

- Do widzenia panu!

- Do widzenia papa!

- Trzymajcie się panowie, no pa, pa!

- Ale ja jeszcze tylko przepraszam bo tu

- Tak słucham?

- Czy mógłbym wziąć jeden kubeczek na pamiątkę?

- Proszę bardzo

(odchodzi, ale po chwili wraca)

- A jeszcze jeden dla kolegi synka?

(Robert Gogol)



KARPACKIE CHOMIKI BOJOWE



Wreszcie! Po latach zbierania materiałów i informacji udało mi się sporządzić szkic mojego dzieła, które mam zamiar kiedyś napisać. Na razie przedstawiam krótki wyciąg dla celów poglądowych.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale karpackie chomiki bojowe, zwane także Jakobinami (dlaczego - o tym za chwilę) pojawiły się na terenach państwa polskiego już w okolicach X w. Zostały prawdopodobnie sprowadzone przez podróżnika Ibrahima Ibn Jakuba z Tortosy, który w latach 965-971 odbył podróż po krajach zachodniej i środkowej europy, z których relacja została zamieszczona w "Księdze dróg i królestw" Al-Bakriego. Jak zapewne każdy wie, Ibrahim opisuje także państwo Mieszka I i właśnie tego podróżnika z Hiszpanii uczeni uważają za ofiarodawcę pierwszych w historii Polski gryzoni bojowych (stąd nazwa Jakobini). Początkowo książę nie był przekonany co do wartości bojowej zagranicznych gryzoni (wcześniej prowadzona za Ziemowita próba wykorzystania rodzimych szczurów, nutrii, bobrów itd., nie przyniosła zadowalających efektów), jednak zmienił zdanie już w roku 972, kiedy pod Cedynią, w momencie druzgocącej przewagi wroga, losy bitwy uratowały właśnie oddziały Jakobinów poprowadzone przez brata Mieszka - Czcibora, który był od początku wielkim ich entuzjastą. To właśnie za przyczyną Czcibora pierwotna nazwa "Jakobini" ustąpiła miejsca, bardziej wtedy popularnej, nazwie "Karpackie Chomiki Bojowe", która wzięła się od ośrodka w Karpatach, gdzie Czcibór trenował zajadłe gryzonie. Przez lata ich rola wzrastała, a szczyt swej świetności KCB zyskały w 1410 roku, kiedy to w znaczący sposób przyczyniły się do zwycięstwa na polach Grunwaldu. Z czasem ich rola na polu walki zmniejszała się (na co składało się wiele przyczyn różnorodnej natury). Dzisiaj rząd i służby specjalne nie przyznają się do faktu, by formacja Jakobinów kiedykolwiek istniała. Według naszych źródeł ma to związek z próbami ulepszenia KCB przy pomocy zaawansowanej biocybernetyki, genetyki i nanotechnologii, co ma prowadzić do stworzenia ISB - Idealnego Stworzenia Bojowego.

Jednym z niewielu źródeł pisanych opisujących początek KCB w Polsce jest zapis przekazów ustnych dokonany za panowania Kazimierza Wielkiego, przez mnicha dominikanina Afanazego Ćwoka młodszego z Pomiechówka. Z czasów późniejszych pochodzi więcej źródeł, jednak są jak na razie niedostępne dla zwykłych obywateli, a trudno dostępne nawet dla profesorów uniwersyteckich, a przechowywane są w podziemiach Biblioteki Narodowej. Pracujemy obecnie nad ich zdobyciem.

Cóż, według Afanazego Ćwoka młodszego z Pomiechówka, od bitwy pod Cedynią do czasów mu współczesnych, z pierwotnych KCB podarowanych przez Ibrahima Ibn Jakuba, walczących poprzez odnajdywanie nieopancerzonych części ciała wrogów i dotkliwie ich kąsanie, co skutecznie uniemożliwiało walkę, rozwinęło się co najmniej kilka rodzajów Jakobinów. Według Ćwoka młodszego wyodrębniły się co najmniej 3

"szkoły", czyli sposoby według których trenowano i hodowano KCB: 1. Szperaczy, szkoląca Jakobinów w tradycyjnym nurcie wyszukiwania i kłania, jednak o zwiększonych możliwościach (np. znacznie zwiększony ścisk szczęk, co zwiększyło procent części ciał odrywanych podczas ataku). 2. tzw. Hantli, czyli chomików o znacznie zwiększonych gabarytach fizycznych takich, jak waga, długość ciała itp., których zadaniem było masowa rzutka na wrażego żołnierza, przyciśnięcie go do ziemi i utrzymanie w tej pozycji - jeżeli nie został dobity bronią to po prostu dusił się pod kupą chomiczych ciał. 3. "Szkoła" Biochemiczna. Już w XI wieku dominikanie zajmujący się, razem z oddziałem wojów władcy, badaniami nad i treningiem KCB (jak się zapewne domyślacie Ćwok młodszy także był zakonnikiem z klasztoru zajmującego się KCB) odkryli, że po spożyciu przez Karpackiego Chomika Bojownika odpowiedniej substancji potencjalnie dla niego trującej, nawet w niewielkiej ilości, jego układowi pokarmowemu uda się ją zwalczyć tworząc przy tym gazy zalegając w żołądku, a wydalone poprzez siarczyste beknienia. Właśnie te gazy były wykorzystywane podczas walki. Poprzez podawanie różnych substancji uzyskiwano różne rodzaje gazów, np. paraliżując, zabijające w przeciągu 3 sekund itp. Chomiki były na nie uodpornione, a po treningu umożliwiającym im kontrolę częstotliwości beknięcia potrafiły się spustoszenie wśród wroga, nawet w pojedynkę.

Dalsze badania trwają.

(ArcyCień)



wieści
dziwnej
treści
czyli
nasza
własna
anegdota
z
2007
roku

Tak to już z pomnikami jest, zasada ogólna to taka, że nie mogą mieć zbyt słabo umocowanych czy wystających części. W Krośnie ktoś uporczywie kradł Łukasiewiczowi lampę i w efekcie pomnik zmienił zupełnie wyraz: wyglądało jakby p. Ignacy prosił mieszkańców Krosna o wsparcie. Natomiast z pomnika pszczoły (sic!) jakiś - jak by powiedziała pani z klasycznego Misia - obuz, ukradł sześć pszczoł z brązu, po ładne parę kg każda. Ja się tylko zastanawiam jak wyglądał dialog w skupie złomu. Zaczyna Sprzedawca, głos a'la Himmilsbach:

- Dzieńdhhobrry.

- Dobry. Co pan ma dziś w tym worku, panie Sprzedawca?

- ...szszczoły.

- Co?

- ...pszszoły.

- CO (wzmacniacz-ekspresji-na-literę-k)

- PSZSZCZOŁY mówię przecież. Z brązu. Sześć sztuk.

- Było tak od razu. Na wagę. Pan to zawsze coś ciekawego znajdzie. A skąd te pszczoły?

- Z kwiatka (wzmacniacz-ekspresji-na-literę-k). Nie pana interes.

W Bielsku - Białej jacyś mądrzy ludzie zmienili nazwę ul. Czerwonych Wierchów na Narciarską czy jakąś taką. Pewnie się im kojarzyło z czerwoną wierchuszką Ale to i tak nic: w zacyjnym grodzie Siemiatycze po 1989 roku była ulica dywizji spadochronowej "Hermann Goering". No nie bezpośrednio: nazwa brzmiała Obrońców Monte Cassino. Teraz ponoć już jest Bohaterów Monte Cassino (nadal niezbyt jednoznacznie!). I ponoć gdzieś jeszcze zamieniono ulicę znanego komunisty i stalinowca Romualda Traugutta na zasłużonego bojownika opozycji Marcina Lutra. czasem czytając takie rzeczy ma się wrażenie, że instytucja szkoły się nie sprawdziła i można ją bez żalu rozwiązać.

(Baader)

Ponoć Alosza Awdiejew jeździł (jeździ?) czasami "maluchem" w hełmie Armii Radzieckiej na głowie. I swego czasu w pracy, w dawnej lokalizacji na niezwykle spokojnej ulicy Obożnej w Krakowie kumpel, który patrzył za okno aby znaleźć tam chyba siły do "ruszenia z miejsca" w poniedziałek, odwrócił się od tegoż okna jakby ujrzał upiora. Po czym stwierdził: "Dziwne... wydawało mi się że malucha prowadził facet w hełmie z czerwoną gwiazdą... Eeee... niemożliwe....."

(Baader)

(...) To by wyjaśniało komunikat jaki odebrałem ostatnio z HQ, ten który przypominał biorąc pod uwagę kontekst swoim dramatyzmem inny, odebrany swego czasu przez polskich łamaczy Enigmy, zaczynający się "Do wszystkich komendantów lotnisk w całych Niemczech..." a kończący "...szefa SA Ernsta Rohma dostarczyć żywego lub martwego".

(Baader)

Oj to to to. Ale idzie ku... Nie powiem na wszelki wypadek: lepszemu, ale na pewno słusznieszemu (do następnej zmiany kierunku wahadła politycznego, trzeciego oprócz bardziej znanych wahadeł: fizycznego i matematycznego). O czym to ja? Aha: kumpel niedawno opowiadał w pracy, że widział w sklepie serek który mimo wielokrotnego przecierania oczu nie chciał zniknąć. A zwał się on "**Serek heterogenizowany**". Doskonale rozumiem producenta i podziwiam zdolność adaptacji do realiów: robi klient głupią uwagę i pojawiają się problemy, pikiety, a tak - któż się przyczepi??

(Baader)

Ja na przykład znalazłem wczoraj na topie masztu wetkniętego w szczyt butelki w kolorze butelkowym off-topa.

Jest to off-top galwanizowany, wykonany w technologii bezspoinowej i beznitowej.

Dla bezpieczeństwa użytkowników jest wyposażony w kilka stref bezzgniotowych.

Zgodnie z instrukcją obsługi nadaje się do wetknięcia w dowolny top masztu i to (uwaga!) bez względu na rodzaj ożaglowania.

Są jednak pewne ograniczenia: jak każdy off-top służy jedynie do konstrukcji typowo topowych w swojej dziedzinie i w związku z tym nie nadaje się w żadnym razie do zastosowania do: kili, kilwaterów, sterów i serów, serw i serwów dowolnych rodzaj i wielkości. Wbrew pozorom nic nie pomoże wybranie balastu z kila, wody z kilwatera, steru z jarzma, asa serwisowego z rękawa, ciśnienia, nadciśnienia lub podciśnienia z serwa, czy dziur z sera.

Jedyna nadzieja w tym, że podobno każda dziura w serze ma swój top, a jeśli tak, to zgodnie z prawem akcji i reakcji, musi także mieć swój off-top. Badania trwają, również nad piszącym. (*Cezarian*)

Jak donoszą agencje Państw Leżących na Zewnątrz, władze Państwa Środka z premedytacją i puszczając pomimo uszu protesty długonosej opinii publicznej, wdrażają kolejną politykę eksterminacji Tybetańczyków. Realizowany jest bowiem program reinkarnacji zmarłych (do których - o zgrozo - władze chińskie zaliczają także zabitych, w tym opozycjonistów!) Tybetańczyków w rodzących się Chińczyków. Legendarna chińska perfidia i okrucieństwo dają znać o sobie. Reinkarnacja następuje nie tylko w ciała Chińczyków, ale dodatkowo są to Chińczycy niebuddyjskiego pochodzenia - już to jako członkowie sekty Falung, już to członkowie zabronionego w Chinach odłamu chrześcijaństwa uznającego papieża za papieża oraz uważającego, że papież nie musi być pierwszym sekretarzem komunistycznej partii Chin.

Organizacje obrony praw człowieka proszą wszystkich przymusowo reinkarnowanych o składanie zeznań celem potwierdzenia tych zbrodni. Zostaną one odczytane po zamknięciu Olimpiady w Pekinie.

(*Cezarian*)

BezMatejny konkurs czterech skoczni?



Przełom starego i nowego roku, to czas tradycyjnego turnieju czterech skoczni. Polskich kibiców bardzo nieprzyjemnie zaskoczył brak w kadrze młodego, świetnie zapowiadającego się zawodnika Roberta Matei. W ciągu 44 lat skakania dał się on poznać jako skoczek niezwykle sumienny, wytrwały, a mimo młodego wieku już także nadzwyczaj doświadczony. Odpowiedzi na przyczyny nieobecności zawodnika w kadrze szukaliśmy u trenera kadry. Jak nam wyjaśnił:

...jest to wina perfekcjonizmu Roberta, który do absurdu dopracował popełnianie błędów podczas skoków. Specjalizuje się w zbyt późnym wyjściu z progu, ale stale rozszerza wachlarz pomyłek. Obecnie coraz lepiej udaje mu się przybrać dowolnie niewłaściwą, postawę podczas lotu. Bije także na głowę całą czołówkę skoczków idealnym rozłożeniem błędów podczas lądowania. Do niedawna miał co prawda kłopoty z niepoprawnym wykonywaniem telemarku, ale wytężona praca przyniosła efekty. Robert jest w tej chwili groźny dla najlepszych, potrafi oburącz nieustać niemal każdy skok. Teraz powożąc zaprzęgiem dwukonnym pracuje nad błędami podczas zjazdu. Szczegółów nie mogę podać, konkurencja nie śpi, ale zapewniam, że repertuar błędów, które przygotował na ten sezon zadziwi każdą, nawet najbardziej wyrobioną publiczność.

Dlaczego w związku z tym nie pojechał na konkurs 4 skoczni? Powody są co najmniej dwa. Pierwszy, to ślepe przywiązywanie sponsorów, a co za tym idzie telewizji do długości skoków, nie zaś do ich wymiaru artystycznego. Przecież w jeździe figurowej na lodzie nikt nie mierzy długości skoków, a jedynie związane z nimi wrażenia artystyczne. Drugi, pokrewny powód, to sędziowanie. Sędziowie – zdominowani przez coraz bardziej pozostające w tyle szkoły niemiecką i skandynawską, niechętnie patrzą na najlepiej nawet wykonywane błędy podczas skoku.

Mamy więc tu do czynienia z klasycznym przykładem syndromu stylu V, który mimo swojej wyższości przez lata był tępiony przez zawistnych sędziów i słabszych zawodników. Pracujemy nad przełamaniem tego stereotypu i jesteśmy coraz bliżsi sukcesu. Jednak Robert jeszcze przez chwilę musi potrenować błędy sam. Mam nadzieję, że końcówka sezonu, zwłaszcza skoki z mamuciej skoczni w Planicy w pełni ukażą bezbłędne błędy Roberta. Na razie w trudzie treningów wykuwa renomę najbardziej błędnego skoczka na świecie.

Dziękujemy trenerowi za wypowiedź i mamy nadzieję, że będą to prorocze słowa.
(Cezarian)

Kompromitujący koniec amerykańskiej misji stabilizacyjnej w Iraku?

Wczoraj w godzinach popołudniowych, w środkowym Iraku, przybyły z niezapowiedzianą kontrolą inspektor BHW (odpowiednik inspektora BHP) armii USA nakazał natychmiastowe wstrzymanie ciężkich walk toczących się pomiędzy szyickimi bojówkami, a armią amerykańską.

Zdaniem inspektora, podczas walk nie były przestrzegane podstawowe zasady bezpieczeństwa i higieny walki.

Zastrzeżenia dotyczyły między innymi:

- przekroczenia limitów czasu walk w godzinach nadliczbowych;
- nieustalenia wspólnego dnia wolnego od walk (każda ze stron udzielała wolnego w różne dni Amerykanie – niedziela, szyici – piątek)
- nieprzestrzegania zakazu walk w święta państwowe;
- brak lub nieprzestrzeganie procedur dotyczących udziału w walkach kobiet i młodocianych, a dotyczących udzielania co najmniej jednej przerwy w walkach na karmienie piersią co 4h walk, zwolnienie karmiących matek, kobiet w ciąży i młodocianych od udziału w walkach wręcz;
- nieprzeprowadzania szkoleń bezpieczeństwa i higieny walki na każdym nowym stanowisku bojowym
- używania zastępczego, często przeterminowanego sprzętu do walk,
- niehigienicznych warunki egzekucji przeciwników, zwiększających możliwość infekcji;
- częstego przekraczania norm (w wypadku rabunków) lub ich zaniżania (w przypadku gwałtów dokonywanych na i przez młodocianych);
- nieprzestrzegania przepisów dotyczących minimalnego żołądu za godzinę walki, w tym w szczególności w zakresie dodatków za walkę w szczególnie trudnych warunkach, za walkę w godzinach nocnych i walkę wręcz;
- nieprowadzenia przez obie strony polityki pełnego bezpośredniego udziału w walkach – odsetek niewalczących przekraczał na niektórych odcinkach 40%, co znacznie odbiega od światowych standardów;
- prowadzenia walk także w rezerwach przyrody i parkach krajobrazowych;
- stwierdzonych wypadków ograniczeń i dyskryminacji w dopuszczaniu do walk niepełnosprawnych a także osób o homoseksualnej orientacji płciowej , jak też osób wyznań innych niż chrześcijańskie i muzułmańskie;
- strat po stronie szyickiej przekraczających o ponad 300% dopuszczalne przepisami normy.

To tylko niektóre zastrzeżenia. Zdaniem inspektora uchybienia są tak poważne, że wstrzymał możliwość prowadzenia działań na ok. 80% stanowisk bojowych obu stron. Nakazał usunięcie w terminie 7 dni stwierdzonych nieprawidłowości, wyrównanie ponoszonych strat, grożąc trwałym zakazem prowadzenia walk w tym regionie.

Żołnierze obu stron są oburzeni. Liczyli na stabilizację walk, które toczą się w tym regionie od wielu miesięcy. Część z nich sprowadziła już rodziny, poczyniła starania celem zakupu działek budowlanych. Także szyici są zbulwersowani, jednak niewiele mogą zrobić, gdyż inspektor jest z pochodzenia zaeufratczykiem, wyznania szyickiego.

Zdaniem wyższego dowództwa obu stron zawiodło rozpoznanie. Mimo świetnie zorganizowanych: zwiadu elektronicznego, satelitarnego oraz lotniczego, inspektor nadjechał niezauważony.

Wydaje się także, że wizyta inspektora stanowi gwóźdź do trumny wyborczej republikańców. W USA coraz liczniejsze są głosy o sens wydawania kolosalnych pieniędzy na budowę systemów wcześniejszego ostrzegania, skoro nie potrafią one sobie poradzić nawet z wykryciem inspektorów.

W każdym razie na ostrzu noża stanął sens dalszego kontynuowania walk w Iraku. Wojska zagroziły przeniesieniem wojny w inne regiony. Korzystne finansowo oferty złożyło już kilka państw, w tym Iran, Korea Północna oraz Księstwo Monaco, kusząc atrakcyjnymi warunkami walk ulicznych. Podobno niewykluczone są jednak i inne lokalizacje. Świat zamarł w oczekiwaniu. Na wybór miejsca walk obu sztabom pozostało już tylko 6 dni.

(Cezarian)



Mądrości forumowe

Motto: Oświadczam, że znane mi są skutki psychiczne wejścia na to forum i nie roszczę sobie praw do pretensji w wypadku pogorszenia mojego stanu psychicznego

(Stefan)

A jak nie zaczniesz edytować tylko będziesz pisać post pod postem, to ci ostrzeżę teb z RG-ppanc-a

(Wichura)

Dodajmy, że mając na myśli edytowanie, klikamy w modyfikuj. Tak jak z partią i Leninem.

(Cezarian)

Poszepszyńskich lubię od 12 marca 2000 od godziny 18:07!

(Zygfryd)

Młodyś, stłupis...

Na pewno się zestarzejesz...

(Stefan)

Skoro dziś środa, to muszę powiedzieć:

zpadzam się z przedmówca

To szok. I jako taki podlega leczeniu!

(Stefan)

Jeśli lekarze są dobrej myśli to oznacza, że akurat nie myślą o Stefanie

(Bruxa)

W ogóle co to za tendencje nierównouprawnieniowe? Nie wystarczy, że normalni czują się tu nienormalnie?

(Bluesmanniak)

Qwertuiop, do noży!

(Leon74)

Znany jest przypadek pewnego prezydenta, który z rozpaczy, że nie zna tego forum, został bliźniakiem.

Znany kolega pod wpływem tego forum przestał nauczać swojego kota chodzenia w sombrero i wymowy słowa "kartofel" i nauczył go szczekać tudżaco podobnie do białego psa murzyna.

Inny chciał nabić na pal swoją żonę i dzieci, ale nie trafił i od tego czasu nosi przydomek (teraz to nick?) młot, zamiast srogi.

Jeszcze inny dokonał pierwszego zimowego przepłynięcia wptaw jeziora Bajkał, chcąc w ten sposób upamiętnić setną rocznicę wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej.

(Cezarian)

A oficjalnym zwrotem forumowicza A do forumowicza B i forumowicza B do forumowicza A ale o przeciwnym zwrocie będzie: "per członku"

(Psiakostka)

Mazurem? Mazurem w twarz?! Mnie, Warmiaka od urodzenia????!!!

(Bluesmanniak)

Co cię uprawnia do mówienia do mnie per wy?

Ja o sobie ewentualnie mogę *my, pluralis maiestatis*, czy jakos tam, ale, że ty do mnie wy?

Sam jesteś wy... Naocznie widziałam

(Bruxa)

Ja <expresis verbis> pierdole.

(Stefan-Bolcman)

...urna ich cappucino verbis...

(Bluesmanniak)

Bywa różnie, kichnie człowiek i palec się na myszce (chte chte chte... myszce...) omsknie...

(Baader)

Manipulacja semantyczna - 10

(Stefan-Bolcman)



GORACO
POPIERAMY
INICJATYWE
LUDZI Z FORUM
RODZINY
POSZEPSZYNSKICH



OCZYW
IŹDZIE